

Tom CCIII.
SERVA 6.

De II. 1.

ROK 51.
ZESZYT 607.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

L I P I E C.

1891.

TOM III. — ZESZYT I.

12

WARSZAW
Adres Redakcyi: ulica

189

LITERATURA, NAUKI. SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY
SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. — INDYWIDUALIZM I PRZEDMIOTOWOŚĆ W SZTUCE. (Talent i szkoła) — przez Henryka Struvego	1
II. — „IRENA“ (Powieść) — przez Zofię Kowerską . (Dalszy ciąg)	18
III. — TEORIA A PRAKTYKA W WYCHOWANIU — przez Romana Zawilińskiego	58
IV. — KRONIKA GALICYJSKA — przez U.	84
V. — OBRONA GRANIC RZECZYPOSPOLITÉJ OD TATARÓW — przez Konstantego Górskiego . (Dokończenie)	93
VI. — BALLADA (wiersz) — przez Kazimierza Glińskiego . .	103
VII. — ZIEMIA I JEJ ODŁUŻENIE W KRÓLESTWIE POLSKIÉM—przez Jana Blocha . (Dalszy ciąg).	110
VIII. — JAN VERGA I JEGO POWIASTKI WIEŚNIACZE (NOWELLE RUSTICANE) — przez Zygmunta Ryzszezewskiego .	172
IX. — PIŚMIENICTWO KRAJOWE I ZAGRANICZNE:	
<i>H. von Wissmann</i> . „Meine zweite Durchquerung Aequatorial Afrika's vom Congo zum Zambesi während der Jahre 1886 und 1887“— przez E. Lipnickiego	185
<i>Pier di Nolhac e Angelo Solerti</i> . „Il viaggio in Italia di Eurico III e le feste a Venezia, Ferrara, Mantova e Torino“ — przez A. Darowskiego	199
X. — KRONIKA MIESIĘCZNA	202
XI. — WSPOMNIENIA BIBLIOGRAFICZNE	222

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 203.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE NAUKOM, SZTUKOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1891.

Tom trzeci.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Foksal Nr. 6.

1891.



№ 11.1.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Июля 1891 года.

Indywidualizm i przedmiotowość w sztuce.

(TALENT I SZKOŁA).

Jako objaw ludzkiej działalności, sztuka obejmuje dwa czynniki zasadnicze: *podmiotowy i przedmiotowy, indywidualność* działającą i *otoczenie*, z którego czerpie materiał dla swjej działalności. Oba te czynniki wpływają bezpośrednio na rozwój sztuki i, stosownie do swego udziału w jej utworach, nadają im odmienny charakter. Dlatego też zbadanie każdego z tych czynników i wyjaśnienie ich wzajemnego do siebie stosunku należy do najważniejszych zadań estetyki. Podnosimy tę kwestyę obecnie tylko ze stanowiska ogólnych dążeń sztuki artystycznej.

Indywidualizm i przedmiotowość stanowią jeden z owych kontrastów pojęciowych, które dają pochoep do wytworzenia całego szeregu sprzecznych z sobą teorii estetycznych, a szczególnie w chwili obecnej rozdziałają teoretyków sztuki na różne obozy. Teorie *realistyczne* kładły zawsze główny nacisk na czynnik *przedmiotowy* w sztuce, dowodząc z jednej strony, że indywidualność jest prostym wytworem otoczenia, a z drugiej, że odtworzenie przedmiotowej prawdy powinno być pierwszym zadaniem sztuki. *Idealizm*, przeciwnie, bronił zazwyczaj czynnika *podmiotowego* twórczości artystycznej, więc obstawał przy samorodności tego czynnika i jego niezależności od otoczenia, a w zakresie sztuki oddawał pierwszeństwo podniosłemu na-

strojowi ducha, treści wewnętrznej indywidualności przed wierną charakterystyką faktycznych danych świata zewnętrznego.

Postępy nowszej psychologii i wogóle głębsza znajomość człowieka łagodziły coraz bardziej ten antagonizm i wciągnęły wreszcie samą indywidualność z bogatym zasobem jej treści wewnętrznej w zakres realistycznego pojęcia sztuki. Dziś już estetyk realista, obeznany z nauką psychologii, nie może zaprzeczać potężnemu udziałowi indywidualności w twórczości artystycznej. Dawna zasada empirycznego realizmu, że dusza ludzka jest *tabula rasa*, że cała jej treść pochodzi z jej otoczenia, ostać się nie mogła wobec głębszej analizy objawów psychicznych, a szczególnie wobec prawa dziedziczności, wykazującego w sposób niezbity, że każda indywidualność przynosi z sobą na świat pewną odrębną kombinację zdolności umysłowych, odziedziczoną po przodkach i nadającą jej charakter oryginalny, różny od innych indywidualności. Ztąd pochodzi fakt bardzo prosty, nie uwzględniany dawniej należycie przez doktrynerów realizmu, że wśród jednakowych warunków otoczenia rozwijają się jednak zupełnie różne indywidualności, jak z różnych zarodków wyrosnąć mogą na jednym i tym samym gruncie różne rośliny—lilia i głóg.

Takie uznanie samoistnego znaczenia indywidualności, jej przyrodzonych czynników, niezależnie od wpływów zewnętrznego otoczenia, jest jednem z najpotężniejszych zwycięstw idealnego poglądu na sztukę i wogóle na twórczość artystyczną. Jeżeli bowiem indywidualność nie jest tylko biernym wynikiem zewnętrznych warunków rozwoju, lecz przedstawia czynnik samoistny, przyjmujący rozliczny charakter, stosownie do swojej treści wewnętrznej, natenczas ta treść wewnętrzna rozwijającej się indywidualności, jej myśli, uczucia i dążności, wogóle jej nastrój umysłowy, muszą być bardziej niż dotąd przyjmowane w rachubę, zarówno przy ogólnym poglądzie na istotę twórczości artystycznej, jak i szczególnie przy krytycznym rozbiore jej pojedynczych utworów.

Obecnie już dla należytego objaśnienia działalności poety, artysty, nie wystarcza skrzętne zbieranie danych, dotyczących zewnętrznych warunków jego rozwoju, lecz uwzględnić należy zarazem przyrodzone czynniki jego uzdolnienia, talentu, geniuszu, przetwarzające w sposób indywidualny wszelkie wpływy przedmiotowe. Wychowanie, stosunki osobiste, otoczenie, duch czasu, moment dziejowy, wzory przeszłości, koleje życia, —są to wszystko czynniki, niewątpliwie nader ważne, twórczości pierwszorzędnych nawet geniuszów, ale czynniki nie jedyne, nie wyłączne. Indywidualność równoważy je, przerabia na swój ład, potęguje lub osłabia, stosownie do uzdolnienia i nastroju swych władz umysłowych.

W ten sposób ostatecznie grunt przedmiotowy, z którego dzieło wyrasta, nie określa bynajmniej wystarczająco jego charakteru, nie rozwiązuje wogóle wielkiej zagadki twórczości artystycznej. Do tego potrzeba uzupełnić analizę przedmiotowego gruntu rozbiorem owego podmiotowego zarodu ducha, który jest właściwym czynnikiem życia i twórczości, który z gruntu wyciąga tylko pierwiastki, odpowiadające jego naturze, przyczyniające się do rozwoju i ukształtowania jego treści wewnętrznej, do wydania właściwego kwiatu i owocu. Grunt może wpłynąć silnie na barwę kwiatu i smak owocu, może im nadać swój odcień odrębny; ale o samym ustroju kwiatu i charakterze owocu stanowi indywidualna natura rośliny. Podobnie i dzieła sztuki są przedewszystkiem wyrazem indywidualności, ducha ich twórców; wyrazem oryginalnego zespolenia władz umysłowych, rozwijających się nie tylko pod wpływem przedmiotowych warunków otoczenia, lecz i według swego przyrodzonego nastroju podmiotowego.

Na polu krytyki estetycznej powyższa przeciwstawność pomiędzy zasadami *indywidualizmu* i *przedmiotowości* wyraża się dobitnie w różnych poglądach znakomitych współczesnych krytyków, *Brandesa* i *Taine'a*, na istotę twórczości. *Brandes* pod tym względem kładzie główny nacisk na indywidualność poety, artysty; w niej widzi główne źródło twórczości; ona-to czerpie nowe idee z głębi swego ducha; materiał zaś, zaczerpany z ogółu, przeistacza na dzieło oryginalne, nadaje mu żywą formę, przemawiającą znowu do ogółu. *Taine* natomiast dopatruje się głównego czynnika twórczości w działaniu otoczenia, ogółu, narodu, czasu, na indywidualność, która staje się tylko biernym wyrazem tego działania i podlega prawie zupełnie jego wpływowi. Jest to pogląd demokratyczny, któremu *Brandes* przeciwstawia arystokrację ducha, wynoszącą się swém uzdolnieniem, talentem, geniuszem, wysoko po nad tłumy, nie ulegającą im, lecz, przeciwnie, przyciągającą je do siebie i kierującą nimi ¹⁾.

W tej też myśli niewątpliwie genialny nasz wieszcz powiedział: Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...

Wśród pozytywnych estetyków naszego czasu, *Eugeniusz Véron* podniósł wysoko to znaczenie indywidualności w sztuce; przyjął ją za zasadę całej swjej estetyki i doszedł w tym względzie nawet do ostateczności. Według niego, sztuka jest poprostu tylko ożywionym wyrazem osobistości ludzkiej. *L'art*, mówi *Véron*, *n'est autre chose que l'expression émue de la personnalité humaine*. Prawdziwy poeta, artysta, nie ma żadnych innych celów, żadnych innych dążeń i zamia-

1) Zob. odczyty *Jerzego Brandesa O krytyce nowoczesnej* w „Kraju“ za rok 1887

rów, jak tylko wypowiedzieć to, co w nim żyje, t. j. swoją treść wewnętrzną, indywidualną, w sposób jak najżywszy.

W imię tego poglądu *Véron* z jednej strony potępia namiętnie wszelkie wzorowanie się na najznakomitszych nawet utworach przeszłości, wszelki konwencyonalizm akademicki, i nadaje wogóle pięknu w sztuce znaczenie zupełnie podrzędne; *il est complètement impossible*, mówi, *que la conception du beau suffise aux aspirations des artistes*. Z drugiej zaś strony krytykuje zarazem ze stanowiska indywidualizmu i teorię *Taine'a* o rysach charakterystycznych przedmiotu, odtwarzanych przez sztukę, i widzi w tej teorii tylko niewłaściwe pomieszanie sztuki z nauką. Dążnością artysty, według *Vérona*, nie jest wcale wierne odtwarzanie przedmiotów, lecz wyrażanie swęj osobistości. *Au lieu de s'appliquer à manifester l'essence et le caractère dominant des choses, l'artiste manifeste spontanément et sans le savoir l'essence ou le caractère dominant de sa propre personnalité... L'art personnalise la réalité, c'est là son caractère éminent*. Jednym słowem z trzech rodzajów sztuki, mówi *Véron*, jakimi są: sztuka konwencyonalna, realistyczna i osobista, tylko ostatnia zasługuje istotnie na miano sztuki ¹⁾.

Dla uzasadnienia powyższych poglądów, Véron rozpatruje przede wszystkim przedhistoryczne początki sztuki i zaznacza w całym jęj rozwoju przeważny udział czynników indywidualnych człowieka. Na tej zasadzie dochodzi do wniosku, że sztuka jest nawskroś przedmiotową (l'art est essentiellement subjectif). Następnie poddaje szczegółowemu rozbirowi zarówno upodobanie estetyczne, jak smak, geniusz twórczy, styl, oraz pojedyncze sztuki, i dopatruje się wszędzie szczegółowego potwierdzenia zaznaczonych ogólnych zasad indywidualizmu w sztuce, t. j. udziału przede wszystkim czynników osobistych w twórczości artystycznej.

Wprawdzie już dawno przed *Véronem*, jak wzmiankowano powyżej, teorye idealistyczne domagały się należytego uwzględnienia indywidualności, ducha, przy rozbirowie utworów poezyi i sztuki pięknej. Już *Kant* widział w bogato uposażonej twórczej indywidualności, w geniuszu, jedynego *prawodawcę* sztuki. Według niego natura przepisuje sztuce prawa, daje jęj przepisy postępowania jedynie za pośrednictwem przyrodzonego twórczego uzdolnienia artysty, za pośrednictwem talentu, genialnej indywidualności. Dlatego też, według *Kanta*, twórczego geniuszu nie można krępować abstrakcyjnymi regułami, lecz przeciwnie, wszelkie reguły czerpać należy z jęgo utwo-

¹⁾ *Eugène Véron, L'esthétique*. Wydanie 2-gie 1883. Zob. szczególnie *Wstęp*, oraz str. 38, 89 i nast. 106 i nast. 158.

rów. Utwory bowiem geniuszu nie są sztucznymi wyrobami przemysłu, techniki, mozolnie przez człowieka obmyślanemi, lecz są bezpośrednimi dziełami samej natury, wydanemi za pomocą szczególnego nastroju władz umysłowych człowieka, t. j. oryginalnej indywidualności ¹⁾.

Do tych zdań *Kanta* i najgorętsi obrońcy indywidualizmu nie zgola nowego w zasadzie dodać nie mogą. Mogą tylko te zdania zastosować do swych poglądów na sztukę i poprzec je bardziej szczegółowymi argumentami, zaczerpanymi z rozbioru psychologicznego twórczości artystycznej. To też czyni *Véron* i na tém polega głównie doniosłość jego estetyki.

W samej rzeczy, dzieło sztuki odpowiada swemu zadaniu i budzi nasze zajęcie głównie jako wyraz żywej, bogato uzdolnionej i oryginalnej indywidualności. Tylko taka indywidualność zawiera w sobie dane, czyniące zadość wysokim wymaganiom artysty. W niej tylko działają w sposób należyty czynniki umysłowe, zdolne wytworzyć treść i formę prawdziwego dzieła piękna.

Jeżeli bowiem treść utworu artystycznego polega zawsze na idei, jaką sobie artysta wyrobił o przedstawionym przedmiocie, to naturalnie idea ta będzie tém pełniejszą, tém wszechstronniej będzie charakteryzowała rzecz, tem głębsze da o nią pojęcie, im wyżej uzdolnioną jest indywidualność artysty, im umysł jego obejmuje szersze widnokreśli, im jest wrażliwszy na tętno życia powszechnego, przenikającego naturę, społeczeństwo, ludzkość, wszechświat. Z większą zaś bystrością w chwytaniu znamion rzeczy i z żywszą wyobraźnią, odgadującą głębokie analogie między zaznaczonymi szeregami bodźców, oddziaływających na umysł twórczy, i forma jego utworów nabiera więcej wyrazu, siły, urozmaicenia. Dopatruje się on w przedmiotach takich rysów, które uchodzą uwagi zwyczajnych śmiertelników, a wskutek tego przedstawia rzeczy z oryginalnej, niezwyklej strony, wywołuje nowe myśli i uczucia, lub też porusza dawno uspięne, ożywia je, potęguje i nadaje im nowy blask.

W ten sposób utalentowana, genialna indywidualność zdolną jest obudzić nasze zajęcie często dla rzeczy najprostszych, powszednich, koło których tłumy przechodzą dzień w dzień bezmyślnie, nie widząc w nich nic zasługującego na uwagę. A cóż dopiero, gdy taka indywidualność wzniesie się na wyżyny ogólnie ludzkich ideałów, gdy się przejmie treścią, niepokojącą całe jestestwo człowieka, dotyczącą je-

¹⁾ *Kant, Kritik der Urtheilskraft*. 1790. § 46. Myśl tę rozwija *Kant* szczegółowo w dalszych paragrafach do 49 włącznie.

go doli i niedoli, jego dążeń tytanicznych i rozczarowań, jego walki z sobą i światem, jego wiary, miłości, nadziei! Wtedy-to poeta, artysta, śmiało o sobie powiedziéć może:

Nazywam się milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze!

A miliony w saméj rzeczy całemi wiekami od pokolenia do pokolenia karmią się duchowo utworami geniuszu, znajdują w nich rozkosz uszlachetnioną, zapomnienie trosk, zachętę do podnioslejszych dążeń, świetlaną wskazówkę na ciemnej drodze życia, wiarę w zwątpieniu, ukojenie w rozpacz.

Jakże tedy wniknąć w myśl przewodnią utworu artystycznego, przejąc się jego duchem, wyjaśnić wpływ jego na daną społeczność lub nawet na ludzkość całą, nie zdając sobie sprawy przedewszystkiem z nastroju umysłowego poety, artysty? Bez zrozumienia wewnętrznych potrzeb, porywów i dążeń ducha twórczego, jego odrębnej indywidualności, mowy być nie może o należytem zrozumieniu jego utworów i ich doniosłości dziejowej. Każde dzieło prawdziwego talentu, geniuszu, nosi na sobie pewne cechy indywidualne, jemu tylko właściwe, i tylko w związku z temi cechami objawia nam w zupełności treść swoją, daje nam poznać swą piękność prawdziwą.

* * *

Pomimo takiej niezaprzeczonej doniosłości czynnika indywidualnego w twórczości artystycznej, *Véron* wpada w przesadę, gdy wprost utrzymuje, że sztuka nie jest niczém więcej, jak tylko ożywionym wyrazem (*l'expression émue*) osobistości ludzkiej. Jest to określenie tak szerokie, że obejmuje całe szeregi objawów, nie mających nic wspólnego ze sztuką, a nawet często rozchodzących się rażąco z jéj prawdziwą istotą. Bo w czémże nie wyjawia się w sposób ożywiony osobistość ludzka? czego z tego stanowiska nie należało-by nazwać sztuką? I płacz dziecka, i niesforność chłopięcia, kłótnie uliczne i osobiste polemiki, praca wieśniaków, robota rzemieślników, ruch zakładów przemysłowych, potyczki wojenne, nawet napaści zbójcekie, wraz z całą statystyką kryminalną,— to wszystko i wiele innych objawów ludzkiej namiętności i energii odpowiada w zupełności określeniu *Vérona*, a więc wpadało-by w zakres sztuki. Już to jedno wykazuje rażący brak ścisłości w zasadniczych poglądach *Vérona* na sztukę.

Ale i przy takiém zbyt szerokiem określeniu sztuki okazuje się jednakowoż potrzeba oznaczyć pewne rysy znamienne, odróżniające sztukę w powszechnie przyjętem znaczeniu tego słowa od wspomniana-

nych powyższej działalności, które są wprawdzie także ożywionym wyrazem indywidualności ludzkiej, lecz o charakterze zupełnie różnym, wprost nawet przeciwnym. Możemy się tedy w zupełności zgodzić na to, że sztuka jest jednym z wielu różnorodnych sposobów uzewnętrzniania się człowieka, jednym z wyrazów jego indywidualności; pomimo to, zapytać musimy, jakim właściwie wyrazem indywidualnym jest sztuka w różnicy od tylu innych wyrazów, nie zasługujących na to miano i nie mogących być samowolnie z nią pomieszaniem?

Jeden z takich rysów znamienych sztuki, w różnicy od innych przejawów treści wewnętrznej człowieka, zaznaczyliśmy już powyżej, mówiąc o indywidualności utalentowanej, genialnej. W gruncie rzeczy i *Véron* w swym dodatku, że sztuka jest ożywionym wyrazem osobistości ludzkiej, miał na oku osobistość utalentowaną lub genialną, wynoszącą się po nad zwykły poziom, zdolną do żywszego od innych wyrazu swjej treści indywidualnej. Zwyczajny, że tak powiem, prozaiczny nastrój władz umysłowych, i według *Vérona*, nie wytwarza sztuki. Nie są też do tego wystarczającymi podrażnienia powierzchowne, rozstrzelone, zlokalizowane w pewnych odosobnionych komórkach jestestwa psychicznego, wyrażające się tylko urywkowo, jednostronnie. To wszystko są zaledwie zawiązki prawdziwie ożywionego wyrazu osobistości. Aby wywołać taki wyraz, potrzeba głębszych poruszeń, silniejszych emocji: emocji skoncentrowanych, sięgających samego ośrodka bytu indywidualnego i obejmujących wskutek tego syntetycznie szersze zakresy jego potrzeb i dążeń. Takie zaś głębsze i szersze poruszenia są tylko udziałem osobistości wyższej uzdolnionej, bardziej wrażliwej na bodźce, przyspieszające tętno życia umysłowego. Więc z tego wynika, że sztuka, jako *ożywiony* wyraz indywidualności, jest właściwie wyrazem indywidualności utalentowanej, genialnej. Totież *Véron* wprost mówi, że w dziele sztuki podziwiamy właściwie nie samo dzieło, lecz tylko zdolność, talent, geniusz jego twórcy. *Quel talent il a fallu pour faire un pareil ouvrage!* Oto wykrzyknik, do którego, według *Vérona*, sprowadzają się w gruncie rzeczy wszelkie admiracje artystyczne.

Można wprawdzie i temu określeniu podziwu artystycznego zarzucić wielki brak ścisłości. Bo gdyby uznanie dla dzieła sztuki nie wypływało z działania samego dzieła na nasz umysł i serce, lecz miało na oku jedynie sposób jego dokonania, a szczególnie przezwyjęcie pewnych w tym względzie trudności, natenczas nie było-by żadnej różnicy pomiędzy podziwem dla sztuk łamanych ekwilibrystyki lub dla prostej zręczności technicznej, a zadowoleniem estetycznym, wywołanym samą treścią i formą utworu artystycznego. Pominąwszy jednak ten brak ścisłości, czyż przy powyższym poglądzie nie było

prościej i zrozumiałej powiedzieć od razu: *sztuka jest wyrazem talentu, geniuszu?* Po co wygłaszać ogólniki, obejmujące chaotyczną różnorodność szczegółowych objawów, bałamuące umysły swą pozorną nowością, skoro prędkiej czy później, przy bliższem rozpatrzeniu rzeczy, okazuje się potrzeba porzucić takie nieokreślone ogólniki i powrócić znowu do prawd starych, powszechnie przyjętych? Bo któż dziś wątpi o tém, że do sztuki potrzeba nie tylko indywidualności wogóle, lecz przedewszystkiém talentu, geniuszu, więc indywidualności o pewném, określonem uzdolnieniu? Każdy wie o tém, że talent, geniusz, jest podmiotowém źródłem wszelkiej twórczości artystycznej, jednym z koniecznych warunków istnienia i rozwoju sztuki. Nie jest to tedy nic nowego; widzieliśmy, że już stary *Kant* oparł na téj prawdzie swe poglądy estetyczne. Gdyby tedy współczesny indywidualizm nie obejmował żadnej innej treści, prócz téj prostej prawdy, natenczas nie mógłby mieć pretensyi do oryginalności i nie zwrócił-by téż na siebie szczególnéj uwagi.

Co stanowi tedy nowość i oryginalność indywidualizmu *Vérona* i jego naśladowców u nas? Przesada i wyłączość w rozwinięciu powyższej prawdy! Indywidualizm w samej rzeczy nie kontentuje się prostą treścią téj prawdy, lecz idzie dalej i uznaje indywidualność artysty za *jedyné* źródło sztuki. *La seule source de l'art*, mówi *Véron*, *c'est toujours l'artiste*. W imię zaś takiej wyłączości występuje zarazem z obroną bezwzględnej niezależności artysty od wszelkich z zewnątrz pochodzących przedmiotowych reguł, od wszelkich czynników, ograniczających jego swobodę tworzenia co i jak mu się nadarza, stosownie jedynie do swych własnych potrzeb, życzeń i upodobań. W téj właśnie obronie bezwzględnej swobody tworzenia według czysto osobistych pobudek twi rewolucyjna zasada współczesnego indywidualizmu w sztuce, jego radykalizm i namiętna opozycya względem wszystkiego, co się nazywa ustalonym, niezmiennym, prawdziwym w dotychczasowej estetyce, względem wszelkich konserwatywnych czynników artyzmu, ale zarazem i względem najistotniejszych podstaw dotychczasowej kultury estetycznej.

Zasadę, że talent, geniusz, jest sam sobie prawem, indywidualizm doprowadza tedy do ostateczności i domaga się w imię téj zasady wyłączenia talentu z pod wszelkich praw przedmiotowych, obowiązujących dotąd twórczość artystyczną; broni więc już nie tylko samodzielnosci, lecz poprostu *samowoli* talentu. Siła wyrazu, z jaką talent uzewnętrznia swoją treść indywidualną, — oto, według téj teoryi, czynnik najważniejszy twórczości artystycznej. Czynnik ten ma nam dać zapomnieć zarówno o przedmiocie utworu, jak i nawet o różnorodnych jego usterkach, a w każdym razie ma więcej znaczyć, niż

— Czuję się wolną — odparła Irena, leniwie się przecząc na przyczem jęj imponująca piękność jaśniała w całej pełni.

— Wczoraj mi mówiłaś, że ci rozsądek nakazuje...

— A gdybym też wolała zostać starą panną?

— To mu raz daj odmowną odpowiedź! Nie psuj mu życia... ma lat czterdzieści, nie może czekać.

— Niech nie czeka!

— Gdyby też on cię opuścił, toby dopiero twoja duma cierpiała! Ale ja na jego miejscu zrobiła-bym to z największą pewnością! Już-bys mię nie zobaczyła! Bez żadnych scen, bez żadnych historii... Pierwszego tygodnia była-bys spokojna, potem poczęła-bys się niecierpliwieć, potem chodziła-bys od okna do okna, gryząc się wewnątrz... potem wychodziła-bys na drogę... wreszcie napisała-bys list...

Irena, ciągle z pod przymkniętych powiek patrząc na siostrę, uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Oo...

— Co? nie przypuszczasz takiego wypadku? Żeby ten Eugeniusz miał trochę męskiej dumy, to-by tak uczynił!

— Znalazł-by się kto inny.

— Czy masz jaką oznaczoną liczbę kosztów, które rozdać zamierzasz?

— Może.

— Nie można wiedzieć?

— Chcę się doczekać takiego, któremu dać stanie mi się niepodobieństwem.

— Jeżeli się nie mylę, to znaczy, że chcesz sentymentalnie zawrzeć małżeństwo z miłości, jak jaka heroina romansu.

— Czy mógłby mi to kto poczytać za złe?

— Za złe... nie, ale za śmieszne.

— Doprawdy?

— Naturalnie. Dobrze jest, jeżeli ośmastoletnia dziewczyna zwierza się gwiazdom, księżycowi, a czasem przyjaciółce od serca, że pójdzie za mąż „tylko z miłości”; ale gdy się ma rok 34-ty i miało się tłum starających, z których niejeden mógł najwybredniejszy gust zadowolnić, i kiedy, odrzuciwszy ich wszystkich, wygląda się jeszcze pięknego rycerza, dla którego serce żywiej-by zabiło, wtedy jest się po prostu śmiesznym! Nie przeczę, że jesteś piękna, że wyglądasz młodo, ale samaś mi nieraz mówiła, że nie jesteś zdolna pokochać.

— Nie jestem, ale może będę!

— Moja Irenko! postanowiłaś dziś mię drażnić i gniewać! Mówisz umyślnie niedorzeczności! Czekaj sobie na tego ukochanego, który ci ma spaść z nieba, ale wyklaruj na czysto położenie z Euge-

Widzę, żeś cała uszczęśliwiona z jego wyjazdu... wyciągasz z takim uczuciem dobrobytu i zadowolenia, jakby ci ciężar spadł z ramion... Więc mu powiedz, że go nie chcesz! Ty go tak dręczysz, jak mnie dręczy Boliwa!

— Są ludzie, którzy lubią swoje katusze.

— Uciekam od ciebie, bo mię do reszty wyprowadzisz z cierpliwości!

— Czas do ucieczki bardzo właściwy. Wszak to już druga? Porządni ludzie śpią oddawna.

— Otóż to! Rozdrażnić kogoś, rozburzyć, a potem wymagać od niego, by mógł spać...

— Po co się rozdrażniać? Widzisz, przecie to o mnie chodzi, a nie jestem rozdrażniona.

— Po co się rozdrażniać! To bardzo dobra rada!... Zupełnie, akbyś powiedziała: po co chorować? po co kochać, po co nienawidzieć... Zrób, żeby Wacio stał mi się obojętnym, lub pan Boliwa. Niech przestaną kochać Wacia, a nienawidzić tego człowieka! Po co umierać! Chciała-bym, o, chciała-bym, żeby cię prawdziwa miłość zapała za serce... żeby cię tak oprowadziła po swojej Golgocie!

— Myślę, że w każdym razie jabym ją prowadziła, nie ona mnie.

Po tych słowach podniosła się nagle nawpół i wsparła się na łokciu.

— A wiesz—dodała z błyskiem w swych szeroko teraz rozwartych oczach—że chciała-bym jęj jednak zajrzeć w oczy... chciała-bym się z nią zmierzyć... chciała-bym się téż przekonać...

Amelia stanęła naprzeciwko siostry.

— Przekonać się o czém?

— Czy jest co prawdy w tych bajkach, któremi nas karmią powieściopisarze. Wiecznie ten sam mają temat i tak do tego przyzwyczaili czytelników, że powieść bez perypetyi miłosnych wydawała-by się nudną, niemożliwą. Ja wobec tych opowiadań zachowuję się bardzo sceptycznie, ale czasem doznaję takiego uczucia, które-bym mogła porównać z zabobonnością niektórych niedowiarków. Nie wierzę, a jednak swemu własnemu niedowiarstwu nie ufaję. Wiem, że chodzą po świecie ludzie zakochani, nie mogą jednak w siebie wmówić, by tyle cierpieli, by to uczucie dawało tyle szczęścia, lub tyle niedoli i... chciała-bym się napić z téj czary. Niech tam sobie na dnie będzie trucizna, ale niech czarę poczuję przy swoich ustach!

— Ireńko!

— Niech poczuję, że mi się krew burzy od wsączonego w nią napoju... niech przez jedną dobę chodzę po tym obłoku, który unosi

po-nad wszystko, co się czuło i myślało dotychczas; niech zejść na ten kraniec, na którym szał własny mądrością nam się wydaje; niech raz mam w piersi to światło, które cieniem mi przyrzuci wszystko, com dotąd lubiła i ceniła; niech raz poczuję pod nogami drogę, wiodącą do szczęścia! Do tej drogi tęskno moim stopom! Wiesz, że dumna, wiesz, jak bardzo dumna... Dumie chcę powierzyć wybór własnej przyszłości, ale czuję, że ona nie może zagłuszyć we mnie jakichś pragnień, których dobrze nie rozumiem, a które sama nazywam sentymentalizmem. Ale jeżeli ani nienawiści, ani przywiązania wyrzucić z serca nie można, to i sentymentalizmowi walkę wypowiada się napróżno. Nie wyglądam na osobę sentymentalną—prawda? Ośmieszam się też sama we własnej myśli i bez twoich uwag wiem, że w moim wieku kobieta, myśląca o kochanku, nazywa się w medycynie histeryczką, a w języku nienaukowym romantyczną starą panną. Ale cóż? niejednen wzdycha do takiego serdecznego pożaru, który-by objął wszystkie uczucia i stopił je w swym ogniu. Wyznaję ci, że bohaterki powieściowe, kochające bez miary, a nawet takie, co cierpią i są nieszczęśliwe przez miłość, wzbudzają we mnie zazdrość!..

— I widok mojego życia nie jest dostatecznym, żeby cię z tej zazdrości wyleczyć?

— Kiedy ty nie miłujesz, ty nienawidzisz... A ja chcę kochać!

— Więc powiedz to wyraźnie Eugeniuszowi, odpraw go raz na zawsze, a sama idź w świat szukać tego ukochanego, który się gdzieś tak dobrze ukrywa, żeś go dotąd jeszcze nie ujrzała!

— Żeby tak była wolna...

— Jakto, nie jesteś wolna? Któż ci kiedykolwiek stawiał jaką tamę?

— Piękna mi wolność! Wolność dla kobiety, to jest otrząśnięcie się ze wszystkich przesądów, ze wszystkich obyczajów, ze wszystkich nawyknień, ze wszystkich próżności, a ja tém wszystkiém żyłam i żyję. Czyby za mną nie pogonił wszędzie mój strach przed tém, co nie jest *comme il faut*, co nie ma piętna arystokratycznego wykwintu, co się nie zgadza z tradycjami wielkiego świata? Ja jestem niewolnica! I myślisz, że gdybym nawet uczyniła wycieczkę po-za moje koło, po-za mój świat, po-za moje dotychczasowe ideały i znalazła rycerza, którego-bym pokochała, że nawet wtedy potrafiła-bym znaleźć nową miarę do mierzenia? Nie, gdyby rycerz nie miał historycznego nazwiska i wychowania salonowego, tobym wolała ból rozłąki, niż upokorzenie pysznych zamiarów całego mego życia. Z miłością, potępioną przez rozsądek i dumę, poszła-bym za Eugeniusza. Więc się o niego nie lękaj! Pójdę za niego. Nietylko marzycielskie zachcianki, ale nawet miłość we własnej osobie nie miała-by dość siły do zerwa-

nia tych łańcuchów, które mię okuwają. A coby to powiedział ten i ów? Coby powiedział świat? A ciocia Drahomirska, a księżna Podolska? Szczególniej coby powiedziała moja własna duma. Znienawidziła-bym prędko mojego rycerza, gdyby mię sprowadził w mieszczańską sferę i posadził obok kumoszek matki swój i siostry, gdyby mię otoczył interesami rodziny o zaściankowym horyzoncie, gdyby mi kazał słuchać ohydnej francuskiej wymowy swych siostrzenic i siostrzeńców. Ja czuję, że to jest małe z méj strony, że albo się ma podniosłość uczuć, albo się jej nie ma; ale sama ta francuzczyzna, okraszona grubym polskim akcentem, jużby lodem oblała mój zapal miłosny. I ty mówisz, że my przy takich pojęciach nie jesteśmy niewolnicami? Nie każda z nas przyzna się do swych uczuć tak, jak się w téj chwili przed tobą przyznaję... Przyszła na mnie godzina szczerości...

— To jest godzina, w której się dowiaduję, że ty nigdy szczęśliwą być nie możesz, bo zapewne nie spotkasz wcale rycerza, a tęsknota za nim będzie cię prześladowała nawet w objęciach Eugeniusza.

— Nie mów mi o jego objęciach! Ah, nigdy nic podobnego mi nie mów, bo gotowam potargać wszystkie moje zamiary... bo rozsądek gotów mi się w szal obrócić! Eugeniusz dla mnie, to nie męskie objęcie, to idea! To nazwisko, które mi będzie przyjemnie czytać na własnych biletach wizytowych, to ramię, które moją dumę oprowadzać będzie po najpierwszych salonach, to pałac, ze śladami starych zwodzonych mostów, to wreszcie przywiązanie, które dogadza méj miłości własnej i budzi w mém sercu uczucie wdzięczności; ale to nie rycerz, to nie kochanek, i sama myśl o tém, że mąż ma prawo wziąć żonę za rękę i powiedzieć: „tys moja“, podnosi bunt w mém sercu. Nazwisko, majątek, podzielić z nim jestem gotowa, ale uznać się jego własnością... widzisz, na to chyba trzeba miłości!

— Więc, mówię ci, idź w świat i szukaj rycerza!

Amelia miała nazajutrz silną migrenę.

— Cóż to jest? — zapytywała pani Solska z niepokojem. — Co drugi dzień migrena? Nie miewała jój dotąd tak często. Ona-by może powinna pojechać do Warszawy, zebrać konsylium pierwszych powag medycznych i poddać się systematycznej kuracyi...

— Panna służąca Amelki mi mówiła — ozwała się Cesia, — że czekała wczoraj do piątej. Dopiero o piątej Amelka do łóżka się położyła...

— Jakże ona ma być zdrowa przy takiém życiu? Żeby to mógł na nią kto wpłynąć!.. Ona się zabije takim trybem! Moja Cesiu, jak mnie nie będzie, pilnuj ty Amelki... Niech ona się kładzie spać przed dwunastą... zawsze Ujazdów zajmie nam ze cztery lub pięć dni...

Pani Solska z Ireną wyjeżdżały na parę tygodni do dalekich krewnych, ludzi młodych i rozbawionych, którzy, wróciwszy z Warszawy, gdzie mieszkali przez zimę, chcieli skorzystać z dni majowych, jeszcze nieupalnych, żeby zgromadzić liczne towarzystwo. Miał być teatr amatorski, wieczór tańczący i majówka. Irena miała występować jako aktorka. Miała ona ustaloną reputację artystki dramatycznej i na nią głównie liczone co do udania się zabawy.

P. Solska z niechęcią opuszczała zwykle Mirsk, czuła się jednak obowiązana do towarzyszenia Irenie i wiele już razy miesiącami całemi dla jej zabawy i bywania w świecie zadawała sobie przymus w tym względzie. Odważnie spełniała rolę matki, śledzącej tryumfy swojej córki, choć owe tryumfy bardzo ją zimną znajdowały. Pragnęła szczęścia Ireny, ale go bynajmniej nie widziała w salonowym królowaniu, a nawet upatrywała w niem powód tej niemożności ustalenia życia, na którą chorowała jej córka. Ale, jak zawsze, bała się coś zepsuć w przyszłości Ireny, czyniąc zadosyć swym upodobaniom czy przywidzeniom, i tym więc razem, bez jednego słowa oporu czy skargi, przygotowywała się do drogi.

Cesia, ściskając matkę, uspakajała ją ile mogła.

— Będę pilnowała Amelki — mówiła. — Wujka będę się starała utrzymać w dobrym humorze. Teraz nastały różne inspektowe nowalijki... z ich pomocą może mi się to uda.

— Tak, moje dziecko, pamiętaj o nim... widzisz, my starzy, mamy nasze nawyki... Jedna rzecz mnie pociesza, to, że tego chorego chłopca zostawiam na dobrej drodze. Pilnuj Andrzeja, żeby mu nie dawał za wiele jeść... żeby mu przypadkiem nie dał czego niestrawnego. Zresztą we wszystkiem odnoś się do cioci Józi...

— Ten żarłok nie dostanie nic szkodliwego... będziemy go trzymali na dyecie, ale to szczęście, że się jeszcze ruszyć nie może i nie ma siły chodzić, bo-by z pewnością wyszukiwał sobie w sekrecie jedzenie.

Irena bez zapалу opuszczała Mirsk. Była bardzo wymagająca co do towarzystwa, co do zabawy, i rzadko znajdowała w niej prawdziwą przyjemność. Nie należała zresztą bynajmniej do kobiet, potrzebujących zabawy do życia. Temu, co w świecie za przyjemność było uważane, oddawała się raczej z chęci zastosowania się do mody, ulegając towarzyskim przesądom, niż z wrodzonej skłonności. Lubiła tylko od czasu do czasu zaznaczyć, że wrażenie, wywołane jej ukazaniem się, było zawsze to samo, że nikt nie myślał zaprzeczać jej pierwszeństwa w piękności. Wkoło niej podrosły panny, które małemi dziećmi pamiętała, ale nie bała się żadnej z nich. Wszystkie prawie były małe i nikłe, i mogła patrzeć na nie z góry; te zaś, które

wzrostem jęj dorównywały, były nieładne lub niezgrabne. Ona czuła się i była zawsze jedyną między niemi, zupełnie piękną kobietą. I tym razem, w tém doborowém towarzystwie w Ujazdowie, gdzie się przez dni kilka znajdowała, potwierdzoném jęj zostało to, co lustro mogło jęj powiedzieć codziennie. W teatralnym swym występie zyskała owacye i tryumf zupełny.

Pani Solska wśród tego grona strojnych, zalotnych kobiet i flirtujących mężczyzn, czuła się smutną i chwilami bardzo znudzoną. Myślała o interesach majątkowych, które z obowiązku prowadziła sumiennie, o Amelii, Cesi, Waciu i o swoim Mirsku, w którym roilo się dla nięj tyle maluczkich a tak jednak zajmujących spraw.

Pod jęj nieobecność, Zubecki przyznawał sobie prawo wtrącania się we wszystko, dysponowania, rozporządzania wedle własnego widzi mi się. Służący udawali, że spełniają ściśle jego rozkazy, rządca grał rolę powolnego wykonawcy, a śmiał się pod wąsem; ale ta rola wszechwładnego pana w Mirsku dogadzała próżności Zubeckiego. Dysponował nawet obiady, co czynił z prawdziwém amatorstwem. Cesia jednak i jego w swoją siatkę łapała. Sam nie wiedział, jak przyjmował myśli, poddawane mu przez dziewczynę. Nie mogła ona tylko wymyślić pojedynczego łącznika między Zubeckim a Amelią. Pani Boliwina nie przychodziła nawet na obiad, tak ją niecierpliwił i jątrzył ton rozkazujący wuja i złość, z jaką lubił się rzucać na pierwszą lepszą ofiarę. Amelia lubiła Plewaczka, poczciwego, spokojnego i łagodnego Czecha ziemczonego, który w kufiu piwa widział swe szczęście, a przy fortepianie stawał się inteligentnym i czułym na wszystkie odcienie muzyków. Akompaniował jęj do śpiewu na zawołanie. Czasem w nocy budzić go kazała i poczciwe Niemczysko, z uśmiechem dobrodusznym, przychodziło wyciągnięte z łózka akompaniować zdenerwowanej kobiecie, szukającj w śpiewie lekarstwa, zapomnienia i zabicia czasu, którego jęj sen skrócić nie chciał. Zubecki widział sympatyę Amelii do Plewaczka, lubił w jęj obecności upokarzać biednego nauczyciela muzyki, który ani się obrazić, ani się bronić nie umiał. Amelia podejmowała wtedy rękawicę, przyczém i jęj dostawały się rozmaite przykre przycinki; Plewaczek zaś, zaraz po obiedzie, zgadzał się towarzyszyć w przechadzce staremu tetrykowi i być ciągle i wiecznie kozłem ofiarnym. Cesia nieraz próbowała wyjednać przynajmniej zawieszenie broni między Amelią a Zubeckim, ale zawsze kończyło się nagłém zerwaniem i migreną, albo spazmami Amelii.

Pomimo te wszystkie kłopoty i trudy, Cesia była uszczęśliwiona. Odkryła, że w Wielewiczu przybył jęj wyborny towarzysz. Był ze wszystkich w domu jedynym, którego wiek zbliżał do nięj. Zdrowie

wracało mu jak na skrzydłach; codzień spozstrzegać się dawał nowy postęp. Wśród natury rozwijającej się i codzień w nowe strojącej się liście i kwiaty, i ta młodość nabierała sił, życia. Zdawała się być jakąś jej częstką, posłuszną potężnemu wołaniu wiosny. Cesia mu czytywała głośno, ale książka najczęściej była pretekstem; czytanie przerywała rozmowa wesoła, opowiadanie wzajemnych wrażeń i wydarzeń z przeszłości. Cesia mówiła o swoich lekcyach, o nauczycielkach, o zamiarach na przyszłość. Wspólnie układali zawód dla Franka i dla jego zdolności szukali pola; rojenia Cesi znajdowały oddźwięk w zapalanej i entuzjastycznej duszy młodzieńca. I on był fanatycznym przyjacielem ludu, widzącym w nim przyszłość narodu. Oświata ludowa była jego najdroższym celem. Rozumieli się z Cesią wybornie. Może, gdyby ich był podsłuchiwał jaki doświadczony sceptyk, byłby się rozśmiał i ochrzcił ich mianem dwojga dzieciaków, ale oni wierzyli mocno w obietnice swych marzeń i było im słodko roić je wspólnie.

Wielewicz mówił też Cesi o sobie. Wiedziała, z jakimi musiał walczyć przeszkodami, nim się nareszcie dostał do szkoły sztuk pięknych, jak się potem musiał bronić nędzy... Jak przez parę tygodni przed zachorowaniem na dobre, czuł, że życie jego jest w mocy jakiejś niewidzialnej siły, chcąc go powalić o łóżko. On się jej opierał, szamotał się z nią, walczył i coraz bardziej ustawał w walce. Chodził do szkoły, dawał korepetycje, a za nim chodziło wciąż to widmo, które, to mu przed oczyma ciemnością stawało, to mu chodziło po plecach dreszczem, to mu uderzało do głowy krwią jak młotem, to mu do nóg sięgało stufuntowym ciężarem, to w ręce jego olówek febrycznym drganiem potrząsało. Potem już mało pamiętał. Wiedział, że matka uczyniła coś nadzwyczajnego, by znaleźć pieniądze na przyjazd i przywiezienie go do domu... może duszę zapisała... Zresztą wszystko przed nim jak przez mgłę przeciągnęło. Odzyskiwał czasem przytomność, wiedział, że go z Warszawy znów gdzieś wieźli, ale naprawdę wyraźnie zobaczył dopiero starą twarz Andrzeja, pochyloną nad sobą... A potem dopiero różne doskonałości, różne rozkosze, różne szczęścia: okno otwarte, fiołki, tacy dobrzy ludzie wkoło... potem wyjazd w wózku pod lipy i biała panienska, którą nagle ujrzał przed sobą, otworzywszy oczy z pół-drzemki, kołyszącej go na świeżym powietrzu. Przytęm Maj, wiosna! Ah, jaka rozkosz czuć, że się zmartwychwstaje, że się ożywa! Ani się wiedziało, że życie to taka rzecz dobra! Doprawdy dobra!..

Przy tych słowach uśmiechali się do siebie i rozglądali się wkoło. Oboje byli rozrzewnieni tą łaską, która blademu, bezsilnemu, wycieńczonemu biedakowi pozwalała odczuwać, jako rozkosz, każde tętno obiegającego w nim życia. Wiosna dawała im swoje jasne spoj-

zenia, swoje rozmarzone uśmiechy, które otwierały ich serca do przyjaźni. Bawili się czasem, jak dzieci; szukali szczęścia w biegu, urządzali koncerty na fujarkach, układali bukiety. Noiret często się do nich przyłączał z Waciem, który z wiosną miał się gorzej, niż w zimie. Podejrzliwy Francuz z pod oka patrzył na częste przebywanie Cesi z nowym przyjacielem. Może się bał, by miłość nie popsula ich swobody i wdzięku tego wiosnianego stosunku? Nie wiedział, że Wielewicz miał się za zabezpieczonego przeciwko jęj intryganckim manewrom. Kochał.

Z tępem się Cesi nie zwierzył, ale gdy był w ostatniej klasie gimnazjum, polubił namiętnie wodę sodową, podawaną rękami dziewczyny, niegustownie ale pretensjonalnie i jaskrawo ubranęj, a ogromnie wesołej i zalotnej. Dziewczyna lubiła czytać powieści, co mu dało pewność, że wykształceniem znowu nie tak bardzo się od niego różniła, chodziła czasem do teatru i poznawała na ulicy wszystkich aktorów. Poprzysiągł, że się z nią ożeni i kochać nie przestanie. Dziewczyna była córką piekarza, tak jak Fornaryna, a żony wielkiego malarza nikt nie pyta, częp była i skąd wyszła. Wielki malarz na palecie swęj ma to, częp się kobietę w jedną z wybranek losu przemienia. Ożeni się z tą, a nie z inną, i dopiero pokaże światu! Jeszcze gdy z wielkim dreszczem, przebiegającym całe jego ciało, i z piekłem w głowie kładł się na łóżko szpitalne, ostatnią jego myślą była Fornaryna, tak bowiem nazywał swą dziewczynę z budki z sodową wodą. W gorączce widział kipiące wodą i syczące syfony: potęp, gdy w Mirsku przychodził do samowiedzy, przypomniał sobie, że miał coś drogiego... coś, co jak perłę nosił w myśli... Obejrzał się za siebie... Co to było takiego? Fornaryna! Chciał o nięj myśleć, nie miał jednak siły ani na zapal, ani na tęsknotę; potęp zaś do walki z Fornaryną wystąpił współzawodnik potępny — głód. Myślał więcęp o różnych pożywnych potrawach, niż o nięj. Gdy się znalazł wśród prześlicznego parku Mirskiego, gdy go otoczyła wiosna i głosem ptaków i owadów mówić mu poczęła jakieś cudowne rzeczy, których nie rozumiał, ale które go zachwycaly, gdy zaczął upatrywać między drzewami jasnej sukni Cesi i oczekiwać godziny skończenia się lekcji; wtedy Fornaryna pobladła mu, choć tego przed sobą nie zeznawał. Uważał swoją miłość jako fakt historyczny, o którym wiedział umysł jego. Serca swego nie badał. Gdy wszakże mówił sobie jako przypomnienie: „Aha, a Fornaryna?“, wtedy nie myślał jakoś o nięj, jako o towarzysze życia, tylko jako o modelu do obrazu. Kiedy mogła sobie sławę europejską zdobyć dziewczyna, podająca na tacy filiżankę czekolady, czemuż-by dziewczyna, nalewająca z syfonu pieniącą się wodę, nie mogła uwiecznić malarza? Ale i projekt obrazu

zacierał się powoli w jego umyśle. Mieli z Cesią tyle zajęcia, tyle projektów, a tak mało czasu. Co za niemądry zwyczaj, by dorastające dziewczynki siedziały w Maju godzinami nad nauką i by się nad nimi zęcały aż dwie nauczycielki i jeden nauczyciel muzyki! Jan oczekiwał chwili, w której będzie miał siłę pójść z Cesią na dziedziniec między czworaki, gdzie na widok panienki nadlatywały dzieci, jak stado gołębi. Artystyczna wyobraźnia młodzieńca ukazywała mu tę scenę, jako wdzięczny obrazek. Ta Cesia! Takie miała słabe pojęcie o sztuce! Projektowali jakąś w przyszłości podróż artystyczną, w której on-by był dla niej przewodnikiem przy zwiedzaniu galerii i muzeów. Kiedy to miało być, jak i dlaczego, tego bliżej nie określali. Ubogi chłopak, często głodny z braku kawałka chleba, ani na chwilę się nie zatrzymywał w podróznich swych projektach. O wycieczkach artystycznych marzył, jak wielki pan, dla którego kwestya pieniężna nie istnieje wcale.

Rozwinięcie w Cesi zmysłu piękna i rysunku było konieczne. Przyniosła ona Janowi swoje kajety, gdzie kopicwała z natury: kalamarze, lampy, postumenty, rami i t. p. Panna Forgett zajmowała się jój kształceniem w tym względzie i sama podobno ładnie rysowała, ale Cesia tak nic nie miała zdolności! Pokazała też już bez wskazówek i kierunku narysowanego konia, którym miała uszczęśliwić Franka. Widok tego zwierzęcia wyprowadził Jana ze spokoju. Takiemi prezentami można było spowodować w dziecku zaniknięcie na zawsze uczucia piękna! Ten koń był czémś obydniem!

— Prawda? Ja tak źle rysuję! Nie mam żadnych zdolności. Za to Irenka! Żeby pan widział, jak Irenka maluje!

Noiret coraz bardziej czuł się w obowiązku pilnować młodej pary. Czarne, przenikliwe oko Francuza, za lada wybuchem śmiechu Cesi i Jana, wymierzało ku nim strzałę podejrzliwego spojrzenia. Zdawało mu się, że był obowiązany do czuwania w nieobecności pani Solskiej. Z oburzoną uwagą udał się do Józefy, ale stara panna, idealistka, optymistka i wiecznie niewierząca w żadne niebezpieczeństwo, w żadne zło, zawołała z przestachem:

— A, na miłość Boską, nie okaż pan Cesi żadnym słowem, żadnym spojrzeniem, że pan jój postępowanie potępiasz, że pan się boisz o następstwa! Nie brudźmy wyobraźni i uczuć tego dziecka. Ona oddaje się towarzystwu tego chłopca z taką naiwnością! Najprzód przez dobroć zajęła się nim, jako chorym, teraz ma w nim towarzysza, dzieciniego jak ona! Ah, nie poddawajmy jój myśli, które nigdy nie pozostały w jój głowie! Panna, która unika mężczyzny, z obawy wzbudzenia lub doznania miłości, jest znającą życie, doświadczoną kobietą; a to dziecko bawi się, bo zabawa jest koniecznością dla dziecka. Nie

ma tu towarzystwa stosownego dla swego wieku i młodość jej szuka tej drugiej młodości... Dajmy im pokój, panie Noiret! Niech pana nie łudzi wspomnienie paryskich dziewcząt, zepsutych od kolebki. To jest zdrowe, wiejskie dziewczę, nie rozumiejące co kokieterya! Byłoby zbrodnią ostrzegać ją przed niebezpieczeństwem, które wcale jej nie grozi i którego ona nie pojmuje!

— Jestem zdania, że czy polska wiejska dziewczyna, czy zepsuta Paryżanka, zawsze jej grozi niebezpieczeństwo. Każda siedemnastoletnia zakochać się może.

— To są sprawy, którymi kieruje Bóg! Proszę, panie Noiret, zostaw pan rzeczy, jak są. Odpowiem za nie przed matką Cesi.

Noiret nie łatwo ustępował.

— Nie rozumiem po polsku — rzekł — a ten młody człowiek nie umie po francusku, rozmowa więc z nim panny Cecylii toczy się po polsku, ale ostrzegam panią, że oczy tych dwojga młodych i ich wesołość bardzo podobna do poczynających się zalotów.

— Ten Noiret to musi być bardzo zepsuty człowiek — mówiła Józefa do Amelii — uważałam, że zepsuci mężczyźni zawsze podejrzewają każde spojrzenie, każde słowo zamienione... Wyobraził sobie, że Cesi grozi niebezpieczeństwo, dlatego, że po skończonych lekcyjach rozmawia czasem z Wielewiczem.

— Może Noiret zepsuty, ale pani zanadto jesteś łatwowierna! Zresztą tu się rzecz wcale nie z tej strony przedstawia. Co za bieda, że ja w upał wcale wychodzić nie mogę i dopiero po zachodzie słońca! Była-bym zapobiegła temu niedorzecznemu zaprzyjaźnieniu się Cesi z nieznanym chłopcem. Ja się dla niej nie boję miłości! Panienska w jej położeniu!.. Co za pomysł! To tylko Noiretowi mogło przyjść do głowy! Ale z innego względu to nie ma sensu, żeby ona z nim przebywała! Jakiś pierwszy lepszy... Wielewicz...

Amelia zrobiła pogardliwą minę.

— Zdaje mi się, że to chłopak zupełnie przyzwoity. Nie mówię, by był partyą dla Cesi, ale nie widzę, by towarzystwo jego było dla niej nieprzyzwoite.

— Jest zupełnie nieprzyzwoite! Dlaczego nie przebywa ona z panną służącą, z kasyerem, z gorzelnikiem? I to są może przyzwoici ludzie.

— To zupełnie co innego!

— Nie widzę różnicy. Syn rządcy domu... Jakiś może bardzo dobry chłopak, ale przecie nie człowiek z towarzystwa! I gorzelnik uczył się chemii w jakimś specjalnym zakładzie, i kasyer skończył szkoły, a przecie nawet nie jadają u naszego stołu i, spotkawszy którą z nas, zdaleka się kłaniają... tego zaś chłopca, dlatego, że go

tu z malaryą przysłano, mamy dawać Cesi za towarzysza? To musi być zreformowane! Zajęła-bym się tém sama, gdyby mama nie wracała jutro. Muszę tylko zrobić moje uwagi... Przyznam się, że mię odpadła ochota wtrącania się do wychowania Cesi... Kierują nię takie dzikie pojęcia! Mama gotowa uważać rzeczy, jak pani! To bardzo prawdopodobne!

— Prawda, że pod względem Cesi nie mogę się nigdy zgodzić z tobą i Irenką. Dla mnie to dziecko jest tak dobrze wychowane i tak od dobrej natury obdarowane...

— Skończy się na tém, że jęj to panie wmówicie! Już i teraz ma się za figurę! Wtrąca się do wszystkiego i wkrótce ona tu będzie panią... wszystko działać się będzie tak, jak ona zechce!

— Biedna moja Cesiulka! Ani jęj w głowie nie powstały zamizry despotyczne! Ma wprawdzie swoje królestwo, ale nad sercami tych, co ją poznać umieli.

Amelia rozśmiała się szyderczo. Miała Józefę za egzaltowaną starą pannę i często naśmiewała się z nięj z Ireną, przytaczając jęj nieco przesadne wyrażenia. I teraz to królowanie Cesi nad sercami wydało jęj się wysoce komicznęm. Przynękała sobie powtórzyć i ten frazes Irenie, o któręj w ostatnich dniach myślała często. Ile razy swoich własnych ran nie otwierała i nie poila się żółcią, myśląc o Boliwie, tyle razy myśl jęj biegła ku Irenie. Nie mogła zapomnięć pięknej swęj siostry, gdy, wsparta na łokciu, w pozie, w któręj malują Kleopatę, wypowiadała dziwne swe myśli. Z tych wyznań Ireny wiało coś niepojętego a strasznego, co przejmowało Amelię dreszczem. Więć może w każdęm sercu ludzkięm leżą porywy, których nie domyślają się ani otaczający, ani nawet ten, w któręm dotąd obumarłe spoczywały, jak uspiiony i skulony wąż, a dosyć lekkiego potrącenia, by, jak nadeptany wąż, się zerwały. Amelia wiedziała, że Irena pójdzie za Eugeniusza, myślała wszakże dawnięj, że będzie to małżeństwo konwencyjonalne, spokojne, mające na względzie nie miłość, lecz świat i jego wymagania; teraz zaś przeczuwała, że Irena do tęj spółki przyniesie spokój, wywalczony i pozorny, a w duszy wielkie uczucie próżni i żal za tém, czego zaznać w życiu nie było jęj danęm. Gdzież więc jest szczęście na tym świecie? Takie pytania wprowadzały zawsze Amelię na tor własnych smutków, nad które większych nie widziała w życiu.

W dniu, w któręm przyszedł telegram od pani Solskięj z rozkazem wysłania powozu na stacyę w oznaczonej godzinie, Jan doczekał się chwili, w któręj już nie wózkiem wyjechał do ogrodu, ale wyszedł, wsparty na ramieniu Andrzeja. Wielka już była zmiana w wyglądzie rekonwalescenta. Lekki rumieniec krasił jego blade po-

liczki; szczególnież wyraz pięknej twarzy chłopca był samém weselem i nadzieją. Codzienny postępek ku zdrowiu ciąglą napawał go radością. Wiosna, młodość i powrót sił otaczały go aureolą szczęścia. Był jeszcze drżący, trochę pochylony, niepewny własnych kroków, co mu dawało pozór wielkiego dziecka, probującego chodzić po raz pierwszy. Śmiał się przytém, jak dziecię. Żartował z własnego niedołęztwa, cieszył się przejściem szczęśliwém przez próg, zejściem ze schodów... Boże, co za rozkosz stąpać po ścieżce i poruszać się o własnych siłach! Cesia chciała koniecznie być świadkiem pierwszej próby. Radowała się i truchlała, jak młoda matka, której dziecię nagle na odwagę stanięcia na nogach się zebrało. Śmiała się wraz z Janem, a potém nagle, mimowolnie, wyciągała ręce, gotowa do pomocy przy każdym chwiejnym kroku. I znowu śmiech z jęj strachu i ochoty podtrzymania wielkiego dziecka.

— Panno Cecyljo?

— Niech pan nie mówi, niech się pan ku mnie nie zwraca, bo się pan przewróci!

— Nie, nie, idę coraz lepiej! Czy pani ma jaką władzę nad... Nie mogę mówić przy Andrzeju.

— Aha — gderał Andrzej, rozweselony radością dwojga dzieci — jak się było chorym, to się ze wszystkiém udawało do Andrzeja... A teraz, to już było-by lepiej, żeby go nie było.

— Kiedy, widzi Andrzej, to idzie o sąd... o wydanie wyroku... Andrzej może być stronny... Panna Cecylja zrozumie moją surowość i użyje swych praw, by sprawiedliwość wymierzoną została. Ja go skazuję na stos!

— Cóż to? Kacercz jaki? Andrzeju, nie traćmy nadziei, że pan zostanie księdzem, bo ma inkwizytorskie zachcianki.

Andrzej nic nie zrozumiał. Uśmiechał się jednak dobrodusznie.

— Więc na stos? — pytała Cesia — żadnego ulaskawienia być nie może?

— O! gdybym słuchał głosu mojej nienawiści, tobym jeszcze przed spaleniem na stosie skazał na tortury. Sam-bym ćwiartował! Nie domyśla się pani? Chodzi o wózek, w którym przez te dwa tygodnie jeździłem. Dopiero teraz wyznam pani, że go nienawidził, jak więzień nienawidzi stróża więziennego, jak pacjent nienawidzi oprawcy!

— Nic nie winien. Sąd pono nie potwierdzony.

Ławka pod lipami była pierwszą stacyą. Nie chciano Janowi pozwolić na dłuższy spacer. Zmęczył się tak, że aż pobladał. Ale to nic, to przejdzie... Od wszystkiego się odwyka i potém na nowo przyzwyczajając się trzeba.

niż o samej Fornarynie i o swoim z nią małżeństwie. Czasem jeszcze myślał o obrazie, chociaż co do niego zaszły w jego umyśle pewne zmiany. Fornaryna zawsze za model służyć miała, ale chciał jej dać kolor włosów Cesi i ręce tej ostatniej. Cesia bowiem miała takie ręce, jakie tylko u marmurowych bogiń widywał. Nawet jedną z tych rączek musi przerysować, gdy tylko zupełnie silnie i pewnie będzie mógł trzymać w ręce ołówek. Dziesięć razy na dzień mówił sobie: „Odkryję jej tajemnicę mego życia“, a gdy Cesia zjawiała się, znowu odkrycie owej tajemnicy stawało mu się niepodobieństwem. Wahania się jego nagły i niespodziany znalazły koniec. Odebrał już był odpowiedź od rodziców i nie spodziewał się żadnego listu, gdy Andrzej, z miną matki, niosącej choremu dziecku cukierek, oddał mu list, zaadresowany niewprawnie i krzywo. To Fornaryna, uwiadomiona przez siostrę Jana o jego adresie, pisała do niego. Był to pierwszy list od niej. Jan nie znał jej pisma i stylu, który okrył jego czoło rumieńcem wstydu. Biedna dziewczyna pisała w sposób trywialny i wymuszony zarazem. Jan podarł list w drobne kawałeczki i znalazł dość siły, by go okutym kijem, który trzymał w ręku, zakopać w ziemi. Potem mu się żal zrobiło Fornaryny. Zawstydził się swego wstydu. Cóż była winna biedna dziewczyna, że ortografii nie znała i nie umiała trzech zdań z prostotą ułożyć? Nic nie była winna, jednak tajemnicy swego życia narzeczony jej Cesi powierzyć nie mógł. Czuł, że już z pokusą otwartości był koniec. Nie powie Cesi nigdy, nigdy o Fornarynie!

Wyrwał go z rozmyślania Andrzej, przychodzący po niego, bo na wieczornym chłodzie zostawać było niebezpiecznie.

— Tylko co przyszedł drugi telegram od pani... przyjedzie nie południowym, ale nocnym pociągiem... Pewno tam jakiej sukni z magazynu nie odnieśli, albo co!..

— Żebym był panem, tobym nigdy listów nie pisał, tylko-bym posyłał telegramy.

Mimowoli pomyślał, że biednej Fornarynie lepiej-by się był zapewne udał telegram, niż list.

— Panem! — mruczał Andrzej. — Juźci panom dobrze na świecie... Toć i nasza pani, wielka pani!

— Bogata?

— I bogata bardzo, i to wielkie państwo!.. z wielkiego rodu!..

— Ja nic nie wiedziałem, do kogo tu jechałem i czy to wielkie państwo — rzekł Jan, trochę drwiąco.

— O, ho, ho! Takiego wielkiego państwa to rzadko! Wielkie tony! To się znają tylko z hrabiami, z książętami... I pani, hrabianka z domu. Krewnych też mają samych wielkich panów...

Jan był wychowany w skromnym mieszczańskim kółku i wyrazi: *wielki pan, wielka pani*, miały dla niego trochę niejasne znaczenie. W zasadzie kochał lud i uważał go za pokrzywdzonego, ludzi zaś warstw wyżej położonych—za krzywdzicieli. Własne ubóstwo, które przy życiu w mieście narażało go na zachcianki nigdy nie zaspokojone, a przytém ocierało się ciągle o widok zbytku i przepychu, nie mogło usposabiać serca jego tkliwie dla obdarowanych przez los. Znał z ulicy kilku wielkich panów, których nazwiska przypadkiem się dowiedział; widywał bogate, wystrojone panie w karetach; był to wszakże dla niego świat nieznany a zaciekawiający, wreszcie, jak mu się zdawało, zupełnie inny, niż ten, w którym żył. Świat ten zasługiwał, jak sądził, na jego pogardę. W tém uczuciu bywał utwierdzany przez kolegów, mających też same przekonania i te same uczucia, co on. Czasem przed nimi podniecał się do słów, które mogły świadczyć o nienawiści jego dla tych nieznajomych, co mieszkali w pałacach, w gruncie jednak nienawiści bynajmniej nie czuł. Był na to zanadto szczęśliwym, pomimo ubóstwa. Młodość, powodzenia szkolne, zdolności i wiara w świetną artystyczną przyszłość, oczyszczały jego serce od uczuć gorzkich. Czasem szarpnęła niemię chwilowa zazdrość dla wykwiutnego stroju, ocierającego się o jego wyszarzaną odzież; czasem, gdy przechodził błotnistą ulicą, miał żal do przejeżdżającego dorożką nieznajomego. Prędko się otrząsał. I on kiedyś... Tak, będzie jeździł własnym ekwipażem, a damy wielkiego świata będą się dobijały...

Czy Cesia była wielką panią? O! nie, z pewnością nie. Taka dobra, wesoła, pełna prostoty dziewczynka! Przecie to nie takie są wielkie panie! A te dwie niemłode kobiety, które go odwiedzały, gdy jeszcze z łóżka podnieść się nie mógł? Cóż one miały w sobie wielkopańskiego? Pocziwe, siwe kobieciny, ubrane czarno, z dobrymi, słodko patrzącymi oczami... także pełne prostoty i mówiące tak zwyczajnie!

Nazajutrz dowiedział się od Andrzeja, że pani z panną Ireną powróciły nad ranem. Stary sługa zapewnił go, że się pani bardzo ucieszy, gdy zobaczy, że chory, co się ruszyć nie mógł, chodzi już w najlepsze. Rzeczywiście kij już wystarczał Jauowi do podpory. Ramię Andrzeja było zbyteczne. Nie chciał tylko jeszcze przychodzić do stołu, choć Cesia mu to proponowała, bo ręka czasem go jeszcze zawodziła. Mógł coś rozlać lub stłuc, coby mu było bardzo przykre wobec zgromadzonego towarzystwa. Lada dzień wszakże i ręka się wzmocni. Jaki on już teraz był silny! O kiju, z odpoczynkami na ławkach lub murawie, chodził po całym parku. Czasem Andrzej z jeźdzeniem odnajdował go w leśnej, sztucznej gęstwinie, kończącej park

z jednej strony, nad kanałem, w ogrodzie owocowym... Co za rozkosz iść za własną myślą, za własną zachcianką, bez pomocy niczyjéj! Ci, którym ta możność przenoszenia się z miejsca na miejsce nigdy odjętą nie była, nie znają swego szczęścia.

Jan czuł je w całej pełni. Zostawiony samemu sobie przez większą część dnia, odkrywał park w Mirsku. Co chwila przedstawiały mu się nowe piękności, nowe widoki, które on duszą artysty odczuwał. Czasem, wśród monotonnej pieśni much i komarów, odurzony ciepłem, zachęcony miękkością trawy, leżał w cieniu drzew w półsenny, pozwalając godzinom ubiegać niepostrzeżenie; czasem obserwował mrówki lub inne jakie żyjątka, zapracowane, dążące z pośpiechem i tchnące taką wyraźną pewnością, że świat dla nich jedynie stworzonym został. Ogarniało jego duszę coś takiego, czego nigdy jeszcze nie był doświadczył. Niczego nie pragnął, za niczem nie tęsknił, niczego nie oczekiwał. Był jak łódka, która zwinęła żagle i stoi w ciszy. Natura zabierała go sobie, a on nie próbował się bronić. Wsiąkał w nią duszą, oddawał się jéj i pozwalał się kołysać jéj pieśniami. Pierwszy raz w życiu znajdował się na wsi na czas dłuższy. Wiesz widywał tylko w ilustracjach, w kilku wycieczkach kilkogodzinnych w okolicy Warszawy, wreszcie przez okno wagonu, w drodze do Petersburga. Wzdychał do niéj jako artysta; teraz pokochał ją, uczył się jéj tajemnic, podglądał, podsłuchiwał i marzącą głowę składał na jéj łonie. Ona brała go w ramiona, jak dziecię.

Czego sam domyślić się nie mógł, tłómaczyła mu Cesia. Śmiała się z niego, że nie umiał rozróżnić pszenicy od żyta i nie wiedział, jakie miejsca w lesie lubią grzyby, a jakich szukają rydze i masłowchy. Pokazywała mu kwiat grabiny, orzeszyny, klonu, jaworu. Przyjaźń ich coraz to była głębszą. Przyzwyczajali się do siebie i śmieli się teraz z wyobrażenia, jakie jedno o drugim z początku sobie robiło.

O przyjaźni ich pani Solska musiała stoczyć walkę z córkami. Amelia, zaraz po powrocie Ireny, udzieliła jéj wiadomości o nietaktowném postępowaniu Cesi. Obie udały się do matki z przedstawieniami. Pani Solska zgodziła się na odsuwanie Cesi od Jana, ale tylko zajmując ją gdzieindziej, dając jéj inne rozrywki. Na otwieranie jéj oczu nie pozwoliła. Co jéj miała powiedzieć? Nic tak nie odejmuje naiwnéj nieświadomości złego, jak ostrzeżenie przed nié. Co zaś do nierówności położenia towarzyskiego, można ją było pominąć, ze względu na okoliczności. Tymczasowość pobytu w Mirsku chorego chłopca sprawiała, że był to stosunek chwilowy, nie pociągający za sobą dalszej znajomości.

Irena gniewała się jeszcze mocniej, niż Amelia. Pozwalać tej Cesi tak się „encanailłować!“ Nie znała dotąd Jana, a była pełna gniewnego usposobienia względem niego. Żeby go jaknajprędzej wyprawić!

— Wyprawić go? Przecież mu nakazane zostało wiejskie powietrze! Ledwie o kiju chodzić zaczął, jeszcze bardzo mizerny. Nawet do stołu jeszcze przychodzić nie może.

— Co? mama go myśli do stołu zapraszać?

Pani Solska nigdy nie mogła zrozumieć swych córek starszych. Pojęcia ich zawsze ją zdumioną pozostawiały. Czém mogły żyć te serca kobiece, kiedy nawet dobre uczynki tylko ze stanowiska próżności im się przedstawiały? Często, ukorzona przed ołtarzem wiejskiego kościoła, prawie sama jedna wśród jego ścian, o ranniej godzinie, pani Solska modliła się gorąco o łaskę, zwracając dusze jej córek starszych ku zawsze czystej, zawsze wzmacniającej krynicy miłości bliźniego. Niech wśród głupoty, próżności, nędzy i kłamstwa tego wszystkiego, co się życiem światowem nazywa, doświadczą narzeczcie czystej rozkoszy, wypływającej ze współczucia!

Ile razy pani Solska przebyła dłuższy czas wśród rozbawionego świata, tyle razy czuła się zranioną. Małe próżnostki, zawiści, obmowy, powierzchowność stosunków, w których przyjaźń i sympatya taką zdawkową, taką konwencyjonalną grały rolę, przyprawiły ją o cierpienie. Zdawało jej się, że za jej młodości było inaczej. W młodych kobietach było więcej duszy, w mężczyznach więcej głębokości, honoru, obywatelskich uczuć. Dziś tylko używanie, używanie; i to w sposób jakiś gorączkowy, niespokojny, szukający nowości, prerafinowania... jakby każdy był goniony przez nudę i wymyślał sposoby, aby przed nią uciec. I ten sposób uciekania od niej najmniej szlachetny: obmawianie i ośmieszanie współnych znajomych!

Uczucia te matki Amelia i Irena miały za chorobliwą mizantropię stariej kobiety, która tak się zżyła ze swoim Mirskim i z działalnością, jaką w nim rozwijała, że jej dobrze było tylko we własnym domu.

— Eugeniusz był naturalnie cały czas z tobą? — pytała Amelia siostry, bacznie obserwując wyraz jej twarzy.

— W Ujazdowie był. Potem spotkałyśmy go w Warszawie.

— I wszystko dotąd w zawieszeniu? Jakże się to skończy?

— Że wszystko na świecie ma swój koniec, więc i to się skończy jakoś... Nie wątpię, że się skończy, jak w moralnej powieści — małżeństwem. Coraz bardziej cenię Eugeniusza... coraz bardziej mi się podoba. Z przedziwnym taktem rozumiał moje obecne usposobie-

nie. Przeczul, że gdyby mi mówił o swojej miłości i zamiarach, gotowa-bym mu raz na zawsze dać odprawę.

— Nie spotkałaś wymarzonego rycerza?

— Amelko!.. Gotowaś mię zniechęcić do zaufania względem ciebie! Są rzeczy, które się zaledwo przed sobą wyznaje, lub przed osobą najbliższą, w chwili napadu otwartości. W zwyczajnych godzinach nie dobrze o nich wspominać!

Zmarszczka wystąpiła na czoło Ireny. Wyszła od siostry, nie chcąc dłuższej z nią rozmowy.

Piękna panna lubiła ukrywać zmienność humoru w samotności, a gdy była poruszona, potrzebowała fizycznego ruchu, który jęj nerwy do równowagi doprowadzał. Wyszedszy od Amelii, udała się do ogrodu, gdzie zawsze wybierała odległe i mało uczęszczane zakątki. Niedyskretne zapytanie siostry, które innym razem za żart-by była przyjęła, nasunęło jęj znowu na myśl konieczność postanowienia o własnej przyszłości. Szła zamyślona, kierując się ku laskowi, o którego gęstwinę opierał się park. Były to zarośla, sadzone ręką ludzką, wśród stojących z rzadka starych drzew dawnego lasu. Zwyczajne leśne ścieżki, wydeptane w murawie, przerzynały lasek, tak zarosły miejscami, że się wśród gałęzi z trudem przecisnąć było można. Na takiej ścieżce Irena spotkała się nagle oko w oko z Janem. Młodzieniec szedł niepewnym jeszcze krokiem, zmęczony daleką wycieczką. Na widok nieznamomej stanął. Żdziwienie, zachwyt, przykuły go do miejsca. Zabłąkany wśród zieleni promień słońca oświetlał całą postać Ireny, i wrażenie, uczynione przez nią na młodzieńcu, potęgowało się jeszcze przez zachwyt artysty. W aureoli słonecznych blasków wydała mu się tak piękną, że zachwyt jego przeszedł na chwilę w osłupienie. Irena zmierzyła go dumnym wzrokiem, domyśliwszy się w nim od razu protegowanego Cesi, lecz spostrzegłszy na jego twarzy wyraz gorącego uwielbienia, strzelającego mu z oczu mimowolnym hołdem dla niej, rozchmurzyła oblicze i czekała, by Jan zeszedł z drogi. Domyślił się on wreszcie, że mu to uczynić wypadało, ale gąszcz był z dwóch stron tak trudny do przebiccia, że siły jego podjąć mu nie mogły. Na usta Ireny wybiegł uśmiech, który był jednym z jęj czarów. Rozchyliła gałęzie, weiskające się na ścieżkę, i usunęła się na bok, ustępując Janowi. Młody człowiek przeszedł z ukłonem, ociągając się jakby,—wzrok jego zwracała ku Irenie magnetyczna siła. Ona uśmiechała się ciągle, po-nad głową trzymając nieposłuszne gałęzie i zdając się być uosobieniem wdzięku i siły. Brała hołd podziwu Jana, jako rzecz zwykłą i należną sobie, a jednak zrobił on jęj przyjemność. Dawniej może-by go była przyjęła obojętnie; teraz, gdy lata jęj biegły już po tęg dziesiątce, która dzieli

lat 30 od 40-tu, wrażenie, uczynione na spotkaniem przypadkiem młodzieńcu, było dla niej rodzajem chwilowego tryumfu, który pośchtał jęj dumę. Poszła dalej ścieżką leśną. Uśmiech, wywołany trudnym przejściem, z którego ratować się musiała za pomocą zręczności i siły, niezupełnie zszedł jęj z ust. Twarz ślicznego chłopca, z wyrazem niezmiernego zachwytu, o wielkich oczach, stała jęj w pamięci. Co za piękny i jaki sympatyczny dzieciak! Bładość Jana, okraszona nagle rumieńcem, zapalonym przez jęj widok, trochę jeszcze przeciągnięte rysy, twarz zeszczupiała, w której oczy wydawały się bardzo wielkimi, dawały mu wygląd zastanawiający i Irena przy doznaniem wrażeniu zapomniała o swych troskach. Dobrze, że go śmierć nie zabrała, szkoda-by było takięj twarzy... szkoda-by było tego chłopca!

Wróciła do domu i zaraz sarkazmem zapragnęła zaprzeczyć chwilowęj sympatyi, doznanej dla Jana. Trochę ją to gniewało, że się do niego uśmiechnęła i że jego twarz została jęj w oczach, jak gdyby był jakim następcą tronu, a nie ubogim studentem. Chciała się zemścić za to, że zwrócił jęj uwagę.

— Spotkałam waszego łazarza — rzekła do Cesi, przechodząc. — W istocie ma w tym domu prawa wyjątkowe... nie usuwa się ludziom z drogi.

Wyszła, nie czekając odpowiedzi przerażonej i zdumionej siostry.

— Czém on mógł ją obrazić? — zapytywała siebie Cesia. — Musiał to chyba uczynić przypadkiem.

Umyslna niesprawiedliwość i sarkazm Ireny nie uspokoiły jęj bynajmniej. Była wzburzona i niespokojnie wybiegała myślą w przyszłość. Tryumfy, jakich doświadczyła podczas ostatniej wycieczki, na chwilę zagłuszyły uczucie niezadowolenia, które ją coraz częściej w ostatnich czasach dręczyło. Powróciło ono teraz w całej sile.

— Amelka miała słuszność, pytając mię o mego rycerza — mówiła sobie, krytykując własne usposobienie i umyślnie ośmieszając się we własnych oczach. — Wychodzę na jakąś wdychającą i zapoznaną marzycielkę. Czego mi potrzeba? Mam i miałam zawsze wszystko, co najbardziej wymagającą kobietę uszczęśliwić-by powinno... Dla innych *wybor meża* jest tylko językową grzecznoścą dla płci pięknęj. Nie mogą wybierać, bo w szrankach niema nikogo, lub jeden jaki niedobitek. Ja mogłam zawsze jednęm skinieniem przyciągać, a czuję, że coś w mojem życiu pozostało i pozostanie zawsze niespełnionęm. Czyżby już dla mnie przyszła epoka staropanieńskich żalów?

Od dawna projektowane przedstawienie Janowi dzieci na dziedzińcu folwarcznym mogło już przyjść do skutku. Rekonwalescent podjął się odbyć bez nadużycia sił wycieczkę do tej ziemi obiecanej Cesi. Już gdy się zbliżali, doszły do ich uszu okrzyki: „panienka! panienka!“ Przednia straż dzieci wybiegła naprzeciw Cesi z oznakami radości, którą krępował widocznie nieznajomy młody pan o kiju. Potem, gdy z zebraniem po drodze orszakiem odwiedzający znaleźli się wśród dziedzińca, przypuszczony został istny szturm do rączek Cesi. Coraz to nowe stworenia różnego wzrostu i wieku ukazywały się, wychodzące z różnych kątów, i powiększały grono otaczające. Powoli ukazały się i matki z malcami na rękę. Cesia знаła ten cały światek, wypytywała o chorych, o różne szczegóły życia tych swoich przyjaciół, wlepiających w nią oczy i opowiadających jej swoje nędze, potrzeby i radości. Matki dziwowały się głośno mądrości i sprytowi swoich dzieci: „Już takie mądre, że się musi nie wychowa!“ Inne skarżyły się. Mianowicie z tymi chłopaczyskami była bieda. „Ladacy, proszę panienki, że aż strach! Już i biję, i ręką, i kijem, i czém popadnę, a on swoje i swoje!“ Cesia dla każdego znajdowała słówko dobre i przychylnie. Broniła „ladacego chłopca“: „Uderzyć jak zasłuży, ale kijem bić takie dziecko!“ „O, żeby to tylko kijem! Często i drewnem go przejadę! Raz, jak mię w złość wprowadził, to myślałam, że mu łeb rozwałę wałkiem od ciasta!“

Cesia poczęła mówić. Zwracała uwagę matki na wątłe zdrowie chłopca, prosiła ją, by probowała postępować z nim łagodnie i cierpliwie.

Przemowa „panienki“ zawierała same zwyczajne rzeczy, ale grono słuchało jej jednak z przejęciem.

Jan poprosił, by mu wskazano Franka. Chciał z nim pomówić i przekonać się o jego zdolnościach. Dziecię było niezwykle interesujące. Sama powierzchowność jego zastanawiała. Czysta odzież i wielka powaga w całej postaci wyróżniały go z pośród innych. Jego matka poczęła zaraz opowiadać, jak się sam czytać nauczył, jak go od książki ani odegnać. Jan obiecywał sobie, że często z nim będzie rozmawiał... że wiele rzeczy kształcących mu opowie... Franek odpowiadał z wielkim spokojem, rozważą i sprytem. Uczynił na nowym swym przyjacielu niezmiernie korzystne wrażenie.

Już teraz, gdy Jan dalsze wycieczki mógł odbywać, nie było powodu, by odmawiał siadania do stołu wraz z całym towarzystwem. Na ponowną propozycję pani Solskiej oświadczył, że będzie posłuszny jej życzeniu. Myśl jednak o tym pierwszym obiedzie przejmowała go nieśmiałością i niejakim niepokojem, którym towarzyszyło też trochę ciekawości. Widział Andrzeja w uroczystym codziennym stroju, przystę-

pującego do ważnego aktu usłużenia swym państwu do stołu, wiedział, że się panie do obiadu przebierały i że akt najobfitszego w dniu posiłku otoczony był pewnego rodzaju ceremoniałem; on zaś miał tylko jedno, wyszarżane ubranie; wiedział też od Andrzeja, że przy stole często rozmowę prowadzono po francusku i cierpiał w swęj miłości własnej, że tego języka nie rozumie. Przymtem bał się ze strony Zubeckiego niegrzeczności, na którą, jako człowiekowi staremu, nie mógł dać ostręj odpowiedzi, a która wobec licznego grona podwójnie-by go zranić musiała. Z grona tego dwie osoby onieśmialy go: Irena, której piękność go olśniła, i Amelia, którą sobie jako dziwaczkę wystawił. Z opowiadań Cesi o wiecznie choręj i bardzo nieszczęśliwęj siostrze, z dziwactw, jakimi otoczone było wychowanie Wacia, zrobił sobie o Amelii dziwaczne wyobrażenie, w którem go utwierdziły dobroduszne relacye Plewaczka. Pocziwy Czech łamaną polszczyzną opowiadał o zachciankach pani Boliwiny, zmuszających go czasem do muzykowania wśród nocy, o jęj śpiewie, wprowadzającym ją samą w gorączkę... Plewaczek nie skarżył się bynajmniej, mówił o Amelii z admiracyą; Jan jednak bał się tęj nerwowej osoby. Może ją jego widok drażnić będzie? Może pomyśli, że intruz przy stole rodziny był zbyt czynnym? A jeżeli go posadzą naprzeciw Irenej? Myśl ta onieśmiala go i zachwycała zarazem. Będzie mógł spojrzeć czasem i zobaczyć ten uśmiech, który jęj usta okalał niewysłowionym urokiem...

Przyczesał włosy i co mógł poprawił w stroju. Wszedł jednym z pierwszych do stołowego pokoju. Dnia tego było kilka przybyłych osób na obiedzie, między niemi Eugeniusz, któreg o tak prędko się nie spodziewano. Przedstawiono Jana paniom i panom, wymieniając po prostu jego nazwisko. Poczł się stropiony i nieśmiały. Naraz tyle nieznanomych twarzy! Wskazano mu miejsce między Noiretem a Plewaczkiem. Naprzeciwko siebie miał jedną z nauczycielek Cesi. Irena siedziała daleko, mając obok siebie Eugeniusza. Jan wiedział od Plewaczka, że to w niedalekim czasie jęj narzeczony, i poczał mu się przyglądać z wyteżoną ciekawością. Narzeczony tęj cudnej kobiety! Człowiek, któremu ona z uśmiechem, niedającym się zapomnieć, gdy go się raz widziało, powie: kocham... który tę boginią uwiezie z domu rodzinnego i zaprowadzi pod swój dach. Jakaś dzika ciekawość budziła się w Janie, podczas gdy oczy miał wlepione w twarz Eugeniusza. Co z nięj chciał wyczytać? Sam dobrze nie wiedział. Czy chciał zrozumieć, dlaczego Irena Eugeniusza kochała?

Rozmowę ogólną i bardzo ożywioną podtrzymywała Amelia. Była dnia tego pełna życia i dowcipu; patrząc na nią, ani się domyślić było można istoty, która często dnie i noce na żalach i smutnych rozmyślaniach spędzała. Mówiła o artystach, którzy na nięj najsil-

niejsze wrażenie wywarli, o śpiewakach i śpiewaczkach... Opowiadała o śmiesznym zachowaniu się jednego z nich w towarzystwie, do którego go zaproszono w nadziei, że się da usłyszeć.

— Dziwna rzecz — dodała — jak czasem nawet genialny artysta bywa jednostronny. Ma swój talent i po za nim nic. Jest często grubym, nieokrzęsianym prostakiem, nie zdającym sobie sprawy z wielkości i czystości płomienia, który nosi w piersi. Płomień ten nie oświeca mu żadnych ciemności. Rozgrzewa i olśniewa nim innych, sam pozostaje zimny, jak machina.

— Pani mówi o wykonawcach—ozwał się Eugeniusz.— Prawda, że są między nimi tacy, którym intuicja artystyczna i złożone w nich naturalne obdarowanie zastępuje duszę i inteligencję, bo ani jednej, ani drugiej nie mając, umieją wyrazić je głosem, wydstać je z instrumentu... Ale artyści—twórcy do tej kategorii zaliczeni być nie mogą. Są to w większej części ludzie pociągający osobliwym czarem. Jest w nich zwykle coś, co ostrzega, że to są wybrańcy, że to kwiat ludzkości! Uważałem to wszędzie. Koła świata, rozporządzającego dostatkami, dyktującego mody, ubiegają się o towarzystwo ludzi wybitnych w artystycznym czy literackim zawodzie. Wnoszą oni do jednostajności i płytkości ogólnej jakiś ton żywszy. Czasem jest w nich szorstkość. To nie przeszkadza do oryginalności, a czasem podnosi nawet niezwykłą charakterystykę ich osoby. Jest tylko jeden typ, który mi był zawsze nieznośny: typ próżnego zarozumialca i wielkiego człowieka z powołania i w całej świadomości. Nawet geniusz na tronie, na którym rozpięra się, sam się na nim umieściwszy, jest wstrętny. Ale artyści, nie będący karyerowiczami a miłujący sztukę bezinteresownie, mają specjalną łaskę, dodaną sobie do genialności lub talentu—umieją być żywą, towarzyską indywidualnością, pociągającą i skupiającą wkoło siebie.

Jan patrzył na Eugeniusza z rodzącą się sympatyą. Czuł się w przyszłości jednym z tych wybranych, którym talent otwiera serca, salony, najciaśniejsze koła towarzyskie... którym nietylko oświeca artystyczną drogę, ale opromienia ich słowa, uśmiechy i spojrzenia wyjątkowym wdziękiem. Zarozumialcem? Nie, on nim nigdy nie będzie! Tylko pozwoli temu wielkiemu porywowi ku pięknu, który czuł w sobie, iść swobodnie między ludzi... da im swoje obrazy i da im swoją duszę wszędzie, gdzie się z nimi zejdzie. Da im ją całą, bez skąpstwa, bez zazdrości, bez małych próżnostek, bez głupich wymagań miłości własnej... Da ją i tym, do których ma zaufanie — ubogim, pokrzywdzonym od losu; i tym, którym niedowierza — bogatym, obsypanym darami wszelkimi...

Zubecki, swym suchym, zimnym głosem, począł dowodzić, że do arystokratycznych salonów francuskich, ani artyści, ani literaci wstępu nie mają; że żadna prawdziwa pani gryzipiórkom, komedyantom, bazgraczom na płótnie i wyprawiaczom rozmaitych muzykalnych hałasów ręki-by nie podała...

Wszczęła się krótkka, pełna taktu ze strony Eugeniusza utarczka, zaprawiona ze strony Zubeckiego zólcją. Eugeniusz zamilkł, ustępując staremu tetrykowi; dyskusya z nim była niemożliwa. Amelia poczynała być rozdrażnioną. Sam głos Zubeckiego, podobny do skrzywienia starego koła, był jej nieznośnym. Cesia usiłowała zażegnać niebezpieczeństwo. Bała się, by odezwanie się Amelii nie spowodowało ze strony wuja wprost do niej wymierzonych niegrzeczności.

Eugeniusz na boku prowadził rozmowę z Ireną, co do wściekłości doprowadzało Zubeckiego, który chciał być słuchanym, gdy mówił. Irena uśmiechała się i zdawała się być dobrze usposobioną dla swego sąsiada. Mówił on jej właśnie, że nigdy u żadnej z pań z towarzystwa nie spotkał na stworzenie wielkiej artystki dramatycznej warunków takich, jak u niej.

— Wzrost, postawa, głos, wielka wyrazistość i gra fizyognomii... W jednym fałdzie na czole umie pani zamknąć cały majestat, w jednym spojrzeniu—błyskawicę gniewu, w jednym uśmiechu...

Zatrzymał się. Irena obdarzyła go uśmiechem, jak gdyby mu dopomódz chciała do znalezienia właściwego określenia.

— Pozwala pani dokończyć?

— Proszę.

— W jednym uśmiechu—niebo obietnic...

— Których może nigdy nie spełnię.

Nie zachmurzyła się jednak przy tych słowach. Patrzała w jakieś zadumie na kwiaty, zaścielające środek stołu. Potém nagle, jakby tknięta prądem magnetycznym, podniosła wzrok i spojrzała prosto w twarz Jana, z którego spojrzeniem oczy jej się spotkały. Znowu w bladém obliczu pięknego chłopca, w jego wielkich oczach, dostrzegła owo naiwne wzruszenie, ów zachwyt, płynący z głębi duszy, który ją był zastanowił wśród leśnej ścieżki. Drgnęła i odwróciła wzrok, chmurząc czoło, zdziwiona i niepojmująca, co z oczu tego chłopca wyglądało takiego, co na nią robiło wrażenie.

— Nie przeczę — rzekła do Eugeniusza — że gdybym puściła wodze marzeniom artystycznym, które może napadają każdego w danej godzinie, tobym sama gotowa przyznać sobie zdolności dramatyczne. Nie wystawiam sobie własnej osoby, szczebioczącej, jak naiwny podlotek; ale mogła-bym żegnać dworzan, jak Marya Stuart, podpisy-

wać wyrok śmierci, jak Elżbieta, lub na zimno sprowadzać na ludzi talentu opętanie, jak księżna Falconieri.

— Słusznie pani powiedziała, że każdy człowiek ma czasem marzenia, dotykające jakiejś złożonej w nim zdolności. Chciałby ją widzieć przemieniającą się w talent, w geniusz, w ów piorun, który z naszej duszy uderza w duszę bliźniego!

Cesia już była odwróciła złość Zubeckiego. Spędzał on ją teraz na Noirecie, który zaczął z nim sprzeczkę o ojczyznę najslawniejszych kapłonów i pulard. Zubecki po polsku zapewniał Cesię i rządcę, że ten francuski głodomorek pewno pierwszego kapłona jadł dopiero w głupiej Polsce, sprowadzającej takich, jak on, pędziwiatrów, by im powierzać wychowanie znakomitych potomków rodu. Przytém chciał dotknąć Amelię, gdyż ze złośliwą ironią wskazywał przy ostatnich słowach na nieszczęśliwego, schorzałego Wacia.

Tym razem jednak Amelia nie słyszała przymówki. Wmieszała się do rozmowy Ireny z Eugeniuszem, który mówił właśnie:

— Jestem przekonany, że pani Boliwina niejedną godzinę strawiła na marzeniu zostania wielką śpiewaczką.

— Nieraz, gdym śpiewała, zdawało mi się, że mię słuchają tłumy — zawołała Amelia. — Była-bym może rzuciła się nawet na drogę artystyczną, gdyby nie to, że nie mogłam być pewną, iż będę pierwszą w świecie. Już drugą być-bym nie chciała.

— Nie była-byś nigdy została śpiewaczką — rzekła Irena — tak jak ja nigdy nie była-bym artystką dramatyczną. To są marzenia i za takie uważane zawsze były przez nas same. Mówiłam ci już... my nie jesteśmy wolne!

Eugeniusz spojrział pytająco.

— Niewola nasza leży w przyzwyczajeniach rodzinnych i towarzyskich, a szczególnie w braku odwagi do przełamania pewnych wyobrażeń, pewnych przesądów. Żadna z nas nie zdobyła-by się na postanowienie zerwania z życiem dotychczasowém, wstąpienia na deski teatralne, poddania się wymaganiom sceny... wreszcie sprzedawania talentu swego publiczności. To trudno, na to trzeba mieć inne pojęcia, lub czuć w sobie niezwalczone powołanie, przełamujące wszelkie zapory. Chciała-bym być wielką malarką, lub rzeźbiarką, jak któraś z księżniczek orleańskich...

— Bo téż malarstwo to najwdzięczniejsza ze sztuk — ozwał się Eugeniusz. — Muzyka? Jój dźwięk trwa krótko i ginie na zawsze. Kompozycje muzyczne, zamknięte w księgach i zeszytach, to martwa litera, czekająca na interpretację; rzeźba—to sztuka umarła, jak są języki umarłe. Malarstwo ma trwałość rzeźby, wdzięk życia; prze-

mawia najłatwiej do pojęcia wszystkich! Któżby nie pragnął być wielkim malarzem?

Jan utkwil wzrok w Eugeniuszu. Chciał zawołać, że malarstwo — to natura, podniesiona do ideału, to realizm życia, zamieniony w poezję; ale czuł się zanadto skrępowanym i onieśmielonym, by się mógł zdobyć na słowa. Wszakże Irena dostrzegła, że oczy jego, zwrócone na Eugeniusza, strzelały myślą, której wypowiedzieć nie śmiał.

Co to była za myśl?

Irena zaledwo półuchem słuchała dalszej rozmowy Eugeniusza z Amelią. Piękny chłopak z wymownemi oczyma, którym niedawno przebyta choroba dodawała wyrazu głębokości i zadumy, zajmował jęj myśl. Nie patrzyła w jego stronę, ale zdawało jęj się, że czuje jego wzrok na sobie. Po chwili otrząsnęła się wysiłkiem woli ze stanu marzycielstwa, w który wprawiało ją poczucie obecności nieznanomego dzieciaka przy stole rodziny. Rozmawiała z ożywieniem z jedną z przybyłych pań, a gdy dano znak wstania od stołu, nie rzuciła ani razu wzrokiem za siebie. Udawała, że Jan nie istniał dla nięj. Na werandzie, gdzie podano kawę, była wciąż bardzo ożywiona i mówiąca więcej, niż zwykle. Przymtem myślała:

— Co jest w tym chłopcu, że, choć odszedł, zostaje w pamięci i w oczach?

Zaproponowano przechadzkę. Towarzystwo dobrało się parami. Amelia zwerbowała Eugeniusza, którego rozmowę bardzo lubiła. Irena prowadziła pod rękę niemłodą damę, bardzo dużo mówiącą i zadowoloną choćby z niemego słuchacza. To też piękna panna korzystała z położenia. Myśl jęj wróciła do Jana.

— Wiem, co jest w tym chłopcu — mówiła sobie. — Jest piękny i zatrzymuje wzrok na sobie, jako pociągający kształt zewnętrzny. Przymtem ma ten takt, że milczy, więc nie rozwiewa uroku. Bo musi to być gbur pospolicity i trywialny. Zapewne nigdy z nim mówić nie będę, jestem jednak pewna, że przy pierwszej rozmowie czar przysnął-by od razu. Tyle razy mi się to zdarzało!

Irena przypomniiała sobie, że nieraz już, przy pierwszym spotkaniu się z nowopoznanym mężczyzną, doznawała chwilowego zajęcia się, ciekawości, jakiegoś podniecenia, które brała za początek żywszego uczucia, a które przy bliższem poznaniu przechodziło powoli w zupełną obojętność, a nawet niesmak. I tym razem był to interes, obudzony naprzód pociągającą powierzchownością, potem samem bezzmiernem oddaleniem towarzyskiem tego chłopca. Niejedna rzecz z ciekawia nas w stosunku do swęj odległości. Gdy się do nięj zbliżymy, przekonywamy się, że jest pospolicitą i wcale niezabawną.

Eugeniuszowi, za obecną bytnością w Mirsku, zdawało się, że pomyślniejszy zwrot dla niego nastąpił w umyśle Ireny; lecz gdy spróbował dotknąć przedmiotu wspólnej przyszłości, przekonał się, że jego spostrzeżenia były zwodnicze. Odjechał, uwożąc za ledwie nadzieję, nie obietnicę.

Tymczasem horyzont małżeński Amelii znowu się zachmurzył. Boliwa żądał, by syn jego, na mocy sądowego wyroku, oddanym mu został. W razie odmowy, groził przedsięwzięciem środków stosownych. Rozeszła się przycém wieść we dworze, że w parku widziany był jakiś obcy człowiek, ubrany z pańska, który zmierzał ku skrzydłu pałacowemu, zajmowanemu przez Amelię i Wacia. To wystarczyło, by odjąć biednej kobiecie zupełnie równowagę. Strzeżono chore dziecię noc i dzień, do zdenerwowanej matki musiano wezwać lekarza, który zalecił wyjazd do morza. Cały dom był przejęty nowem wystąpieniem Boliwy i nieszczęściem Amelii. Irena całe dnie przesiadywała u siostry.

Jana spotykała w ogrodzie, widywała go przy obiedzie, ośmielał się teraz, mianowicie gdy nie było gości, odezwać się czasem. Odpowiadał ze swobodą i spokojem na dane sobie zapytania, przycém Irenę przejmował dźwięk jego głosu. Wrażenie wzrastało, nie zabijało go bliższe poznanie, lecz im było silniejsze, tém twardszym puklerzem nieprzystępności okrywała się Irena. Ona-by się miała interesować bliżej jakimś biedakiem, nieznanym, ubogim?.. ona miała-by żywszą sympatyę okazać człowiekowi, nie należącemu do towarzystwa? Sama myśl takiego dziwactwa zachmurzała jęj czoło. Gniew ją przejmował, ile razy spotkane spojrzenie młodzieńca, lub głos jego, usłyszany znienacka, sprowadzał jęj wzruszenie, któremu nazwy dać nie umiała. Mściła się czasem na chłopcu zaocznym sarkazmem.

Raz zobaczyła w ręku Cesi arkusz papieru, na którym rzucony był szkic: kobieta uśmiechnięta, rozsuwająca nad głową swą gałęzie. Las otaczał ją wkoło, u jęj stóp wiła się ścieżyna wśród trawy.

Cesia spojrzała na Irenę z przestraczem. Przed chwilą zapewniała Jana, że „to zupełnie Irenka, zupełnie podobna“; teraz przełękła się na myśl, że się jęj siostra obrazi, iż śmiano bez jęj pozwolenia...

Irenę widok szkicu wzruszył bardzo. Poznała od razu kogo i co przedstawiał, i uznała, że Jan taktownie postąpił, nie umieszczając na ścieżce przechodnia. Opanowała się i zapytała ironicznie:

— Co ma przedstawiać ten rysunek i kto jest jego twórcą, jeżeli wolno zapytać?

— Pan Wielewicz to zrobił... Nie wiem, co chciał przedstawić... Piękną kobietę, która komuś ustępuje przejścia...

— Jakaś postać fantastyczna! Oddał-by jednak przysługę temu młodzieńcowi ten, coby mu wyperswadował karierę artystyczną. Ah, prawda, zawsze może malować częstochowskie obrazy! Może zresztą i sam nie ma wyższej ambicji...

— Mnie się zdaje, że to bardzo dobry szkic... Trzeba zresztą wziąć na uwagę, że mu się jeszcze ręka bardzo trzęsie... Zdrów już jest, ale nie uwierzysz, jaki osłabiony... Chciał przebiec kilka kroków... myślałam, że zemdleje potem... zbladł jak trup i oddechu złapać nie mógł.

— Mogła-byś mi oszczędzić tych szczegółów... wcale mnie one nie interesują—rzekła niedbale Irena.—Szkic ten, nawet z łagodzącą okolicznością trzęsącej się ręki, jest po prostu ohydny.

Cesia pomyślała, że szkic był dobry, ale Irena była w złym humorze. Nie chciała pogorszać go uporem. Zamilkła. A nużby Irenę doprowadziła do wyraźnej niegrzeczności względem Jana? Cesię otoczenie osób kapryśnych uczyniło dyplomatką.

— Nie powiedział więc Cesi o pierwszym spotkaniu ze mną! — myślała Irena. — Nie brak mu taktu!

Rada była, iż nikt nie wiedział, że z uśmiechem przyjęła hołd młodzieńca, wyrażony w spojrzeniu.

— To dziecko ma talent! — myślała dalej z radością, której w sobie nie rozumiała. — Ma talent! Podniesione ramiona tej kobiety zakreślone z wielką śmiałością, lekkością i wdziękiem... i ta twarz tak wybornie pochwycona... Więc to „coś“, co w nim jest, to może talent... geniusz...

Pewnego dnia w jednej z przechadzek, które lubiła odbywać samotnie, ujrzała śpiącego w cieniu drzew Jana. Potrzebował on, przy pracy organizmu na odzyskanie sił, niezmiernie wiele snu, i często, ukrywszy się w jakiś kąt ogrodu, zasypiał na trawie. Irena, nie będąc pewną, czy chłopiec śpi twardo, przeszła koło niego z taką miną, jak gdyby niegodzien on był zwrócenia jej uwagi. Potem jednak obejrzała się wkoło, upewniając się, że na nią nikt nie patrzy, wróciła ku miejscu, gdzie spoczywał Jan, i długo stała, przypatrując mu się. Była w tej twarzy, której wierzchnią wargę okrywał ledwie lekki puszek, pogoda przedziwna. Chłopiec miał minę niewinnego dziecka, ułożonego do snu przez matkę. Oddychał spokojnie, na ustach jego błąkał się łagodny uśmiech, policzki sen zabarwił rumieńcem.

Irena patrzyła chciwie. Bała się usłyszeć kroki po-za sobą; bała się, by chłopiec oczu nie otworzył, a wzroku od niego oderwać nie mogła. Zdawało się, że chce się napatrzeć za te wszystkie spojrzenia, którym biedz ku niemu zabraniała, za wszystkie udane ślepoty swoje. Coś niezmiernie tkliwego i rzewnego napelniało jej piersi

Czuła dla uśpionego młodzieńca jakieś macierzyńskie porywy. Szepnęła: „dziecie!“ i wzięła ją ochota szalona uklęknać obok śpiącego, schylić się i pocałować jego usta.

Przeleżała się myśli swojej, płomień wstydu objął jej policzki, odeszła prędko, nie oglądając się, z głową spuszczoną ku ziemi, z rękoma przyciskającymi piersi. Co się w niej działo, co się w niej działo!

Szła coraz prędzej, biegła prawie. Nagle z wiru niepewności myśl jej wyrwaną została przez rozlegające się krzyki. Ujrzała kilku ludzi z kijami, ekonoma ze strzelbą i psa ze zwieszonym ogonem przemykającego wśród drzew. W jednej chwili zdała sobie sprawę z położenia i pędem zawróciła w stronę, skąd przybywała. Biegła ku miejscu, gdzie spał Jan, podniosła leżący na trawie kij, na którym się podpierał, i stanęła przed śpiącym chłopcem, gotowa go bronić. Krzyki zbliżały się; pies, przebiegając, natrafiwszy na ścieżkę, biegł nią prosto na Irenę. Zrównawszy się z nią, zadrażniony może kijem, który ku niemu wystawiała, rzucił się nagle w jej stronę. Broniła się odważnie i zręcznie, ciałem swoim zastaniając śpiącego. Jan, obudzony nagle, zerwał się, ale siły go zawiodły, zachwiał się i dopiero po chwili krzyknął i wysunąć się chciał naprzód.

— Stój za mną! — zawołała rozkazująco Irena. — Ludzie zaraz nadbiegną! Nie wychylaj się!

W istocie cała gromada parobków folwarcznych, z ekonomem na czele, była już blisko. Pies, z pyskiem całym w pianie, z błędnym wzrokiem, poczuł jednak niebezpieczeństwo. Pobiegł dalej, za nim podążyli ludzie.

Irena rzuciła kij na trawę.

— Niech pan nie dotyka tego kija — rzekła spokojnie, — ślina psa na nim zostać mogła.

Chciała odejść bez dalszych eksplikacji, przystanęła wszakże i lekko odwróciła głowę, usłyszawszy błagalne i nieśmiałe: „pani!“ wyrzeczone głosem, którego dźwięk ją wzruszał.

— Pani ocaliła mi może życie! — zawołał Jan. — Ten pies był wściekły!

— Podniosłam kij dla własnej obrony—rzekła Irena tak zimno, że każdy zapał ugasić-by musiała.—To tylko przypadek zrządził, żem jednocześnie broniła pana.

Wewnątrz jednak była rozrzuwniona i z niezmiernym wzruszeniem powtarzała sobie:

— Jakie to szczęście, żem ja tam była! Jakie szczęście!

Na myśl, że pies mógł ukąsić Jana, serce zamierało jej w piersi. Nie płakała nigdy, teraz chciała-by była zapłakać.

Tymczasem wieść o blakającym się psie wściekłym rozeszła się we dworze. Służba biegła szukać Ireny.

— A chwala Bogu! — wołał Andrzej — pannę Irenę znaleźliśmy, ale gdzie pan Wielewicz? Już jakbym wiedział, że się tam dostał temu psu na zęby! Łazi po całym świecie... mówilem mu że się biedy napyta, bo to sił jeszcze nie ma za grosz...

Stary poszedł, nie otrzymawszy od Ireny żadnej wskazówki co do Jana. Nie raczyła wspomnieć, że go spotkała.

Wkrótce za służącymi pobiegła Cesia, przerażona, wołająca już zdala Ireny. Zajęta była w pokoju szkolnym i w tej chwili dopiero dowiedziała się o psie, biegającym po ogrodzie, i o samotnej wybieczce Ireny.

— Moja droga, moja droga! — wołała Cesia — wracajmy prędko!.. podobno pies wściekły...

— Dlaczego wybiegłaś? — rzekła zimno Irena — mnie nic pomódz nie możesz, a sama się narażasz!

— Nie pomyślałam, co robię... straciłam przytomność, gdym się dowiedziała, żeś wyszła... Jesteśmy przynajmniej razem na niebezpieczeństwo narażone!

Ciągnęła Irenę za ramię.

W tej chwili rozległ się strzał oddalony.

— Pies był daleko — rzekła Irena — a teraz już nie żyje. Nie było czego robić takich historii.

— Noiret mówi, że go widział. Wacia zaraz zabrał do domu. Pies wściekły to już chyba najstraszniejsze ze wszystkich niebezpieczeństw!

Irena dała się pociągnąć ku domowi, chcąc co najprędzej pozbyć się towarzystwa Cesi. Potrzebowała być samą. Znalazszy się u siebie, rzuciła się na szezlong i ukryła twarz w poduszki, jakby się wstydziła światła dziennego, które zaglądało jęj w oczy.

Tymczasem służący, pod przewodnictwem Andrzeja, odszukiwali Jana. Rozmyślał on nad postępkiem Ireny. W duszy klękał przed kobietą, która znalazła odwagę do walki z szalonym zwierzęciem i uważała to za rzecz zwyczajną. Mówiła, że myślała tylko o własnej obronie. To było wspaniałomyślne kłamstwo. Nie chciała wdzięczności ani podziękowań, ale ona bronila nie siebie tylko; wołała: „nie wysuwaj się“, więc myślała szczególnie o bliźnim, który sił do obrony nie miał. Szlachetna! szlachetna!

— A jakże! — wciął Andrzej — nie mówilem? Ot, chodzi sobie najspokojniej, i to jeszcze bez kija! Pan nie wie? Pies wściekły tu był!

— Widziałem go.

— I nic? Nie panu nie powiedział?

Jan się śmiał z przerażonej miny Andrzeja.

— Nie powiedział nic wprawdzie... Położył się u moich nóg i byłby lizał rany moje, gdybym miał rany. Cóż kiedy ich nie mam.

— Ej, pana się tam zawsze żarty trzymają!

— Dobrze mi żarty! Miałem duszę na ramieniu.

— Nie... widział pan psa doprawdy?

— Jak mię Andrzej widzi żywego.

— To już za przyczyną Ś-go Dominika Bóg odwrócił od pana to nieszczęście.

Jakieś uczucie skomplikowane: delikatności, obawy i chęci posiadania wspólnej tajemnicy z Ireną, skłoniło Jana do zamilczenia prawdziwego wypadku. Nie znał charakteru Ireny, domyślał się tylko, że była to dusza wielka, dumna, wspaniałomyślna, odważna. Może-by ją obraziło, gdyby bez jej zezwolenia opowiadał, że zasłaniała go własną osobą. Zbył Andrzeja tysiącem żartów. Rzecz mogła pozostać w tajemnicy, bo nadbiegający i krzyczący ludzie spłoszyli psa, który się zwrócił na lewo i którego nie widzieli po-za kłębami rzucającego się na Irenę. Niech ona sama rozporządza tajemnicą. Przecie nie weźmie jego milczenia za niewdzięczność. Oczyma jej powie, że... Nie, nie! ani potrafi mówić oczyma, ani-by, choćby potrafił, ośmielił się powiedzieć...

Nazajutrz rządcą opowiedział przy stole towarzystwu, jaka wersja krążyła między służbą folwarczną. Chłopak stelmacha zakradł się do parku, gdzie miał gniazdo kosów, o którym nikt nie wiedział. Miał już wracać i przebierał się właśnie przez fosę, gdy odwrót został mu odcięty przez biegnących i krzyczących ludzi. Strach go zdjął, począł uciekać, chcąc się skryć gdziekolwiek w gęstwinie. Przebiegając widział wyraźnie śpiącego pana, a przed nim jakąś panią w białej sukni. Pies się rzucił ku niej, a ona tylko fartuszek rozpostarła, zasłaniając śpiącego pana. Chłopiec nie wiedział, jaka to była pani, bo była tyłem ku niemu odwrócona, spojrział zresztą raz tylko, bo ludzie za nim krzyczeli, a on uciekał... Z tego opowiadania chłopca wyrosło podanie, że młody malarz spał pod drzewem, a Matka Boska fartuszkciem go swoim osłoniła przed wściekłym psem, bo chciała, żeby żył i malował obrazki na jej chwałę.

Przy tém opowiadaniu rządcy, Irena z Janem zamienili spojrzenie i uśmiech. Obojgu przy tém spojrzeniu wpłynęło do duszy coś niezmiernie słodkiego, czego może za skarby świata nie byli-by oddali. Poczuli między sobą jakieś porozumienie, jakąś wspólność. Było to coś zupełnie nieświadomego, nieokreślonego, co, jak mocny napój, poszło im do głowy, działając usypiająco na zdrowy rozsądek, a roz-

budzając tę trochę szalu, któremu się nieraz poddają najzdrowsze umysły.

Rozmowa przy stole toczyła się na temat łatwowierności ludu i jego upodobania do cudowności. Cesia знаła różne ludowe podania, które przytaczała z upodobaniem. Zubecki, który wcale nie widział psa w ogrodzie, ani żadnych co do niego nie miał danych, utrzymywał, że on wcale nie był wściekły, dlatego jedynie, że rządca był pewien iż było przeciwnie. Stary złośnik nie byłby spożył obiadu, gdyby nie był sobie wynalazł tematu do dyskusji i przycinków. Żeby dogryźć rządcy, utrzymywał, że pomysł psa wściekłego, którym może być najzdrowsze przebiegające zwierzę, jest zawsze z radością przyjmowany przez próżniaków, którzy chętnie porzucają pracę, by odbyć zajmujący wyścig za psem. Szczególniej sport taki lubią dozorczy i kierownicy gospodarscy, którzy zwykle mają w sobie trochę szlachetczyzny, trochę zawadyjactwa, upodobanie do burd, polowań i rozlewu krwi choćby psiej.

— W to im graj! Byle sobie przerwać monotoność zajęcia, gotowi każdą bajkę przyjąć za prawdę!

Rządca się obraził, pani Solska musiała wmieszać się do sprawy, co nową wywołało kolizję. Amelia, wzrokiem przeprosiwszy matkę i Irenę, wstała od stołu. Jój nerwy, bardzo teraz natężone, nie mogły znieść obejścia się Zubeckiego. Sam głos jego był jój do najwyższego stopnia nieprzyjemny. Między współbiednikami panował niesmak. Rządca siedział ze zmarszczonem czołem i nie tknął już żadnej potrawy; Cesia była cała rozczzerwieniona i wzburzona; na końcu stołu tylko uśmiechnięta dobrodusznie twarz Plewaczka stanowiła dywersję. Wyraz zmęczenia i smutku, który pani Solskiej pozostał po stracie synów, powiększał się zwykle przy każdej nowej przykrości. I teraz niemiłe zajście pogłębiło zmarszczki jój twarzy, na którą z bólem i smutkiem patrzyła Józefa.

Całe to wydarzenie nie uczyniło na Irenie najmniejszego wrażenia. Siedziała spokojna i wyprostowana, panująca nad sobą i wyrazem swój twarzy. Po obiedzie poszła do Amelii. Jój jednej udawało się czasem uspokoić i rozweselić siostrę.

Jeżeli na rodzinie Solskich i jój otoczeniu podanie o Matce Boskiej nie zrobiło wrażenia, na folwarku, w kuchni, w kredensie i garderobie powtarzano z przejęciem i jakąś grozą wieść, przyniesioną przez syna stelmacha. Tylko jeden z lokaj śmiał się i nie wierzył, co skłoniło innych do spoglądania na niego, jak na niedowiarka, którego mogła dotknąć kara Boża. Andrzej nic nie mówił, lecz wiedział, co ma o tém sądzić. Już to naprzód nie bez kozery było, że Jan uchodził z początku za kleryka. Może to też było za sprawą Matki

Boskiej, bo każdy lepiej chodzi koło takiego, co ma zostać duchowną osobą... Teraz nie kto inny, tylko Najświętsza Panienska fartuszkciem go zastoniła!

Andrzej obiecywał sobie zaraz jutro pomówić z panienką Cesią i wraz z nią zabrać się do nawracania Jana.

Była już noc zupełna. Irena, wypiwszy herbatę u Amelii, wracała do siebie. Obrala sobie drogę naokoło, to jest nie wewnętrznem przejściem, lecz przez ogród i werandę. Szła w ciemności powoli, oddychając zapachem kwitnących jeszcze bzów i roztwierających zaledwie kwieciste grona akacyi. Przystanęła. Do jej uszu doszedł dźwięk głosu, jakiego nie słyszała jeszcze u nikogo w życiu. Przejęła ją żądza słuchania. Była-by rada do każdej zgłoski, biegnącej ku niej, wyciągnąć ramiona, nie stracić żadnego dźwięku, żadnego odcienia... Ale oto Jan przestał mówić, teraz usłyszała głos Cesi. Zbliżyła się cicho, rozpoznawszy po dźwiękach i ich kierunku, że Cesia z Janem i jedną z nauczycielek siedzieli na wschodach, zbiegających z werandy na ścieżkę ogrodu.

— Nikt we dworze o niczém inném nie mówi — twierdziła Cesia. — I może doprawdy, gdy pan spał, broniła pana Matka Boska.

— Nie jestem godzien, by się mną zajmowała nawet zwykła śmiertelna pani, a cóż dopiero pani niebieska. Zachwyca mię jednak poetyczna ludowa wyobraźnia, umiejąca stworzyć taki naiwny, cudowny obrazek z niczego. Przestraszony chłopczyną, z wyobraźnią w popłochu, widzi mię śpiącego i zaraz zjawia mu się przed oczyma Matka Boska w bieli... Widział może kiedy matkę własną, okrywającą fartuszkciem stado kurcząt przed napadem jastrzębia, i ztąd zaufanie do obronnych własności fartuszka... Obrazek, jako ludowa poezya, przesliczny. Matka Boska, idealnie piękna kobieta w białych szatach, rozpostarciem fartuszka broniąca przed niebezpieczeństwem swojego malarza... człowieka, który jęj cudne rysy na płótno przemieść potrafi i przedstawić ją wiernym taką, jaką się ona chce im pokazać.

Zaszeleściło coś w krzakach, Irena przestraszyła się, że ją ktoś na podsłuchywaniu znaleźć może. Podeszła spiesznie ku werandzie i poczęła wstępować na wschody. Gdy ją tylko Jan wśród ciemności rozpoznał, zerwał się, usuwając się na bok, jakby to uczynił dworzani przed królową. Był niezmiernie zmieszany nagłym jęj zjawieniem się, co ona przeczuła tylko, nie mogąc rozróżnić twarzy młodzieńca. Jednakże zmieszanie to udzieliło się téz i jęj, choć usiłowała być zupełnie spokojną.

— Proszę... niech pan siedzi... mam tu dość miejsca do przejścia...

Zadziwiła się sama miękkości i słodczy głosu, którym wypowiedziała te słowa. Równie jak ona, zadziwiła się Cesia. Dziewczyna podniosła nagle twarz ku starszej siostrze i odprowadziła ją wzrokiem, aż póki nie znikła we drzwiach salonu. Co się stało Irene, że z taką dobrocią i grzecznością przemawia?

Zapytania tego Cesia nie uczyniła głośno. Ciągnęła dalej rozmowę z Janem, z którym ułożyli projekt, napelniający ich oboje radością. Jan miał dla Andrzeja wymalować obraz święty. Cesia sprowadzi farby i potrzebne przybory i oboje wybadają Andrzeja, do jakiego świętego miał szczególne nabożeństwo. Cesia zapewniała, że najczęściej wspominał Ś-go Dominika. Łatwo to zresztą było sprawdzić. Staremu należał się jakiś dowód wdzięczności ze strony Jana.

— Nie przypuszczałem, że kiedy w życiu będę malował świętych—zakończył Jan.

Zaczął układać projekta co do obrazu i tak mu było pilno wybadać delikatnie Andrzeja, że poszedł go szukać. Nie było starego sługi. On i para innych służących rozbiegli się po ogrodzie, gdzie poszedł się chłodzić Plewaczek. Trzeba go było znaleźć, bo pani Boliwina chciała śpiewać. Była też już późna godzina, a choć ogród ciągnął chłodem, ciszą, wonią kwiatów, rozsądek kazał iść na spoczynek. Cesia się wypraszała, zaręczała, że jej się zupełnie spać nie chce i z pewnością zasnąć nie będzie mogła; jednakże sen ją schwycał, ledwie głowę do poduszki przyłożyła.

Irena, wszedłszy do swego pokoju, nie zapaliła w nim światła, stanęła w otwartem oknie i patrzyła w ciemność ogrodu. Czowała w piersiach jakąś pełnię pragnień i ochoty do życia. Dawniej często się zdarzało, że myślała o śmierci, bez wstrętu, jako o naturalnym końcu wszystkiego; teraz gdyby w słowa była ujęła to, co duszę jej napelniało, była-by, wyciągnawszy ręce, wołała: żyć! żyć! To co z bólem za niespełnione w życiu swém uważała, spełnić się miało, spełniało się. Ona sobie tego bynajmniej nie powiedziała, nie nazwała po imieniu żadnego ze swych uczuć, tylko się czuła młodą, szczęśliwą! Wszystkie dawniejsze jej niepewności nie istniały. Ona teraz była pewną szczęścia. Zkąd, dla czego, na jakiej zasadzie? Nie wiedziała, ale była pewną. Doznawała nieobliczającej jeszcze niczego radości ubogiego, który-by na swój drodze znalazł skarb. Nie wie on jeszcze, co z nim zrobi, jakie są w nim złożone nadzieje, jaką dółę mu przyniesie, i tylko mu w piersi serce bije niezmierną radością.

Rano, gdy oczy ze snu otworzyła, nie wiedziała w pierwszej chwili, co to było takiego, co jej życie nagle innem, młodem i radosnym uczyniło, ale pierwszym uczuciem była chęć wyskoczenia spiesznie z łóżka, bo ją życie wołało, bo ją czekało coś dobrego. Usiło-

wała uspokoić się i wytrzeźwić, marzenie nieokreślone porywało jednak jej myśli. Nie wiedziała, że się do własnej postaci, odbitej w lustrze, uśmiecha. Włożyła strój poranny i wybiegła do ogrodu. Wszystko wydało jej się jakimś innem niż dotąd. Doprawdy było innem. Rosa na liściach i kwiatach migiała jakimś radosnymi blaskami; wielki, jasny uśmiech słońca nigdy takiego życia, jak dziś, wkoło siebie nie rozlewał. Takie wszystko było piękne!

Irena, jakkolwiek malowała krajobrazy i „martwe natury“, w ogrodzie ceniła i lubiła tylko to, co było sztuką, kunsztem, szykiem. Klomby dywanowe, trawniki strzyżone, rośliny zamorskie, prowadzone umiejętnie ścieżki, na których nie powstała trawka, ani spadły listek, były dla niej ideałem. Owego ranka jakieś nowe pojęcie piękna i natury wpłynęło do jej duszy. Odczuła przyrodę nie jako skrzepowaną i konwencyonalną, do mody stosującą się piękną niewolnicę, lecz jako wolną przedwieczną panią, twórczynią, mistrzynią, której potężnym, samodzielnym rzutom żadna sztuka nie dorówna. Zawsze surowo sądziła sentymentalność i w całym swym obejściu była pełną trochę sztywniej i wyniosłej prostoty. Strzegła się uczuć swych wylewać na zewnątrz. I teraz nie pochylila ust ku pierwszej rozkwitłej róży, wstrzymała się od śmieszności takiego pocałunku, miała jednak taką ochotę! Co się z nią działo? Ona — całująca różę! Łzy zabląkały się w jej oczach. Jak słodko, jak dobrze, jak rozkosznie czuć taką żądzę położenia ust na kwiecie, być młodą, żywą, szczęśliwą wśród tej młodości, życia i szczęścia przyrody! Zerwała kwiat jaśminu i przypięła go do piersi. Nie czyniła tego nigdy. Nieraz jej suknie okryte bywały kwiatami, ale to wtedy, gdy wymagała tego całość toalety, a chęć przytulenia kwiatka, nacieszenia się nim, nie powstała nigdy w jej myśli. Usłyszała głos Cesi, zwołującej ulubione gołębie, które dostawały zawsze groch na śniadanie. Wyśmiewała się zwykle z upodobań sielskich i pasterskich swjej siostry. Teraz zapragnęła popatrzeć na gołębie. Poszła w stronę dziedzińca, który w języku domowego towarzystwa zwany był „Eldoradem Szczupalskiej“.

Wśród drzewin wybladłych, w wiecznej będących walce z kurami, które ciągłym grzebaniem i obnażaniem ich korzeni zadawały im rany u samych podstaw życia, stała Cesia z koszykiem grochu, który garściami rzucała na wszystkie strony. Gołębie otaczały ją wkoło. Niektóre już z pośpiechem dziobały groch rozsypany, inne nadlatywały jeszcze; samce wśród jedzenia nadymały chwilami gardziółki, gruchając i zabiegając drogę swym samicom. Cesia знаła niektóre pary, miała swoich ulubieńców, sympatycznych powierzchownością lub charakterem; te były przez nią wyróżniane, wolane po

imieniu, witane. Inne wyróżniały się złością, popędlivością, żarłotwem; tym dostawały się słowa prawdy.

Irena patrzyła z uśmiechem. Innym razem była-by z pewnością wyszydzała Cesię za jej rozmowy z gołębiami i granie roli Mickiewiczowskiej Zosi. „Eldorado Szczupalskiej“ być-by podnieciło jej złośliwą werwę. Teraz odczuła wdzięk obrazka. Zbliżyła się, z zajęciem patrząc na walki, podlatywania i pospiech egoistyczny wychowańców Cesi. Uśmiech zadowolenia, dobroci, otworzył jej usta. Cesia postawiła koszyk i przypadła do siostry. Całowała ją na dzień dobry.

— Irenko, moja złota, jakaś ty dzisiaj słiczna!

Irena uściskała Cesię. Wiedziała, że była słiczną, czuła to, inaczej wszakże dzisiaj, niż zwykle; bo nie duma i pewność siebie rozpięła jej piersi, ale wielka jakaś wdzięczność, rozrzewnienie, szczęście. Dobrze jest być piękną wśród najpiękniejszych tworów natury: ptaków, motyli, kwiatów!

— O, słyszysz?—zawołała Cesia, do której uszu doszedł turkot powozu--mama wróciła już z kościoła!

Obie poszły ku domowi. Cesia, widząc siostrę taką jakąś dobrą i słodką, ujęła jej ramię, co znowu Irena odczuła z jakąś błogością i zadowoleniem w głębi duszy. Chciała tak, ni z tego ni z owego, wziąć Cesię w objęcia i ucałować ją po mieszczańsku—głośno, mocno; ale nie miała tego we zwyczaju i jakaś nieśmiałość ją wstrzymała.

Siostry zastały panią Solską w jadalnym pokoju.

-- Moja Irenko—rzekła matka po przywitaniu—dziś w kościele przyszła mi myśl, której ci zaraz udzielić pragnę. Musisz uczynić poświęcenie dla Amelki... ona jest tak chora i tak rozdrażniona, że jej samą do wód puścić nie można, musi mieć opiekę rozsądną i energiczną... Chyba ty pojedziesz z nią do morza.

Irenie krew nagle uderzyła do głowy. Coś jedyne, coś najdroższego chciano jej zabrać... dotykano do czegoś, co łąda podmuch mógł zwalić, a czego ona bronić musiała. Chciała zawołać: „nie, nie pojedę! nie ruszę się ztąd“, lecz przejął ją strach, by nie wyczytano prawdy na jej obliczu, rzekła więc wymijająco:

— Nie wiem, mamu, trzeba nad tём pomyśleć... pomówimy z Amelką... zobaczymy...

— Niema innej rady... Ja nie mogę odjechać domu i Cesi... nikt prócz ciebie nie ma wpływu na Amelkę.

Irenie przyszła nagle myśl. Była biegłą dyplomatką, odezwała się więc:

— I ja mogę mieć sprawy, zatrzymujące mię w domu.

Matka spojrziała na nią bacznie. Eugeniusz! Tak, ona niezawodnie na myśli miała Eugeniusza.

— Ha, to już nie wiem, jak temu zaradzimy. Noiret, to opieka dla Wacía, dla Amelki nic! Żadne towarzystwo. Ona towarzystwa potrzebuje.

— Nie pojedę! — mówiła sobie w duchu Irena i czuła, że byłaby prędkiej wystąpiła do walki z całym światem, niżby była zadosyć uczyniła życzeniom matki.

Pierwsze śniadanie bywało zwykle spożywane w mniej liczném gronie, niż obiad, i wolne od obecności Zubeckiego, któremu je noszono do jego pokoju. Zwykle też panowała przy nióm mniej ciężka atmosfera, niż przy obiedzie. Plewaczek przyszedł niewyspany. Opowiadał ze skupieniem ducha i jakąś trwożną powagą, że pani hrabina (nigdy nie mógł uwierzyć, że Amelia hrabiną nie była) śpiewała do trzeciej w nocy. Wtedy kazała mu pić z sobą herbatę i jeść zimne pieczyste. Jego pocziwa płaska twarz wyrażała poszanowanie, prawie cześć, której żadną krytyką zaprawić nie czuł się godnym.

— Ona się zabija takim życiem! — wołała pani Solska, zwracając się do Józefy, na której łonie przywykła składać wszystkie swoje bóle — to jest zdenerwowanie w najwyższym stopniu!.. trzeba ją koniecznie do morza wyprawić! Zaręczam, że w nocy była żwawa, wesola i dużo mówiąca...

— Pani hrabina *mówiła*... dużo *mówiła*.

— Teraz śpi; potem wstanie z bólem głowy. To prawdziwe nieszczęście!

Cesia z Janem półgłosem rozmawiali o obrazie. Cesia wiedziała już, że św. Dominik ocalił niegdyś Andrzeja w bardzo ciężkim wypadku, i od tego czasu Andrzej miał do niego szczególne nabożeństwo. Chodziło o dostanie żywota tego świętego, by jakiego anachronizmu w obrazie nie popełnić.

Irena, wyprostowana jak zwykle, z wyrazem twarzy obojętnym, z oczyma nie szukającymi nikogo z obecnych, wycęzała słuch i łowiła słowa Jana, znajdując w ich dźwięku czar niewysłowiony. Pierś jej oddychała nieco śpieszniej, niż zwykle. Myśli jej mniej więcej wyrazić-by się dały w słowach:

— Taki piękny... taki młody... artysta czujący piękno... pełen taktu... pełen delikatności... Jak dobrze, że nie powiedział, że go bronila... Trzeba być bardzo ostrożną... bardzo oględną.

Dano znać, iż pani Boliwina prosiła, by posłano po doktora. Zrobiło się zamieszanie, panie pobiegły do chorój... Przebyła ona atak nerwowy bardzo silny, a teraz głowa pękała jej z bólu, lekarz zaś zabronił częstego użycia antypiryny.

— Musisz jechać do morza — jęczała pani Solska.

— Jakże ja mogę jechać... to nad moje siły... nie mogę chodzić po upale, a nad morzem wiecznie na otwartém słońcu się chodzi... To zanadto męczące dla mnie... Sama nie pojedę... Chyba Irenka...

Pani Solska spojrziała na Irenę, jakby chciała powiedzieć: „a co? nie mówiłam?”

— Ja jechać nie mogę — rzekła spokojnie Irena — ale możemy ci znaleźć kogoś... może panna Józefa zgodziła-by się...

— Otóż to! Panna Józefa! Czemu nie wuj Zubecki? Chciała-byś mi dobrać najnudniejsze towarzystwo! Pojadę z tobą, albo nie pojedę wcale!

— Jaka jest dobra przyczyna do tego, bym ja ci towarzyszyła, nie kto inny? — zapytała gwałtownie Irena. — Może jechać mama, może jechać Cesia!

— Mama, w swoim wieku, sama w podróży potrzebuje opieki... Cesia dziecko!

— Nie mogę jechać! Żądaj ode mnie wszelkiej innéj ofiary... teraz jechać nie mogę!

— Gdybyś tylko skinęła, Eugeniusz pojechał-by za tobą.

— Nie chcę skinieniem mojem szafować... może-by pojechał, ale ja nie chcę... nie mogę... nie mogę!

— Tak, zostaje mi już tylko wuj Zubecki — jęczała Amelia. — Ten-by mnie zamęczył i był-by przynajmniej raz koniec ze wszystkiem... koniec z życiem! Między wspomnieniem pana Boliwy, a wujem Zubeckim, wiodła-bym chwile rozkoszne! Gdzie Wacio?

Rozglądała się niespokojnie, jak-by tysiące zbirów czyhały na Wacia.

— Jest Wacio... tu niedaleko... mogła-byś go widzieć z okna...

— Otwórz okno... zawołaj na Noireta... niech mi przyprowadzi Wacia...

Niezadługo do pokoju wtoczył się wózek, za którym szedł Noiret. W wózku siedziało mizerne, blade, skulone dziecko, z głową nieproporcjonalnie wielką, pochyloną na jeden bok. Gdyby nie jakiś smutny wyraz starości i cierpienia, dziecko to bardzo ładnym nazwać-by można. Wiek jego z pozoru trudno było określić. Widziało się od razu istotę bez jutra, skazaną na mniej lub więcej długie dogorywanie, budzącą litość i sympatyę. Wacio uwielbiał matkę. Było dla niego jedno szczęście na świecie — być przy Amelii. Ukrywano przed nim nieszczęśliwą historię niezgody rodziców, on wszakże albo coś od służby zasłyszał, albo coś przeczuwał, bo o ojca nie pytał nigdy. Odsuwano też od niego wszystko, coby go przestraszać lub niepokoić

mogło, jednak biedne dziecko często, jak matka, oglądało się z trwogą wkoło siebie. Wiecznie się czegoś lękało, przed czémś drżało i tylko przy matce czuło się bezpiecznóm. Wyraz niezmiernego szczęścia rozlewał się zawsze na twarzy Wacia, ile razy się do niej zbliżał; wszyscy byli pewni, że rozłączenie z nią przyplacił-by życiem.

— Ciepło dziś, pogodnie — mówiła Amelia, głaszcząc chudą, małą, przezroczystą rękę syna — dobrze ci w ogrodzie... na słońcu... Takie śliczne kwiaty... Zrobisz dla mnie bukiet... nawet kilka bukietów... Dwa niewielkie na moje biurko i jeden do salonu.

— Zrobię mamó... pan Noiret podprowadza wózek pod akacye, podwozi mnie pod klomby i ja sam zrywam... Ciocia Cesia pomaga mi układać bukiety, bo ja tak nic nie umiem...

— Umiesz doskonale. Mnie najmilsze te, które sam ułożysz... Jedź, kochanie, do ogrodu... Chciałam cię tylko uściskać... jak do-ktor przyjedzie, to cię każę zawołać.

Wywieziono Wacia. Amelia kochała go szalenie, ale ją jego obecność rozdrażniała. Udawanie weselości i spokoju, gdy jego widok rodził ból i smutek, męczyło biedną kobietę.

— Co to będzie z nim za kłopot w podróży — mówiła, ściskając w dłoniach głowę, która bolała ją coraz bardziej.

Pani Solska i Irena dały sobie znak porozumienia i wyszły, widząc, że rozmowa pogorsza niezdrowie Amelii.

ZOFIA KOWERSKA.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teorya a praktyka w wychowaniu.

(**M. Guyau:** *Wychowanie i dziedziczność. Studium socyalne.* Przełożył J. K. Potocki. Warszawa 1890. — **B. Perez:** *Psychologia dziecka. I. Trzy pierwsze lata życia dziecka.* Przekład z 4 wydania Maryi Dzierżanowskiej. Warszawa 1890. — **Ferd. Nicolay:** *Dzieci źle wychowane.* Przerobił E. Lubowski. Warszawa 1890).

Ciekawy to a zastanawiający objaw, że na schyłku wieku bieżącego poczynamy się równie gorąco zajmować sprawami wychowania, jak na schyłku w. XVIII. Nie tylko pedagogowie z zawodu a rodzice z potrzeby, ale nawet rządy i sejmy roztrząsają kwestye nauki szkolnej i rozwoju fizycznego młodzieży; a z wysokości tronu padają ciężkie zarzuty względem przeciążenia i fizycznego zaniedbania szkole powierzonych dzieci. Więc przez stosowne ćwiczenia ciała i zabawy, przez higieniczne urządzenie zakładów naukowych, podnieść zdrowie uczniów, a przez rewizyę planu naukowego, a ewentualnie przez odrzucenie lub skoncentrowanie nauki języków klasycznych, zyskać czas na naukę języków nowożytnych, z równoczesném znizieniem ogólnej liczby godzin—oto hasła, pod któremi się dzisiaj toczy walka na polu wychowania i nauczania.

Przyczyny tego ruchu wcale nie tajne. Z jednej strony rozwój fizyologii i psychologii, z drugiej postęp nauk przyrodniczych i ich wpływ na wszelkie gałęzie wiedzy; z jednej strony teorya wychowa-

nia, z drugiej praktyczne życia potrzeby i jego ideały, zmuszają nas do zastanawiania się nad tém, jakby młode pokolenie uczynić zdolnym do osiągnięcia celu życia z możliwie najmniejszym wysiłkiem i utratą sił żywotnych. I wtedy prawie bezwiednie zwraca się myśl nasza do wychowania, owego czynnika potężnego, któremu Kant przypisuje tajemnicę doskonalenia ludzkiej natury, a który Plato po prostu „boskim“ nazywa.

Jestże wychowanie tą potęgą, która człowieka uszlachetnia i czyni prawdziwym człowiekiem? Czyż niezawodnie od wychowania zależy dobro społeczeństw i narodów, a szczęście jednostek? Jestże wychowanie wszystkiém i wszystkie zagadnienia życia rozwiązującą wyrocznią? Nie dając się unosić idealnej teorii, spojrzjmy na praktykę życia. Iuż-to ludzi dobrze wychowanych nie osiągnęło ideału, przez wychowawców wskazanego, a ilu bez wskazówek, wśród trudów i przeszkód, wzniosło się ponad pospolity poziom. Ale te fakta nie ubliżają teorii, a teoria nie zawsze mija się z praktyką — prawda po środku leżeć zwykła. Teoria powinna stawiać cele, praktyka wyszukiwać najprostsze drogi i wskazywać przeszkody i zawady, na nich napotykanę; teoria powinna badać wpływ otoczenia, praktyka nadawać mu właściwe i odpowiednie formy; teoria stawiać zasady dziedziczności, praktyka je utrzymywać i stosować. W tym wzajemnym stosunku jednej do drugiej leży umiejętny charakter nowoczesnej pedagogii, z której trzy wyżej przytoczone dzieła dostarczają nam materiału do niniejszej rozprawki.

1. Kwestya dziedziczności.

Nie może być dla wychowawcy rzeczą obojętną, jaki jest stan duszy nowo narodzonego dziecięcia. Stojąc na stanowisku biblijnym, musielibyśmy przyjąć, że dziecię, rodząc się w grzechu pierworodnym, rodzi się złém, a przynajmniej do wszystkiego złego skłonuém; idąc za teorią starożytnych, uważalibyśmy duszę jego za białą kartę, na której świat dobre lub złe zapisuje pojęcia i w ten sposób nadaje życiu kierunek; hołdując nowszym teoriom, przenosilibyśmy z pokolenia na pokolenie drogą dziedziczności wszystko złe i dobre i dochodzili do kastowości i przywilejów „dobrze urodzonych“... W pierwszym i drugim razie zadanie wychowania polegało-by na ustawicznym „wykorzenianiu“ złego, stosownie do owęj przypowieści o naginaniu drzewka, lub na malowaniu pięknych obrazków na białej duszy wychowanka,—rola wychowania była-by pierwszorzędną; wobec dziedziczności wychowanie było-by bezsilne.

Nie tykając spraw wiary, przypatrzmy się, jak nowa psychologia, głównie na mocy obserwacji i eksperymentu, przedstawia stan duszy noworodka.

Otóż podług *Pereza*—a o niego nam tu chodzi przedewszystkiém,— „na dość długo przed urodzeniem jeszcze dziecko zapoznało się już z bólem i zadowoleniem fizyczném“, a więc doznaje już pewnych uczuć, zawisłych od zmysłu dotykania. Pierwsze zetknięcie się ze światem jest znowu bardzo bolesném dla niego doświadczeniem. „Niespodziewane wrażenia uderzają raz po raz o wszystkie zmysły dziecka, które słabym płaczem zdaje się świadczyć, że je boleśnie odczuwa.“ Od pierwszej chwili życia na świecie „musi dziecię rozpocząć walkę o byt.“ „Pragnienie, głód, zimno, ból, oddychaniem i trawieniem spowodowany, cierpienie z dotyku i z ruchu mięśni wynikające, przykre podrażnienia narządów wzroku i słuchu dokuczają mu, ilekroć się ocknie z głębokiego uśpienia. Wszystkie te mniej lub więcej silne i świadome wrażenia wystawiają na bolesną próbę *niewydoskonalone jeszcze* i delikatne jego narządy.“¹⁾ Skoro tedy wszystkie zmysły są niedoskonałe, a nawet zmysł smaku jest początkowo bierny i tępy, bo zlewa się w jedno z instynktem żywienia się,— *można tedy mówić o pewnych własnościach psychicznych tylko w zarodku, które, stosownie do otaczającego je świata, albo rozwinięć się, albo zaniknąć mogą.*

Nie da się natomiast zaprzeczyć, że noworodek przynosi z sobą instynkty karmienia się i spania, które o tyle za wrodzone uważać należy, o ile każdy instynkt jest skłonnością, „jest nieświadomie przez przodków nabytém doświadczeniem, które z większą świadomością i samodzielnością łączy się z osobiście przez potomków nabytém doświadczeniem.“²⁾ Z uczuć wczesnie bardzo występuje na jaw zadowolenie, wskutek zmysłu smaku doznane, a obok niego prawie instynktowne uczucie bojaźni, które często bywa dziedziczne, określane przez niektórych jako instynkt samozachowawczy. Jest ono istotnie wynikiem doświadczenia przodków i jest ochroną przed rzeczywistością, z osobistego doświadczenia nieznanemi, niebezpieczeństwami; bezpośrednim zaś zmysłem, który na jego rozwój wpływa, może być tylko zmysł słuchu. Do tej samej kategorii wrodzonych uczuć należy policzyc popędlliwość, płynącą z pobudek samozachowawczości i będącą niejako bronią odporną przeciwko wszystkiemu, co niemiłe; pociąg do zwierząt, w których dziecko widzi niewyraźne odbicie własnej osoby, i pewna doza zazdrości, wynikająca z chęci posiadania³⁾.

1) *Perez* w dziele cytowaném w tytule, str. 7—11 (*passim*).

2) *Perez* w dz. przyt. str. 55.

3) *Perez* w dz. przyt. str. 76—103

Mniej jasno przedstawia się wpływ dziedziczności na rozwój mowy. „Że ustawiczne używanie mowy i ustrojowość narządów duchowych może przechodzić z pokolenia na pokolenie, jest równie prawdopodobnym, jak to, że dziedzicznym bywa charakter pisma, zależny po części od ukształcenia ręki a po części od usposobienia umysłu; wiadomo zaś, że charakter pisma jest cechą, ulegającą prawu dziedziczności.“¹⁾ Dziedziczność ta nie może się jednak rozwinąć bez wpływu otoczenia, jak o tém świadczą przykłady dzieci, wychowanych w miejscach odludnych, a nawet nie musi być potężną, skoro niemi od urodzenia nie są anomalią. Wreszcie uważa Perez za wrodzoną do pewnego stopnia wadę wyśmiewania przez naśladownictwo, chęć przypodobania się, delikatność uczuć, a nawet i zmysł moralny, który jednak najłatwiej ulega zmianie pod wpływem najbliższego otoczenia.

Nie wiele odmienne co do stopnia dziedziczności są poglądy *Guyau*; różnica leży w sposobie obserwacji i stanowisku pisarza. Opierając się na wpływie poddawania (sugestyi), przez którą można drugiej osobie poddawać czucia, a nawet wyobrażenia, czynne chęci i uczucia, idzie *Guyau* jeszcze dalej i nie wątpi, że w podobny sposób można wytwarzać prawdziwe instynkty i instynkty moralne. Dla *Guyau* „stan dziecka w chwili przyjścia na świat daje się mniej lub więcej porównać ze stanem zahypnotyzowanego; („Taki sam tutaj brak wyobrażeń, czyli „bezwyobraźność (aideizm), także panowanie jednego tylko wyobrażenia, czyli „jednowyobraźność“ (monoideizm)“²⁾ a które, „zorganizowane należycie i kierowane, może oczywiście sprzyjać skutkom dziedziczności, albo też je hamować“. Holdując potędze wychowania, nie przeczy jednak dziedziczności, ale dziedziczności fizycznej, a poniekąd i intelektualnej; uważa ją jednak za nic innego, jak tylko za „nabyte nałogi, czyli działanie nagromadzone“. „Każdy osobnik, za sprawą szeregu działań, stanowiących wątek jego życia, a koordynujących się ostatecznie dla jego potomków w dziedziczne nałogi, znieprawia albo umoralnia potomstwo swoje, podobnie jak sam umoralnionym był, albo znieprawionym przez przodków własnych“³⁾. „Dziedziczność... nie nie stwarza; utrwała ona i gromadzi pewne przymioty, które nawet nabytemi niekiedy bywały właśnie przez owo wychowanie w znaczeniu szerszém.“⁴⁾

Polemizując z *Ribotem*,⁵⁾ który dziedziczność rozciąga na wszystkie dziedziny ducha, twierdzi *Guyau* stanowczo, że ona „wystarczy

1) Perez str. 309—310.

2) *Guyau*, *Wychow. i dziedz.* str. 46.

3) *Guyau*, *Wych. i dziedz.* str. 75.

4) *Guyau*, w *dz. przyt.* str. 150.

5) *Dziedziczność psychologiczna*. Warszawa 1884.

może do wytworzenia geniuszu, lecz nie wystarczy nigdy do wytworzenia prawdziwej moralności“; uznaje jednak za pewne, że „istnieją skłonności dziedziczne, tak moralne, jak niemoralne“, że przeto „dziedziczność ma również *niejakie* znaczenie w sprawie powstawania zmysłu moralnego“. Ale godzić się na pewne quantum, a odnosić wszystko do jednej przyczyny, to wielka różnica. Idąc śladem rozumowań Ribota, musielibyśmy się zgodzić na to, że się rodzimy cnotliwymi dziedzicznie, że więc zbrodniarze płodzą zbrodniarzy, a pobożni lub sceptycy—pobożnych lub sceptyków. Zasada „ausrotten!“ była-by tu w pełnym prawie—i należało-by urządzić oblawy, jak na dzikich Indian!.... Wobec dylematu przeciwników dziedziczności, że albo dzieci nie są podobne do rodziców, a w takim razie niema mowy o dziedziczności, albo są podobne, a wtedy jedyną przyczyną jest wychowanie (właściwie powinno-by być: a wtedy uznać trzeba dziedziczność), zachowuje Guyau stanowisko pośrednie i widzi w nim potwierdzenie, „że wpływ dziedziczności w bardzo wielu wypadkach nie daje się również wykazać, i że najczęściej niepodobieństwem jest dokonać sprawiedliwego podziału pomiędzy dwoma temi wpływami“. „Wychowanie—mówi na inném miejscu—posiada moc ogromną w sprawie rozwijania w nas owej skłonności wspierającej, owego ustawicznego sursum corda; dziedziczność przelewa usposobienie do łagodności, uprzejmości, tak samo, jak przekazuje usposobienia gwałtowne i brutalne.“¹⁾ „Geniusz nie może być wytworem wychowania, ale też wychowanie nie żywi uroszczeń do nadawania geniuszu; ono go tylko rozwija, wprowadza w czyn,—może zaś wytworzyć talent“²⁾.

Nicolay³⁾ kwestyą dziedziczności nie zajmuje się szczegółowo, ale, potrącając o nią mimochodem, mniej więcej stoi na stanowisku Guyau. Dziedziczność określa, jako „skłonność natury do wytworzenia w dziecku pewnych cech charakterystycznych, właściwych organizacyi rodzicielskiej“, a dzieląc ją na fizyczną i moralną, dopatruje się jej w pierwszym razie w rysach, w chodzie, w głosie, pewnych szczegółach w postawie, w drugim—w namiętnościach, jak gniew, trwożliwość, zazdrość, zawiść, chęć do rozpusty, upijania się, które odziedziczyć można po rodzicach. Czasami podobieństwa omijają jedno lub dwa pokolenia; stopnia przewagi wpływu ojca czy matki dotąd nie zbadano⁴⁾.

Ale „dziecię jest wynikiem nie tylko samych rodziców, ale i przodków dalszych całego rodu“; oprócz dziedziczności bezpośredniej,

1) Guyau, str. 156 i 157.

2) Guyau, str. 153.

3) Dzieci źle wychowane.

4) Nicolay, str. 399 i 400.

należy, zdaniem p. N., uwzględnić i atawizm. „Każda rasa, każda rodzina przelewa na dziecko jakieś swe właściwości, a dwa te wpływy walczą z sobą dopóty, dopóki jeden z nich nie zwycięży, ustalając charakterystycznie cechy ogólne i trwałe“¹⁾. W ten sposób rozszerzając prawo dziedziczności na dalekie pokolenia, osłabia Nicolay istotny wpływ jego i, pomimo przykładów, w powyższym miejscu przytoczonych, nie zdaje się być zwolennikiem absolutyzmu dziedzicznego p. Ribota. Dowód na to znajdujemy w innym miejscu, gdzie czytamy: „Nie zapoznaję też oryginalności i szczególności pewnych charakterów, ale sądzę, że *wychowanie może odnieść zwycięstwo* nad skłonnościami wrodzonymi, pod warunkiem, iż rodzice zajmują się dzieckiem od pierwszej chwili“²⁾. Dlatego-to przestrzega przed teoryami „dzieci niepoprawnych“, z natury złych; bo gdyby podobne teorie były prawdziwe, „potrzeba-by logicznie zaprzeczyć moralności i odpowiedzialności człowieka. Człowiek byłby w takim razie ślepym narzędziem natury złąj i ofiarą ciężącej nad nim fatalności...“³⁾.

Oto w ogólnym zarysie teorya dziedziczności, jak ją powyżej wymienieni trzej autorowie pojmują. Można tedy na podstawie ich badań i wniosków uważać za rzecz pewną, że dziecię nowonarodzone przynosi z sobą duszę całkowitą, lecz w stanie zarodkowym, ze znamionami atawizmu i dziedziczności, których rozwój lub stłumienie leży w mocy wychowania. Szczególniej występują na jaw zaraz w pierwszych chwilach życia pewne skłonności, świadczące o jakości temperamentu, i niektóre uczucia, w ścisłym zostające związku ze zmysłami. Do tych-to właściwości należy odnosić z dawna utarte wyrażenia i przysłowia: „wyrodek“, „takie się to wyrodziło“ „nie urodzi sowa sokoła“, „niedaleko pada jabłko od jabłoni“, „jakie drzewo taki klin“ i t. p. o ile, naturalnie, nie stosuje się ich do postaci fizycznej. W ogólności jednak za mało się w praktyce zastanawiamy nad sprawą dziedziczności, a nawet z faktów w oczy bijących rzadko korzystać umiemy.

1) Nicolay str. 401.

2) Nicolay str. 199.

3) Nicolay, str. 140.—N. porusza jeszcze (na str. 402 u.) sprawę pokrewieństwa w małżeństwach, wykazując statystycznie szkody, wynikające stąd dla potomstwa. Kwestyę tę pomijamy, jako za daleko leżącą od naszego celu.

2. Wpływ otoczenia.

Jasny a przeto zupełnie zrozumiały jest wpływ, jaki na zdrowie dziecięcia wywiera otoczenie, a więc z jednej strony mieszkanie, z drugiej osoby, niem się zajmujące i dostarczające mu pożywienia. Hygiena mieszkań i dyetyka dziecięca nie wchodzi jednak w zakres dzieł, z których sprawę zdajemy, i dlatego dłużej nad nimi zatrzymywać się nie będziemy; ale że jedną z kwestyi tego rodzaju omawia Guyau, i że ona stanowi dziś przedmiot wszechstronnych pedagogicznych badań, pominąć jej milczeniem nie możemy. Chodzi o *wartość wychowawczą swobodnego ruchu na świeżem powietrzu*.

Do niedawna uważano gimnastykę szwedzką, a tём bardziej ćwiczenia gimnastyczne w salach, ku temu celowi urządzonych, za dostateczny środek rozwoju sił fizycznych młodzieży, do pracy umysłowej przeznaczonej. Przekonano się jednak rychło, że środek ten jest przynajmniej niewystarczający, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o zachowanie niezbędnej równowagi między wykształceniem fizycznym a umysłowym. „Przeciążanie pracą umysłową—mówi Guyau—nużąc ciało, może zakłócić równowagę nawet umysłu“. „Niekiedy cierpi na tём przeważnie serce: częste palpacyjne, tętno słabe, zmniejszenie się liczby uderzeń do 72, 50 a nawet niżej. Czasem znów najwięcej cierpi żołądek, okazuje się niestrawność, obrzydająca życie, a którą wyleczyć można z biegiem czasu... Prawie zawsze sen bywa krótki i przerywany, pospolicie tём spostrzega się pewien upadek ducha“¹⁾. Rozpatrując następnie wszystkie trzy rodzaje ćwiczeń fizycznych najgłośniejszych: gimnastykę szwedzką, niemiecką i sport angielski, przypisuje Guyau ostatniemu z pewnemi modyfikacyami największą wartość, bo pozwala swobodnie na wolnem powietrzu oddawać się młodzieży grom i zabawom, w które wchodzi częściowo i gimnastyka szwedzka i niemiecka. Również i praca ręczna („ślójd“ szwedzkie) miewa donośne skutki higieniczne; zbawienne zaś pod wielu względami, przedewszystkiem dla dzieci miejskich, t. zw. kolonie wakacyjne, zwłaszcza jeżeli pobyt w nich połączony jest z wycieczkami w góry. „Idealem jest jak najczęstsze zespalanie zabawy z pracą, rekreacyi z nauczaniem“²⁾.

W praktyce spotykamy się pod względem wychowania fizycznego z dziwnymi nieraz przesadami i uprzedzeniami. Przedewszyst-

¹⁾ Guyau w dr. przyt. str. 188 i 189,

²⁾ Guyau str. 213.

kiem utylitaryzm, rozciągający się dzisiaj na wszystkie dziedziny wychowania, nie widzi *dotykalnych* korzyści w ćwiczeniach fizycznych. Zdrowy nie uzyska wcześniej stanowiska, niż słabowity, ani zręczny nie będzie rychlej awansował w urzędzie; więc na co to wszystko? Lepiej niech się uczy, aby prędzej osiągnął patent dojrzałości. Są nawet takie matki (raczej macochy!) dla których przesiadywanie dzieci po 5 godzin w ciasnych i dusznych izbach szkolnych jeszcze jest za krótkie, a ślęczenie dziecka 8 lub 10-letniego nad książką przez cały wieczór jedynym ideałem i szczęściem. Każde wyrywanie się dziecka na wolne powietrze, każdy zamiar zabawy karcony bywa surowo, i kończy się zawsze rozkazem bezczasownikowym: „A do książki!“ A przecież dom tylko i nie kto inny może i powinien się zająć rzetelnie wychowaniem fizycznym. Dopóki dziecię nie uczęszcza do szkoły, należy to wychowanie wyłącznie do rodziny, a potem w znacznej części; to znaczy, że na rodzinie ciąży wielki obowiązek wypełnienia tego zadania, którego szkoła wypełnić nie może. Jeżeli rodzina obowiązki swe względem wychowanka przelewa na jakichś zastępców, powinna im obowiązek kształcenia fizycznego położyć na pierwszym miejscu i uważać go za kardynalny warunek. Pensjonaty czy internaty, uważające uzyskanie stopnia przez elewa za wyłączny i najwyższy swój cel, bez względu na wychowanie fizyczne i moralne, nie spełniają swego obowiązku, ale owszem szkodę przynoszą rodzinie i społeczeństwu. Przy dotychczasowym systemie zaniedbania zupełnego, tak ze strony domu, jak i szkoły, względu na fizyczne wychowanie, mogły-by pokolenia następne dojść do zupełnego zwyrodnienia, a słabsze rasy do zagłady. Dlatego-to wszelką szkodę, dobrowolnie wyrządzoną zdrowiu, należy uważać za „grzech fizyczny“.

Razem prawie z wychowaniem fizycznym postępuje *wychowanie moralne*. Zgodziliśmy się na to powyżej, że dziecię przynosi na świat z sobą duszę całkowitą, chociaż w stanie zarodkowym; słuszna tedy aby, równocześnie z podjęciem starań o fizyczne życie tej istoty, podejmowano starania o moralny rozwój duchowej połowy. Ideałem wychowawcy musi być wytworzenie charakteru moralnego na gruncie religijnym; jego składniki—to wyobrażenia i uczucia, rodzące silną wolę. Obok przymiotów osobistych, jak skromność, prawdomówność, czystość moralna, poczucie honoru i poczucie obowiązku, należy rozwijać w wychowanku przymioty towarzyskie, jak grzeczność, zgodność, sprawiedliwość i współczucie, które jedynie mogą równoważyć egoistyczne popędy. Słusznie mówi Guyau: „Ponieważ człowiek stworzony jest tak, iżby żył pomiędzy ludźmi, przeto nie powinniśmy nigdy ustawać w kształtowaniu dziecka do życia towarzyskiego, w przezważeniu jego najpierw wykwitających popędów samolubnych,

przez rozwijanie w nim altruistycznych i społecznych popędów, jakie z czasem odegrają tak znaczną rolę nawet w jego życiu osobowém¹⁾ „Wychowanie polega na pielęgnowaniu tego ciężenia ku innym, nie zaś ciężenia dokoła samego siebie. Uczy nas ono znajdować radość w radości innych, a w ten sposób dokonywać wyboru pomiędzy naszymi uciechami, przekładać radości najwznioślejsze i najbardziej nieosobiste, a tém samém takie, które ogarniają okres najdłuższy, jak gdyby wieczność całą²⁾).

Pomiędzy środkami, prowadzącymi do tego celu, najpotężniejsze bezsprzecznie i stanowcze są: wpływ otoczenia i potęga przykładu. „Jeżeli prawdą bywa, że na wychowanie składają się także wszystkie wyrazy, które dochodzą do uszu, wszystkie myśli, podsunięte umysłowi, wszystkie przykłady, widziane na własne oczy, i wszystkie nareszcie czyny tego życia; to jakiegoż znaczenia muszą być dla nas zasady tych, których codzienna obecność wywiera na dziecko wpływ niezmierny i nie dający się zatrzyć³⁾. Istotnie „obcowanie z rodzicami, których się szanuje, z nauczycielem, z jakimkolwiek zwierchnikiem, musi stwarzać poddawania, których skutki rozciągają się później na całe życie⁴⁾. „Wpływ, przez wychowawców wywierany, nigdy, ani ilością, ani jakością swą, nie pozostanie obojętnym dla sprawy rozwoju wszelakich instynktów, przejawiających się w wychowanicach⁵⁾ „Wszystkie poddawane im myśli jawią się przed niemi (dziećmi w dotykanej postaci i natychmiast też biorą się one do naśladowania ich, lub też do wprowadzania w czyn. To właśnie tłumaczy nam *wszechmocny wpływ przykładu* na te słabutkie umysły, oraz i wszechmocne przyjmowanie uczuć, wyrażonych bądź to słowami bądź ruchami. Fizycznie, umysłowo i moralnie ulega dziecko myślom, poddawany mu tak przez osoby, jak i przez rzeczy, stanowiące zwykle jego otoczenie; ulega im tak samo, jak magnetyzowany ulega magnetyzerowi, chociaż w mniejszym stopniu i nie tak nieprzerwanie. Prawdziwy to automat, który po większej części, świadomie lub nieświadomie, z mniej lub więcej zupełną uległością, posłuszny bywa silnemu wpływowi obrazów, okazanych mu, wywołanych lub narzuconych⁶⁾:

Wobec tego nie trudno ocenić, jakie zadanie przypada w udziale rodzicom, a zwłaszcza matce. Od pierwszych pieszczot i pierw-

1) Guyau str. 223.

2) Guyau str. 131.

3) Nicolay „Dzieci źle wych.“ str. 106.

4) Guyau str. 36.

5) Perez str. 61.

6) Perez str. 211.

szego słowa, do chwili, kiedy pojmującemu już niemowlęciu powie: „a fe! to brzydko!“, lub „tak cacanie“, albo później wytłómaczyć musi po swojemu, dlaczego tego nie wolno a to wolno — wpływ matki jest potężny, bo prawie wyłączny. *Od niego też zależy w zupełności moralna wartość przyszłego człowieka-obywatela*; on chlubić się będzie później w życiu, że „to z piersi matki wyssał“, a między wspomnieniami chwile rokosznych dzieciennych pieszczot pozostaną mu na zawsze niegasnącemi gwiazdkami. A ten przywilej matek „przychyłania nieba“ swym dzieciom nakłada zarazem na nie ciężkie obowiązki, o których, niestety, nie zawsze wiedzą, albo wiedzieć nie chcą. „Istnieją zasady dresury dla koni i psów, hodowli dla bydła. Tworzą one niejako kodeks, a tylko gdy chodzi o zrobienie z dziecka człowieka, zdaje się każdemu, że posiadał przez intuicyę tę sztukę, tak trudną i zagmatwaną... Wszystkiego się ludzie uczą, z wyjątkiem tej nauki, najtrudniejszej ze wszystkich, a której ważność tak jest niezmierną!“¹⁾ Możemy być zwolennikami t. zw. emancypacji kobiet w duchu prawdziwie racjonalnym, ale właśnie dlatego nie możemy zapominać, że „kobieta ma w rodzinie rolę, od której nigdy wyłamać się nie będzie mogła: musi ona dokonać moralnego i fizycznego wychowania dzieci. Do tej-to właśnie czynności powinniśmy ją przygotować, jak należy. *Pedagogia praktyczna wraz z zawierającą się w niej higienę rodziny jest prawie jedyną nauką, niezbędną kobietom*, a właśnie jest to jedyna może, której się im nie wykląda“²⁾. Dodać-by do tego wypadało potrzebę znajomości psychologii dziecka, jako gruntu postępowania pedagogicznego, jako tej nauki, która wykazuje siłę pierwszych przyzwyczajzeń, pierwszych zarodków uczuć religijnych i moralnych, objawiających się w poczuciu porządku, skromności, grzeczności i współczuciu.

Która z matek jednak spełnia swe obowiązki wychowawcze w sposób zgodny z psychologią i pedagogią, która nawet ma o tych obowiązkach właściwe pojęcie? Nie chcąc brać przykładów z życia—bo nie to obecnie naszym zadaniem—musielibyśmy w znacznej części przepisać tu książkę p. Nicolay'a, aby bez uprzedzeń i pesymizmu przykładami złe wskazać. Zaznaczyć tu tylko musimy coraz więcej rozpowszechniającą się fatalną w skutkach modę oddawania niemowląt mamkom przez matki zdrowe i do karmienia sposobne, a po odkarmieniu—bonom dla wychowania! Kiedy się o tém myśli, mimowolnie przychodzi na myśl kukulka... A przecież „jedynie kobieta, głęboko poważna i moralna, może leczyć rany naszego czasu, przero-

¹⁾ Nicolay str. 141 i 142.

²⁾ Guyau str. 356.

bić wychowanie mężczyzny, rozbudzić w nim zamiłowanie dobra i piękna. Do tego potrzeba znowu wziąć się do dziecka, nie powierzać go rękom najemnym, i rozłączać się z niem tylko na czas godzin, przeznaczonych na nauczanie szkolne¹⁾.

Wpływ ojca na pierwiastkowe wychowanie, jest nieporównanie mniejszy, zwłaszcza w wychowaniu córki; co do syna zaś, można by z pewnem prawdopodobieństwem orzec, że w miarę słabnięcia wpływu matki rośnie wpływ ojca. Są jednak przecież pewne wspólne miejsca, na których wpływ obojga rodziców jest równy i zawsze znaczny, i tam to potrzeba przedewszystkiem zgody i harmonii w działaniu. Oto nie może np. matka przyobiecać a ojciec nie dotrzymać, ojciec ukarać a matka popieścić, ojciec rozkazywać a matka wykonać przeszkadzając,—bo bez harmonii w działaniu i bez konsekwencji wychowa się cudaka, ale nie człowieka. „To też ze wszystkich błędów, jakie popełniać można w wychowaniu, najgorszym jest niekonsekwencja... Matka słaba, grożąca często a działająca rzadko—powiada Spencer—stanowiąca pospiesznie prawa i żalująca tego później, okazująca się względem tego samego błędu już to łagodną, już to surową, stosownie do przelotnego usposobienia swego, gotuje przykrości tysiączne dla siebie samej i dla dziecka. Czyni ona siebie godną pogardy w jego oczach. Gdyby-to o tém rodzice przynajmniej w większości wypadków pamiętać chcieli!

W podobnych warunkach najmniej można się spodziewać wyrobienia posłuszeństwa u wychowanka. Dlaczegoż miał-by on słuchać ojca, skoro mu matka na wszystko pozwoli? dlaczegoż miał-by się ograniczać w zachciankach, skoro je wszystkie matka zadowolni? Guyau uważa posłuszeństwo „za wynik poddawania zwycięskiego”, zwłaszcza tych temperamentów, które wiele i stanowczo twierdzić umieją, czyli słowem usposobień energicznych, silnych. Tę siłę nie-rzaz brak zupełny rodzicom, i wtedy dopiero spostrzegają skutki tej słabości, kiedy już o naprawie trudno myśleć. „Jeżeli się dzieciaka nie weźmie w karby, gdy ma lat trzy lub cztery, to prawie rzecz pewna, że się do tego nie dojdzie już nigdy. Posłuszeństwo bowiem jest tak samo przyzwyczajeniem, jak ciekawość.“²⁾

Jakim sposobem to osiągnąć—podają zgodne rady psychologowie-pedagodzy. Oprócz przyzwyczajania do dobrego z nieubłaganą konsekwencją, należy najpierw używać środków zapobiegawczych i tym zaradczych; starać się najpierw o to, aby niedopuszczyć do złego.

1) Guyau str. 167.

2) Guyau str. 66 (przypisek).

3) Nicolay str. 135.

bo złemu trudniej zaradzić. Przestrzedź tu wypada przed zbytkiem łagodności lub surowości, bo jedno i drugie szkodzi. „Za pośrednictwem uczucia wychowa się może dzieci łagodne, przychlebne raczej niżeli przywiązane—i to jeszcze pod warunkiem, że się od nich wymaga tego tylko, co im na rękę... Przez użycie władzy wyrabia się synów pełnych uszanowania i ludzi pojmujących obowiązek. Z uczuciem udaje się czasami, z użyciem władzy daleko częściej.“¹⁾ Ale nadużycie władzy nie prowadzi również do celu. Zbyteczna surowość i pedagogia, oparta na ustawicznym strofowaniu i karaniu, wytwarza w wychowanku rzeczywisty upór i nieposłuszeństwo—a więc cel wręcz zamierzonemu przeciwny. „Spowszedniała to, a jednak często w praktyce zapominana prawda, że sprawiedliwością i dobrocią wszystko prawie z dzieckiem zrobić można. Będzie ono grzeczne, jeżeli ma do nas zaufanie; nie będzie szukało wymówek dla swoich przewinień, jeżeli wie, że sprawiają one przykrość rodzicom i że przykrość ta jest najnieprzyjemniejszym następstwem, jakie dla niego z przewinięcia wyniknąć może. Zresztą nie należy nigdy dziecka łącać za winę, samowolnie popełnioną.“²⁾ „Dzieci mają wrodzoną delikatność uczuć, której dobry wychowawca umiejętnie bodźca dodaje, a która u dzieci, najmniej nawet nią obdarzonych, stanowi najlepszy środek pomocniczy i najużyteczniej równoważy wszelkie środki przymusowe... Bierne posłuszeństwo albo obawa kary i połajania nie osiągnęły-by bez trudu podobnego rezultatu, który z taką łatwością otrzymać można, odwołując się do szlachetnych instynktów, człowiekowi wrodzonych.“³⁾ „Przypuszczać z góry dobroć i dobrą wolę“—każe również i Guyau (str. 51), twierdząc, że „wszelkie wychowanie winno dążyć do tego celu: przekonać dziecko, iż jest ono zdolne do dobrego, oraz niezdolne do złego... i uważać je za tak dobre, jakby się je chciało widzieć.“⁴⁾ Natomiast ciągle podejrzwanie przynosi najszkodliwsze owoce. „Częstokroć dość jest powiedzieć lub pozwolić mniemać dzieciom albo młodzieży, że się podejrzewa w nich takie lub inne przymioty lub wady, a będą one usiłowały usprawiedliwić to mniemanie.“⁵⁾

Po wyczerpaniu środków zapobiegawczych, posunąć się trzeba do przestroóg, a wreszcie groźb, po których już nieodwołalnie następuje kara. Groźba niespełniona jest pierwszą szkołą kłamstwa i osłabia stanowczo wpływ rodziców na dzieci; niespełniona obietnica oburza również wychowanka i odbiera mu wiarę w szczerłość słów wy-

1) Nicolay str. 129.

2) Perez str. 114.

3) Perez str. 372.

4) Guyau str. 48 i 50.

5) Guyau str. 49.

chowawcy. Niemniej szkodliwie działa kara niesprawiedliwa, wymierzona w uniesieniu i powtarzana zbyt często. „Uczucie sprawiedliwości objawia się czasem u dziecka bardzo silnie, zwłaszcza w epoce, gdy potrafi już wyrazić dość jasno to, co czuje... Zresztą dzieci nienawidzą niesprawiedliwości, szczególnie zaś takiej, którą im wyrządzono, lub którą za wyrządzoną sobie uważają; widzą w niej tylko niezgodność pomiędzy przypadkowym a zwykłym sposobem obchodzenia się z niemi.“¹⁾ To też kontrast między postępowaniem, kiedy się jest w dobrym humorze a w rozdrażnieniu lub w gniewie, uderza dzieci gwałtownie i niepokoi. Już samo gniewanie się wobec dzieci nietylko usposabia je do naśladownictwa, ale wzbudza obawę, czy nie nastąpi potem kara. „Rodzice nie mają się zdradzać z jakimś szorstkim gniewem wobec dziecka; w przeciwnym razie, biorąc z nich przykład, dziecko poczuje się upoważnionem samo do gniewania się i szorstkości. Rodzice mogą się oburzać na postępek zły lub niesprawiedliwy o tyle, o ile dziecko może działać źle albo niesprawiedliwie, ale nie powinni okazywać żadnej gwałtowności.“²⁾ „Niech (dzieci) widzi i czuje, że rodzice z prawdziwym tylko żalem i z wielkim smutkiem burczą go (!) albo wymierzają mu karę, i niechaj karę tę, o ile możliwości, zatają przed wszystkimi, a będzie prawdziwie wzruszone... Tylko w ten sposób da się pogodzić podwójna rola: surowego sędziego i kochającego ojca.“³⁾

Kara traci swe znaczenie wychowawcze, jeżeli jest za częsta. „Wszelka kara, aby była skuteczną, musi być niezwykłą, wyjątkową, zachowywaną jedynie na wypadek jawnego nieposłuszeństwa. Ten-to właśnie charakter wyjątkowości czyni karę czemś strasznem i może zrobić z niej potężny środek działania na umysł dziecka. Uczynicie z waszych upomnień i chłost rzecz codzienną, a dziecko przyzwyczai się do nich, jak do lekarstw, i to kosztem swego charakteru... Kara powinna być tylko symbolem... Nie potrzeba też upominać dziecka raz po raz, albo wymierzać mu karę w odstępach czasu zbyt krótkich, bądź za takie samo wykroczenie, bądź za wykroczenie odmienne; w ten sposób bowiem stępią się moralny wpływ upomnienia i wytwarza się w dziecku nałóg być karanym (!), co jest już najgorszem... Należy tak oszczędzać się z napomnieniami, jak żołnierz powinien oszczędzać się pod względem (!) swych środków na wojnie.“⁴⁾

¹⁾ Perez str. 372 i 374.

²⁾ Guyau str. 63.

³⁾ Nicolay str. 96.

⁴⁾ Musimy tu zwrócić uwagę Szan. Czytelników na niepoprawność stylistyczną przekładu, z którego czerpiemy, ale którego w cytatach zmieniać nie możemy. Z pomiędzy trzech dzieł rozbieranych, książka Nicolay'a jest najlepšíj po polsku oddana.

Napomnienie albo kara nigdy nie mogą wyrzucić swych skutków natychmiast. Potrzeba zostawić im czas pewien, aby mogły zająć właściwe miejsce w rzędzie zwykłych pobudek dziecka. Kara działa nie sama przez się, lecz o tyle, o ile przeobrazi się już w pamięci; czas jest czynnikiem rdzennym w wytwarzaniu się moralności dziecięcia, wychowawca téż, tak samo jak i przyroda, nie powinien postępować drogą przewrotu, lecz drogą prawidłowego rozwoju.“¹⁾

Zupełnie zgodne są poglądy Nicolay'a. „Kary częste — mówi on — narażają na podwójne niebezpieczeństwo. Najpierw są za łagodne, bo kary zbyt surowe nie mogą następować bez wielkich szkód zbyt często po sobie; i powtarzają się za często, bo okazały się niedostatecznymi. I odtąd-to dzieciak, którego się burczy ciągle, żartuje sobie z kar drobnych, któremi mu grożą. „Nie umiera się od tego — mówi do siebie — więc niema się i czego lękać.“ To téż się i nie lęka.“²⁾ „Zamiast grozić karami, zarówno licznymi jak nijakimi, zamiast ganić ciągle, z regularnością remontoaru, zamiast wiecznie głosić kazania, lepiej karać bardzo rzadko, ale bardzo surowo. Korzyść podwójna i niezaprzeczone. W istocie, karząc bez słabości, za pierwszą oznaką nieposłuszeństwa, natchnie się malca zbawiennym strachem. Z drugiej wreszcie strony, strach ten, skuteczny już przez to, że słuszny, nakłoni do posłuszeństwa, zwalniając na czas długi od uciekania się do innych środków. W ten sposób dziecię będzie żyło stale w spokoju rodzinnym.“³⁾

Godne uwagi są poglądy Guyau i Nicolay'a na karę chłosty cielesnej. „Kara cielesna — mówi Guyau⁴⁾ — odnośnie do dzieci bardzo młodych, może stanowić pierwiastek składowy uczucia władzy moralnej, ale pierwiastek ten nie powinien mieć zbyt wielkiej wagi, ani téż rozpościerać się nad innymi, gdyż inaczej zmieni on uczucie moralnej władzy, zastępując je tchórzliwą obawą, albo duchem buntu.“ „Zatém różga zdaje się w zasadzie nieuniknioną, ilekroć dziecko, niezuluje na dyalektykę, opiera się i buntuje; nieuniknioną zwłaszcza wtedy, gdy nie ma ono jeszcze dosyć rozumu, ażeby zgłębiać uwagi ojcowskie... Konieczność ta istnieje, według mego zdania, *tylko w pierwszych latach dziecka i to w bardzo rzadkich wypadkach.*“⁵⁾ Nicolay, przechodząc historycznie od starożytności użycie chłosty, rzuca mimochodem uwagę lekarzy, że „gdy dzieciak znajduje się w napadzie gniewu, *wyjatkowa* ta kara działa zbawiennie, bo chłosta

1) Guyau str. 65 i 66.

2) Nicolay str. 168.

3) Nicolay str. 167 i 168.

4) str. 63.

5) Nicolay str. 183.

kręć uderzającą do głowy odciąga na dół — i kończy: „Co do mnie sędzę, że jeżeli chłosta potrzebną jest dla dziecka dwu lub trzech letniego, to jest *szkodliwą*, gdy dziecko ma lat dziesięć, a później *skandaliczną*...“¹⁾ Tak tedy znany wierszyk elementarza: „Róźdzka: Duch św. dziateczki bić radzi“ okazuje się w skutkach praktycznym środkiem po wszystkie czasy, a rozumna pedagogia nie gardzi nim w *wyjatkowych* razach i we właściwym wieku. W naszym stuleciu tyle już na ten temat napisano i tak pocziwają „róźdzkę“ osławiono, że nie tylko nauczyciela, używającego tego argumentu, ale nawet ojca uważa się za barbarzyńcę. Tymczasem chłosta, wymierzona bez obcych świadków, z zupełnym spokojem, a nawet z żalem, że się jej wymierzyć musi, dokonywa niekiedy z upartymi dziećmi prawdziwego cudu, bo odtąd ich posłuszeństwo względem rodziców staje się nieraz wzorowem. Ma to swoje uzasadnienie w tém, że dziecko ból fizyczny, choćby nie bardzo dotkliwy, uczuje żywo i pamięta o nim, moralnych zaś pobudek w tym wieku szukać u niego niepodobna.

Przez posłuszeństwo łatwo osiągnąć i rozwinąć inne przymioty, jak grzeczność, zgodność, poczucie porządku, prawdomówność, pilność, jednak to jeszcze nie wszystko. Współczucie, sprawiedliwość, skromność, honor i ambycja, o ile nie są wrodzone, innemi środkami rozwijać potrzeba. Tu zwłaszcza działa przykład samych rodziców. „Dziecko, przejmując od nas wszystko, dobre i złe zarówno, prędko też przejmie tak sądy nasze, jak i sposób postępowania; nie należy jednak sądzić go podług tego, jak ocenia ono niektóre postęпки i jak całkiem wypadkowo naśladować je będzie.“²⁾ „Gdyby rodzice wie dzieci, że są sami twórcami modły, wedle której kształtują się idee dziecka, to niezawodnie strzegłi-by się zuchwałości pewnych twierdzeń, które się lekkomyślnie powtarza, tak sobie, w pogawędce, bez przywiązywania do nich wagi... Pierwsze te wskazówki staną się podstawą czynności intelektualnych a zarazem punktem oparcia dla dalszych indukcji logicznych, rządzących umysłami.“³⁾ Zaraźliwość przykładu sprawia cuda albo klęski; jest równie silną, jak natura.“⁴⁾

Ale jak świecić przykładem, jeżeli się ma tyle złych przyzwyczajzeń i nałogów, wprawdzie niezbyt szkodliwych, a przecież przeszkadzających konsekwentnemu wychowaniu? Jeżeli się uważa rodzica za główne ognisko wychowania, niepodobna inaczej, jak tylko zacząć od siebie. Nicolay nazywa to dowcipnie „wychowaniem rodziców przez

1) str. 192.

2) Perez str. 118.

3) Nicolay str. 119.

4) Nicolay 272.

polskiej. Zapewnie, że tą drogą jednorazowej ofiary nie można było osiągnąć ustalenia bezpiecznej obrony granic. Niewiadomo też, ile istotnie w tym roku trzymano zaciężnych; liczba ich jednak nie mogła przenosić 4—5 tysięcy, i to w tym razie, gdyby pobory w całości wpłynęły i były użyte na utrzymanie żołnierzy. Ale, niestety, podług świadectwa Tomicyanów: „w pobieraniu i szafowaniu poborów działa się ogromne nadużycia i kradzieże. Król, pobłażliwy do słabości, niktogo nie karał, senatorowie zaś i urzędnicy nie mogli, czy też nie chcieli, zapobiegać kradzieży grosza publicznego, bo — „corvus corvo oculos non configit“¹⁾.

Na tymże sejmie zapadło inne jeszcze, bardzo ważne i doniosłe, postanowienie, mianowicie: taksacya dóbr wszystkich, tak miejskich, jako też i wiejskich, dla sprawiedliwego rozkładu poborów i równomierności w wypełnianiu obowiązku obrony R-ptój²⁾.

Niedługo jednak trwało to podniesienie temperatury serc i umysłów; po uczynionej bowiem taksacyi, lubo nie zupełnie słusznej, taki gwałt powstał z jej powodu na następnym zaraz sejmie, że postanowiono, za zgodą nawet tych, którzy właśnie najzawzięciej nastawali na konieczność powszechnej dóbr oceny, spalić księgi taksacyjne, tak, ażeby nawet żadnego śladu po nich w pamięci nie zostało³⁾.

Podobnyż los spotkał i powiększone pobory. Na sejmiku generalnym dla Wielkopolski w Poznaniu, który poprzedził sejm, zwołany na Ś-go Mikołaja do Piotrkowa w r. 1525, rycerstwo o nowych podatkach na utrzymanie żołnierza słyszeć nawet nie chciało, wskazując na 10,000 zlot., których duchowieństwo jeszcze nie zapłaciło, tudzież na zaległości z przeszłych poborów, a także szos i czopowe z miast. Zgadzało się ono wybrać posłów jedynie dla należytego praw oprawienia. Przypominało przy tém, że po wojnach pruskich, które 14 lat trwały, przez 30 lat żadnych nie było poborów, „a przecież królestwo było takoweż, jako i dzisiaj, tokoweż dochody i pożytki, jako i dzisiaj są, i nadto się jeszcze więcej dochodów przyczyniło, jako cło nowe, nowy skład i przedawanie soli w Bydgoszczy“⁴⁾.

Pomimo tego oporu ze strony Wielkopolan, podatek na obronę został uchwalony, ale już tylko w ilości 12 gr. od łanu, a do tego szos i czopowe na dwa lata. Do tej uchwały przystąpili później i Wielkopolanie⁵⁾. Sejm ten przyniósł nowy sposób formowania zaciągów.

1) Ib.

2) Ib. 31.

3) Ib.

4) Ib. VIII 1, 4.

5) Ib. 9—18.

Postanowiono: aby każdy wojewoda spisał ludzi wojskowych w swoim województwie, zdatnych do służby na Rusi, robiąc taki wybór, aby możniejsi nie więcej nad 8 koni, mniej możni na 7, 6, 5, 4, 3 i 2 konie popisali się. Uchwalono przytém, aby województwo Krakowskie wystawiło 150 koni, Sandomierskie tyleż, Lubelskie 100, Ruś, Podole i Bełzka ziemia 600, Poznańskie 160, Kaliskie 160, Sieradzkie 160, Łęczyckie 100, Brzeskie i Inowrocławskie 130, ziemia Dobrzyńska 50, Płockie 110, Rawskie 110. Taką liczbę winien był ogłosić każdy wojewoda żołnierzom swego województwa, nazywając każdego po imieniu i na ilu koniach miał służyć. Król zaś z pobranych pieniędzy miał tym żołnierzom żołd wypłacać. Zaciężni obowiązani byli stawić się we Lwowie i Busku na Ś-go Wojciecha, gdzie ich Mikołaj Firléj i Jakób Secygniowski, popisawszy, mieli przyjąć pod swą komendę¹⁾.

Jaki cel miała ta ustawa wojskowa, trudno zrozumieć. Nie wniosła ona żadnego ulepszenia w tworzenie i organizację wojska. Owe chorągwie wojewódzkie bardzo przypominają przyszłe chorągwie powiatowe, które zwykle były nędzne, a to głównie dlatego, że miały rotmistrzów słabych, wiadomo zaś, że jaki rotmistrz, taka chorągiew. W tym razie rotmistrze musieli także być obieralni po województwach, a przytém odgrywały zwykle rolę kolligacye, sąsiedztwa i t. d. Rotmistrze, wybierani przez króla, według rekomendacyi hetmana, ze starych zasłużonych żołnierzy, byli odpowiedniejsi dla służby. Sejm wkraczał w prerogatywę króla w przypowiadaniu służby. Ograniczył on i władzę hetmana, stawiając obok niego Secygniowskiego. Wprawdzie Secygniowski więcej wart był od Firleja, ale był to szkodliwy precedens. Narobiwszy tyle wcale niepotrzebnej gmatwaniny, sejm liczbę żołnierzy ograniczył do 1,980 jeźdźców. Gdy tymczasem tu chodziło głównie o powiększenie siły zbrojnej. Na szczęście ta bałamutna konstytucya miała niedługi żywot, przetrwała bowiem tylko do następnego sejm.

Tatarzy w tym roku najechali Polskę z poduszczenia Sułtana, który tym sposobem chciał powstrzymać Zygmunta od podania pomocy królowi Węgierskiemu, Ludwikowi. Tym razem spustoszyli oni Wołyń, tudzież Bełzkie i Lubelskie województwa. Król, który wtenczas bawił w Prusach, użył przeciwko nim wojska, zebranego dla pomocy Ludwikowi; lecz siły te były za słabe, aby mogły stawić opór nieprzyjacielowi, który odszedł z łupem spokojnie do domu.

Pod świeżym wpływem tego napadu, oraz strasznej klęski, poniesionej przez Węgrów pod Mohaczem, sejm, zebrany w r. 1527

¹⁾ Ib. 6.

na Trzech Króli w Krakowie, postanowił powtórnie taksację dóbr i uchwalił znaczne pobory po 18 gr. od łanu, które w połowie posiadacze ziemscy, a w drugiej połowie ich poddani płacić mieli, i z miast podatki zwyczajne. Za te pieniądze utrzymywano na Podolu 400 ludzi piechoty i 3,608 koni ¹⁾.

Owoce tego sejmku była ordynacja wojskowa, motywowana w następujący sposób: ponieważ zbiegiem fatalnych przeszkód nie mogliśmy dotąd ustanowić stałej i pewnej obrony przeciwko następującym na nas prawie rok rocznie nieprzyjaciołom i zmuszeni jesteśmy ustawicznie zwoływać sejmy dla naradzenia się o tej właśnie obronie, a tymczasem państwo nasze ponosi ogromne szkody i dąży do zupełnej ruiny, jako to i w przeszłym roku, z powodu słabości straży na granicach, wielkiemu spustoszeniu uległo; zgromadziliśmy sejm obecny, dla obmyślenia jakiejś trwalszej i pewniejszej obrony. W tym celu obieramy i wyznaczamy wspólnie z hetmanem W. Koronnym, przełożonych wojskowych, zwanych porucznikami, biegłych i doświadczonych w sztuce wojennej i przy tém posiadających dobra ziemskie, oni zaś werbują po województwach żołnierzy, podług swego upatrzenia.

Każdy porucznik, mający rotę, z 200 jezdnych złożoną lub nieco mniejszą, będzie pobierał żołd na 10 koni, licząc dla siebie po 10 zł. na konia na kwartał, żołnierzom zaś swoim będzie wypłacał za tenże okres czasu od konia po 6 zł.

Każdy porucznik obowiązany będzie rotę swoją osobiście, nie wyręczając się zastępcami, tak idąc na Ruś, jak też wracając ztamtąd do domu, prowadzić i pilnować tego, aby żołnierze jego w dobrach

²⁾ Tu zachodzi nieporozumienie. W „Trzech rozdziałach“ powiedziano co do sejmku 1526 r. „Na czele tej konstytucyi stoi odpowiedź na edykt r. 1525, którym, prócz szlachty, król powołuje do broni stany miejski i wiejski; konstytucya z r. 1526 wygłosiła, że obrona R-ptej należy wyłącznie do stanu szlacheckiego. Co było z wielką szkodą dla siły zbrojnej polskiej, którą pozbawiła na zawsze piechoty“. O tym edyktie nigdzie żadnej wzmianki nie spotykamy, wiemy tylko, że Zygmunt powoływał mieszczan i chłopów do broni podczas dwókrrotnego najazdu Turków i Tatarów w r. 1524.

Tamże w „Trzech rozd.“ p. 83, powiedziano, że „sejm 1526 r. uchwalił pobór na 2 lata, pominawszy opodatkowanie szlachty, włożył pobory tylko na stany miejski i wiejski“. (Metr. kor. ks. 39. Decret. Conv. Piotr. f. 3 prox. ante fest. Conversionis S-ti Pauli).

Tym tedy kosztem, przez czas letni, utrzymywano na Podolu, pod Marcianem Kamienieckim, 2015 jazdy i 800 piechoty. Na zimę zaś zmniejszano zaciąg do 800 koni.

świeckich i duchownych żadnych szkód nie czynili, ani też poddanym, do dóbr tych należącym, żadnych krzywd nie wyrządzali. W przeciwnym razie obowiązany będzie za wszystkie poczynione ubytki z własnej kieszeni wynagradzać.

Ażeby zaś porucznik mógł ponosić te koszty bez swęj szkody i nie odpowiadał za cudze winy, ma zatrzymać u siebie pewną część z należnego jego żołnierzom żołdu, tak idąc na Ruś, jako też wracając ztamtąd do domu, na przypadek, aby w razie, gdyby kto z jego towarzyszy lub pacholków wyrządził jakieś szkody lub krzywdy i nie chciał sam ich zaspokoić, wynagrodzić mógł za niego pokrzywdzonych, w obecności innych towarzyszy, a potem z żołdu jego potrącić.

Porucznicy, wracając do domu ze swą rotą, dwa tygodnie przed upłynieniem terminu służby, zachowują nad nią swą władzę i utrzymują ją w ryzie wojennej, ażeby mogli łatwiej od czynienia nadużyć powstrzymać.

Porucznicy nie mają przyjmować towarzyszy, służących więcej niż na 8 koniach, ale mogą brać tych, którzy zechcą pełnić służbę, na 7, 6, 5 i 4-ch koniach. Powinni przy tém pilnować, aby każdy towarzysz sam osobiście służył, a nie przez zastępcę lub sługę.

Ani żołnierze, ani ich porucznicy nie mają być zmuszani do jakiegokolwiek komukolwiek przysięgi przez hetmana W. Koronnego, ale winni mu uległość i posłuszeństwo.

Świadectwa o wynagradzanie szkód nie mają być wydawane ani żołnierzom, ani porucznikom; lecz o wynagrodzenie tych szkód ma poszukiwać sam hetman W. Koronny, a wojewodowie i podskarbiowie obowiązani za nie płacić.

Dla ziemi Krakowskiej, Sandomierskiej i Lubelskiej, ma być wyznaczony przez króla szafarz, który, po zebraniu pieniędzy z poborów, powinien je na Ruś odwieźć i służebnym podług regestrów popisowych wypłacić. Województwa zaś Wielkopolskie mają odsyłać pieniądze, z poborów zebrane, do Łęczycy, a ztamtąd pisarz, od króla wysłany, odwiezie je na miejsce przeznaczenia i wypłaci służebnym podług regestrów popisowych.

Konstytucya ta początkiem swym zdaje się obiecywać jakieś ulepszenia w obronie granic, a tymczasem chodzi tu o obronę od własnych żołnierzy. Ale dobrze i to, że przypowiadanie służby i wyznaczenie poruczników wróciły we właściwe ręce. Lecz odstąpiwszy od tego prawa, szlachta stara się zabezpieczyć swe wolności i przywileje od nadużycia siły zbrojnej ze strony króla, zabraniając wojsku przysięgi, — nieufność, na którą król Zygmunt wcale nie zasługiwał.

Na tym kończymy nasz przegląd obrony granic od Tatarów, dalej bowiem Tomicyana, główne źródło naszej wiedzy, nie sięgają. Ale

i tych lat dwudziestu (od 1507 — 1527) aż nadto dosyć, ażeby utworzyć sobie pojęcie i o napadach Tatarów, i o szkodach przez nich wyrządzanych, i o walkach z nimi, i o rozmaitych formach i sposobach obrony, równie jak o przebiegu i uchwałach dwudziestu sejmów, powoływanych do obmyślenia skutecznej i pewnej obrony granic od tego okrutnego wroga.

Wiemy już, że napady tych ptaków drapieżnych, połączone z okrucieństwami, których szczegółowy opis może poruszyć nawet najtwardsze serce, wypleniały pograniczne kraje z ludu, ogołacały z dobytku i mienia i tym sposobem rujnowały ich stan ekonomiczny i utrudniały kolonizację najżyźniejszych Rzplitej prowincyi. Była to prawdziwa plaga, istny bicz boży, jakby przeznaczony na to, ażeby podniecić w najwyższym stopniu instynkt samozachowawczy Polaków i pobudzić ich do przedsięwzięcia skutecznych środków obrony, w postaci np. wojska stałego, które tu było niezbędne, a które zarazem odpowiadało-by potrzebom ogólnej obrony i, raz ustanowione, mogło-by zapewnić nazawsze całość, byt i wielkość Rzplitej.

Ale, jak mówi przysłowie: większa jest głupota i egoizm ludzki, aniżeli miłosierdzie Pańskie. Żadne, jak najboleśniejsze nawet, doświadczenie i próby nie były już zdolne poruszyć serc tych zakamieniałych grzeszników, w swawoli i egoizmie rozpasanych i stawiających swą złotą wolność i przywileje wyżej nad dobro ojczyzny. W ciągu dwudziestu lat rok rocznie zbierają się sejmy w jednym jedynym celu obmyślenia skutecznej obrony granic od Tatarów. I cóż obmyślili — nic, zgoła nic. Król prosi, nawołuje, upomina, wysilając się tak w orędziach, jak w przemówieniach swych mówców na jak najdobitniejsze argumenta o konieczności opatrzenia granicy od Tatarów. I cóż otrzymuje w odpowiedzi? pobory od 6 do 18 gr. od łanu, za które może utrzymywać wcale niewystarczającą liczbę żołnierzy, i posp. ruszenie. O tej niedołężnej milicyi mówiliśmy już dosyć, ale najlepszym dowodem jej nieużyteczności jest to, że w ciągu 20 lat ani razu nie wystąpiła do boju z nieprzyjacielem, bo, albo król, unikając spustoszenia kraju, wzdragał się je powoływać, albo, gdy powołał, nie usłuchało rozkazu i nie wyszło. Była więc to fikcyja, którą stany same siebie oszukiwały.

Co zaś do poborów, to na pierwszy rzut oka uchwały sejmowe o nich wyglądają jakby na jakąś igraszkę. Potrzeba zawsze jest stałą i jednakową. Nieprzyjaciel zagraża w każdej chwili i niewiadomo dnia, ani godziny, kiedy wtargnąć zamierza. Stany zaś to dają więcej, to mniej, a czasami i zupełnie odmawiają poborów, okazując w tém jakby łaskę lub niełaskę królowi. W istocie przyczyna tych targów mogła tkwić głębiej. Być może, że ówczesny chłop pol-

ski nie był w stanie w niektóre lata zapłacić 12 a nawet 6 gr. od łanu. A tymczasem nietylko tych 12 ale 18 gr. było za mało. Szlachta wiedziała i rozumiała dobrze, że tu trzeba było sięgnąć do własnego mieszka; ale na ten krok heroiczny zdobyć się nie mogła. I o to zahaczyła się cała sprawa. Bo obrona granic wymagała wojska, a wojsko bez pieniędzy istnieć nie mogło.

Zdarzały się trafne i szczęśliwe pomysły, jak np. projekt królewski zamiany powinności wojennej na pieniądze, i parę razy podniesiona na sejmach taksacja dóbr. Gdyby te reformy przeprowadzić się dały, Polska była-by zbawiona. Niewiadomo, jaką-by otrzymała siłę zbrojną, ale w każdym razie rozwiązała-by kwestyę rozumnie i uczyniła, co tylko mogła, dla swojego dobra. Nie dały się jednakże te zbawienne reformy w życie wcielić. I ztąd, gdy W. Ks. Moskiewskie opasało się od Tatarów całą długą linią zasiiek, za którą utrzymywało 35,000 wojska, a Austria dla obrony od Akindzów, takichże rabusiów jak i Tatarzy, urządziła granicę wojenną, Polska pozostała otworem na łasce dzikiego wroga, który, uważając ją za swój folwark, gospodarował w nim, jak i kiedy chciał. Rząd i lud przyzwyczaiły się do téj plagi i znosiły ją, jak każdą inną elementarną plagę, jak grad, posuchy, powódzie, i taki stan rzeczy trwał prawie do końca istnienia Rzplitej, aż póki sąsiednie państwo nie zrujnowało tego gniazda łotrów i rabusiów, żyjącego, jak każdy pasożyt, kosztem cudzej krwi i soków, znoju i potu.

Dalsze losy obrony granic od Tatarów znamy już tylko urywkowo z Kroniki Bielskiego i Aktów Metryki Koronnej, cytowanych w „Trzech Rozdziałach Historii Skarbowości w Polsce“.

W r. 1528 utrzymywano na Podolu 3200 koni i 300 piechoty. Ale w roku następnym już znacznie mniej, mianowicie: w pierwszej ćwierci 1000 jazdy, w drugiej 1600, a w trzeciej tylko 500 koni i 150 piechoty, pod dowództwem Jana Koła z Dolejowa, który objął komendę po Marcinie Kamienieckim, hetmanie polnym. Pobory w tym roku złożyła tylko Małopolska, Wielkopolska zaś nie dać nie chciała.

W r. 1530 uchwalono pobory na wojnę wołoską, a w r. 1531 toczyła się ta wojna. Tatarzy zachowali się oba lata spokojnie.

W latach 1532 i 1533 odbywały się sejmy; ale sejm ostatniego z lat pomienionych, za nieobecnością posłów wielkopolskich, nie chciał pozwolić na pobory i ledwie za usilnym naleganiem króla, który na wszystko upraszał, aby nie zostawiano granicy bez opatrzenia, zgodził się na podatki, ale z tym warunkiem, aby na sejmikach generalnych w Kole i Korczynie aprobowane były.

W r. 1534 sejm postanowił podatek po 16 gr. od łanu i za te pieniądze utrzymywano na Podolu nieco znaczniejsze siły. Tatarzy,

dowiedziawszy się, że Ruś posiada jaką taką obronę, obrócili się na Wołyń, gdzie wyrządzili znaczne szkody i wprowadzili do 15,000 ludu.

W r. 1536 król nakazał pospolite ruszenie, pozostawiając stanom, jeżeli zechcą, uchwalić pobory. To też rycerstwo, zebrawszy się na sejmiki w Kole i Korczynie, wolało uchwalić podatek po 8 gr. od lanu, które chłop płacił, aniżeli iść swemi osobami na wojnę.

W r. 1537 sejm, zwołany dla obmyślenia środków na wojnę z Wołochami, którzy, wtargnąwszy na Pokucie, poczynili znaczne szkody, nie chciał postąpić poborów. Król tedy zmuszonym się widział powołać pospol. ruszenie do Trębowli. Szlachta, zebrawszy się pod Lwowem w liczbie około 150,000, zamiast iść na wroga, zaczęła narzekać na Zygmunta, że wielu rzeczy nie czyni, z ubliżeniem praw i wolności narodu, i że panowie rada jemu w tém pomagają. Podali też artykuły spisane i wymagali, aby je król zatwierdził, bo inaczej przeciwko nieprzyjacielowi nie pójdą. Zygmunt na niektóre z żądań pozwolił, inne zaś odesłał do przyszłego sejmku i przez Tarnowskiego upominał szlachtę, przedstawiając jej, że bezkarność najezdcy ośmieli innych nieprzyjaciół i poda Rptą w lekceważenie i pogardę, aby, albo własnymi osobami szła, albo złożyła pieniądze, gdyż pobory z miast nie wystarczały na zapłatę zaciągniętym na wyprawę 3500 żołnierzy, na co król ze swęj szkatuły 30,000 złotych dodać musiał. Ale napróżno Tarnowski wyzyskiwał całą siłę swęj wymowy i poważnych argumentów; rycerstwo, nie widząc nieprzyjaciela na swęj ziemi, nie chciało iść za granicę, aż póki mu, na miejscu we Lwowie, po 5 grzywien na kopię zapłacono nie będzie. Król, widząc, że nic na szlachcie nie wskóra, rozpuścił ją do domów.

Wykonała tu szlachta przytoczoną wyżej pogrózkę podczas najeźdu Tatarów w r. 1516. Miała też pewną rację, zaślaniając się przywilejami króla Loisa, ale za to nie miała prawa zwać się filarem narodowej obrony. Nim bowiem filar ten z miejsca się ruszył, nieprzyjaciel mógł spustoszyć i zrujnować kraj cały; a gdy umknął, trzeba było płacić takie sumy, na jakie, jak słusznie powiada komentator Tomicyanów, ani Krezus, ani Daryusz zdobyć się nie mogli.

Słowa też znakomitego mówcy i prawnika, Tuszyckiego, wypowiedziane przy pożegnaniu króla we Lwowie: „Co się tyczy wyprawy wojennej, tego przedewszystkiem potrzeba, abys dobrze trzymał, że ci żołnierze (posp. ruszenia, pod Lwowem zebranego), których widzisz, są potęgą i twierdzą państwa twojego“, słowa te, powiadam, zakrawają na ironię. A już zupełnie bredzi Tuszycki, gdy mówi, dobijając się skasowania cła nowego: „sprawiedliwie nam to pozwolone było (wolność od cła), nam, mówię, którzy orężem, dzielnością i radą utrzymujemy zaszczyt i dobro Rzplitej“.

W ciągu ostatnich lat panowania Zygmunta I, sejmy, podobnie jak i przedtém, to uchwały pobory, które nie przenosiły 12 gr. od łanu, to zupełnie onych odmawiały, kierując się względami ubocznymi, a nie potrzebami obrony, a tymczasem ziemie pograniczne, tak samo, jak w poprzednie lata, były najeżdżane i niszczone.

Po wstąpieniu na tron Zygmunta Augusta, na sejmie 1550 roku podniesiono tak zwaną egzekucję praw koronnych, przez królów Albrechta i Aleksandra postanowionych, względem alienacyi dóbr stołu królewskiego. Nie wiadano jednak, jak się wziąć do egzekwowania tych praw, nie wyjaśniono téż sobie, kogo one mianowicie dotkną. Skończyło się tedy na postawieniu tylko kwestyi, bez jéj rozwiązania.

Na sejmie 1552 r., gdy król zaczął mówić o obronie granic, posłowie odpowiedzieli, że o żadnej obronie od postronnego wroga słyścić nie chcą, póki się od domowego nie oswobodzą. Zdało-by się, że rozum polityczny powinien-by był podyktować rycerstwu opinię odwrotną; ale ono miało właściwą sobie logikę.

Nareszcie, gdy położenie rzeczy, wskutek nieuchwalania poborów i ciągłych najazdów tatarskich, stało się niemożliwem, szlachta prosiła króla o zwołanie sejmu. Pozwolił na to Zygmunt August i 22 listopada 1562 roku zebrał się w Piotrkowie ów sławny sejm, na którym rozpoczęły się obrady o egzekucyi praw.

Urządzenia wojskowe.

Nie jest moją rzeczą wdawać się w przebieg rozpraw sejmowych, które się przeciągnęły do następnego 1563 r. i skończyły się w Warszawie. Rezultat ich był taki, że król, ze wszystkich dóbr stołu swego, jako: gołe dożywocia, dzierżawy i tenuty, a także z ceł i innych dochodów, ustąpił czwartą część, na którą zostały podniesione ceny dzierżawne dóbr królewskich, wskutek czego czwarta część stała się piątą częścią, utrzymawszy nazwę kwarty. Takim sposobem został zapewniony dochód stały na utrzymanie tak zwanéj obrony potocznej, czyli wojska kwarcianego, przeznaczonego do obrony od Tatarów.

Sposób wydawania kwarty został określony konstytucją w roku 1569. W myśl téj ustawy, pieniądze kwarciane dzielono na dwie części: jedną połowę odwoził deputat z Rawy do Lwowa, na opłacenie półrocznego żołdu żołnierzom podolskim, drugą na następne półrocze zatrzymywano na miejscu. We Lwowie zaś deputat oddawał tylko połowę przywiezionych przez siebie pieniędzy do rąk pisarza polnego, dla zapłacenia żołdu kwartalnego, a drugą składał na ratuszu

lwowskim, pod pieczęcią tegoż pisarza, starosty i burmistrza lwowskiego, przeznaczając ją na następny kwartał. Na drugie półrocze znowu zjeżdżał do Rawy podskarbi wraz z deputatami i pozostałą połowę dla wojska przeznaczał.

Ponieważ starostwa znajdowały się przeważnie w rękach panów, podniesienie na piątą część płacy, oraz wypłata takiejże części z gołych dożywoci, uszczupliła nieco dochody magnackie. Ale zapewnienie stałego dochodu na utrzymanie wojska uwolniło królów od wypraszenia ciągłego poborów u sejmów, a stan kmiecy od ich wyplacania. Rzplita uzyskała wprawdzie wojsko stałe, ale już nie w mierze, zakresłonej reformą, projektowaną przez Zygmunta I; liczba bowiem tego wojska, jak to widać z załączonego w przypisku ¹⁾ rachunku kwartalnej płacy żołnierzom kwarcianym, nie osiągała nawet 4000.

¹⁾ Z M. S. nienumerowanego Biblioteki Krasińskich. Comitivae equestres et pedestres ad Quartuale septimum (niewyraźnie, trudno odczytać) stipendium facientes in Russiae et Podoliae finibus, conscriptae in Trembowla die 12 Septebp. Anno 1569

Equestres.

Comitiva M. D. Georgic a Bucacz et in Jazłowiec Palatini	
Russiae et exercituum regni Capitanei	Eques 200
Ioannis Koźmiński	150
Ioannis Białoskorski	100
Ioannis Gorajski	150
Christophori Lipski	50
Martini Kunot	150
Mathei Kozielski	150
Ioannis Jordan	100
Ioannis Wolski	100
Martini Czuriłło	50
Mathei Ossowski	150
Martini Ossoliński	150
Nicolai Potocki	150
Nicolai Herbut	100
Michael. Iazłowiecki	150
Christophori Tarnowski	150
Summa Equitum 2200 Inter quos gravis armaturae	
Equ. 176 per fl. 12 facit flor	2,112
Levis vero armaturae Eq 2024 per fl. 9 facit fl.	18,216
In sagittarios M. D. Pal. Russiae	500
per fl. 6 facit fl. 3,000	

D-s Gosławski in sagittarios leviores 40 per fl. 6/719 et eques graviores 8 per fl. 9 facit fl. 322.

Moschos in eques 50 per fl. 5 fac. 250. In bombardos D. Koźmiński 24 per fl. 9 facit. 216.

Petihorcom in eques 79 per fl. 8 fac. 630.

Summa praemissorum facit fl. 24,746.

Skład kwarcianego wojska w r. 1569 był następujący:

Jazdy różnej	2320 koni
Piechoty	1390
Koni przy piechocie	25
Artyleryi	24

Summa ludzi konnych i pieszych . . . 3759.

Płacono na koźni na kwartał: usarzowi po 12 zł., kozakowi i petyhorcowi po 9, pieszemu po 6 zł., artylerzyście po 9 zł. Na furmanów zapisano pod działą 200 złotych. Komenderujący tém wojskiem hetman polny, Jerzy Buczacki, wojewoda ruski, pobierał kwartalnie po 350 zł., pisarz polny po 100 zł. Widzi mi się niesprawiedliwością

Comitivae pedestres.

Comitiva G. D.

Nicolai Uherski	pedit. 50
Iacobi Strzemieski	50
Ioannis Koźmiński	50
Ioannis Fraktni (nieczytelne)	100
Ioannis Kulca	100
Ioannis Szypowski	100
Adam Rozen	100
Ioannis Rembowski	100
Cziołek	100
Ioannis Trębicki	100

Summa pedit. 850 per fl. 5 facit fl. 4,250.

Eisdem in eques gravis armaturae ad quodlibet centum pedites, per equ. 2 facit equ. 17 per. fl. 12 fac. fl. 204.

Summa praemissorum fac. fl. 4,454.

Summarium itaque in equites et pedites summarium, pro uno Quartuale fuit fl. 29,200. De quibus detrahuntur skarbnego p. M. D. regni Thesauriario fl. 292 Incumbunt pro milit. fl. 28,908.

Officialibus.

D. Campi prefecto p. Quart.	350
Eidem roue (?) (trudno wyczytać) pro custodia finium	352
Notario Campestri	100
Summa horum facit fl. 802.	
Summa pro Quartuale uno fac. 30,002 per fl.	60,004
Summa rocuis (?) expeditionis in milites et officiales, pro uno quartuale facit	29,710
pro utraque vero	59,420
Na furmany fl.	200
Na strawę	350
facit Summa	59,790

(Na rachunku oryginalnym podpisany Jan Gorecki Króla IMci pis. pol. Cust. Dobrzyński).

potrącenie z chudych zwykle żołnierzy skarbnego na rzecz tłustego podskarbiego.

Była to bardzo odpowiednia chwila do pociągnięcia także i stanu rycerskiego do powinności wojennej stałej i rzetelnej, czy to w naturze, czy w pieniądzach, pełnił ją bowiem, jak już widzieliśmy, tylko fikcyjnie; ale ani jednej duszy pobożnej nie znalazło się, która-by w tej kwestyi, o pomstę do Boga wołającej, głos zabrała, i w ten sposób szlachta na zawsze wyłamała się z pod jarzma „*jus militaris*“, a Rzplita otrzymała obronę, która ani jej przestrzeni, ani rozciągłości granic, ani znaczeniu politycznemu nie odpowiadała.

Z tém wszystkiém wojsko kwarciane, lubo nieliczne, miało dla Rzplitej ogromne znaczenie; a naprzód, jako szkoła, w której odbierał wykształcenie żołnierz polski i z której wyszło wielu sławnych hetmanów, regimentarzy i rotmistrzów; a powtóre, jako kadr, z którego, w razie potrzeby przyczynienia wojska zaciężnego, na przypadek wielkiej wojny, otrzymywała Rzplita wykształconych rotmistrzów, poruczników i chorążych.

W rozprawie „O rozwoju sztuki wojennej w Polsce w wieku XV“ starałem się udowodnić, że pierwszym hetmanem W. koronnym dożywotnim był Mikołaj Kamieniecki. Po nim buławę wielką otrzymał Mikołaj Firlój, który niedołącznie prowadził wojnę pruską, opieszale, jeśli nie tchórzliwie, występował przeciwko Tatarom i wcale nie odpowiadał wysokiemu stanowisku naczelnego wodza Rzplitej. Po jego śmierci godność hetmańską piastował mąż wielkich zdolności, któremu równego Europa współczesna nie miała, a był nim Jan Tarnowski. Tomicyana dochowały nam patent, wydany Tarnowskiemu przez Zygmunta I na urząd hetmana W. koronnego; brzmi on jak następuje: „*Litere super palatinatum Russie et Capitaneatum seu prefecturam exercituum regni magnifici Joannis comitis de Tarnow. Sigismundus etc. Significamus tenore presentium, quibus expedit universis. Quia nos habentes rationem eximiarum virtutum et meritorum et in rebus agendis dexteritatis magnifici Joannis comitis de Tarnow, castellani Vojnicensis et capitanei Sandomiriensis, sincere nobis dilecti, ejusque in re militari peritiam et animi fortitudinem, singularem que solertiam perpendentes simul ac memoria repetentes singularia merita majorum ipsius, quibus se predecessoribus nostris et nobis commendatos reddiderunt, dignum esse censimus, ut eundem magnificum Joannem comitem, ad majora ipsarum virtutum suarum premia et testimonia referamus majoribusque honoribus et titulis decoramus. Ut proinde cum vocatio palatinatus Russie generalis, per promotionem magnifici Otto de Chodecz ad palatinatum Sandomiriensem, nec non prefectura seu capitaneatus generalis exercituum regni nostri*

per mortem magnifici olim Nicolai de Dambrovyecz, castellani Cracoviensis ut obtulit... prefecturam exercituum regni generalem dedimus, contulimus... de jure et consuetudine spectantibus, nullis penitus exceptis, tenendum, habendum et possidendum, dantes et concedentes eidem magnifici Joanni de Tarnow plenam et omni modum potestatem omnes es singulos exercitus regni gubernandi, nobiles et milites mercenarios, equites et pedites, aliosque quos libet subditos nostros, in ipsis exercitibus congregatos et ad bellicam servitutem obnoxios, pro eorum demeritis et excessibus, secundum jura, consuetudine et disciplinam militarem castigandi et puniendi, aliaque omnia et singula faciendi, gerendi et crescendi, que ad officium campiductoris regni nostri de jure vel consuetudine pertinent... Datum Cracovie in conventu generali feria tertia proxima, post dominicam Letare Anno 1527 Maji 21“.

Dyplom ten ma być uważany za jedyną podstawę i źródło władzy hetmana W. koronnego, żadnych bowiem innych ustaw, określających atrybucyę téj władzy, nie posiadamy. Podług tego orzeczenia hetman W. K. sprawuje rządy całej siły zbrojnej Królestwa i jej działów, karze za winy i wykroczenia wszystkich należących do wojska, podług prawa, zwyczaju i reguł dyscypliny wojennej, i czyni wszystko, co do jego hetmańskiego urzędu należy. Kary za przestępstwa wyznaczały się szczegółowo w artykułach, które hetman ogłaszał, po wstąpieniu wojska do obozu, odkąd też zaczynały się funkcye jego władzy.

Po śmierci Tarnowskiego, Zygmunt August, zrażony może ciągną jego opozycyą i przekornością, zdaje się nikomu dożywotnio tego ważnego i wpływowego urzędu nie powierzał. Mieliliśmy odtąd tylko czasowych hetmanów, jak np. Mikołaja Mieleckiego, podczas wielkiej wyprawy przeciwko mistrzowi inflanckiemu, jak Floryana Zembrzydowskiego na jedną z wojen z Moskwą, jak w czasie tychże wojen tymczasowo Leśniowolskiego, młodego Sieniawskiego. Kto zaś był porucznikiem królewskim w wielkiej wyprawie pod osobistym dowództwem Zygmunta Augusta, która spelzła na niczém u Radoszkowic, nie jest nam wiadomo.

Podobnie, jak urząd hetmana wielkiego, powstało za Zygmunta i hetmaństwo polne koronne, i pierwszym, podniesionym na tę godność, był, jak już wiemy, Marcin Kamieniecki w r. 1520. W myśl swego pierwszego przeznaczenia i dalszej roli, byli hetmani polni stróżami granic od Tatarów i znajdowali się zwykle przy wojsku zaciężném, a później kwarcianném, na Podolu.

Po Marcinie Kamienieckim, który po kilkakrotnie występował dość chlubnie przeciwko Tatarom, buława polna dostała się w r. 1529

Janowi Kołowi z Dolejowa, kasztelanowi halickiemu, o którego czynach wojennych nie nam nie wiadomo. Współcześnie z Tarnowskim był także hetmanem polnym, zdaje się, Mikołaj Sieniawski. Wiemy także, że w roku 1569 dowodził wojskiem kwarcianem Jerzy Buczacki, wojewoda ruski, tytułowany w przytoczonym wyżej rachunku „Capitaneus regni exercituum“, a także „Campi prefectus“, może hetman polny. Dalszego następstwa hetmanów polnych nie znamy. Żołd hetmana polnego w roku 1569 wynosił 350 złotych i zdaje się na szpiegów 352 złote kwartalnie.

Za króla Zygmunta Starego ustanowione także zostało pisarstwo polne, którego przeznaczeniem było popisywanie ludzi i koni, po zebraniu się wojska do wielkiego obozu, tudzież przed wydaniem żołdu za ćwierć.

Pisarze polni składali przysięgę podług następującej formy: „Ego Nicolaus Lutomierscius juro, quod Seren. regi et regno Polonie fideliter serviam, et omnia damna in exercitibus et stipendiariis equitibus et peditibus S. M. et Reg. Pol. evenientia, diligenter providebo et custodiam omnes equos tam perdamnificatos, quam ad servitium stipendii conductos et conducendos veraciter conscribam, et hec omnia diligenter et fideliter faciam, nec eadem negligam vel obmittam, causa timoris, odii, furoris, amoris lucri aut donorum, sed omnia damna regie Mti et regni, que inter equites et eorum equos ac pedites evenerint diligenter custodiam et ea regni Mti, aut domino capitaneo exercituum regni, fideliter revelabo. Sic me Dominus Deus adjuvat et hec sancta crux“.

Kiedy mianowicie został ustanowiony urząd pisarza polnego — niewiadomo. W Tomicyanach T. I. ust. 121 czytamy, że Zygmunt posyła pieniądze dla służebnych żołnierzy Lanckorońskiemu przez Wacława, którego nazywa „Notarius Castrensis“ — pisarzem obozowym czyli polnym. Było to w r. 1510. Podług „Trzech Rozd. Skarb.“ następstwo pisarzy polnych miało być takie: Ambroży Ormiańczyk, Wacław z Baworowa, może ten sam, którego Zygmunt do Lanckorońskiego posyłał, i Zbigniew Słupecki, zdobywca Gwoździeca. Czy tak istotnie było — nie wiem; ale w każdym razie opuszczony tu został Lutomierski, wspomniany w przysiędze; Gwoździec bowiem został zdobyty w r. 1531, a Lutomierski składał przysięgę w r. 1520. Wyjaśnienie tej kwestyi, równie jak następstwo hetmanów wielkich i polnych za Zygmunta Augusta, odkładam do dalszych badań.

B A L L A D A.

Na dworcu samotnym kniaziowa mieszkała,
A dworzec miał baszty i mury...
Kniaź w puszczech czas spędzał, na koniu, jak strzala,
Gnał żubry, jelenie i tury.

— „Mój mężu — mówiła, gdy łuk brał i zbroję
I ręką łby gładził psów lotnych —
Ja pustki tych komnat, snów własnych się boję
I boję się marzeń samotnych.

„Gdy ciebie tu niema, w tych dużych komnatach
Cień jakiś w zbroicy się snuje;
Szept słyszę w powietrzu, łzy widzę na kwiatach
I serca lekliwy stuk czuję.“

— „Co tobie, niewiasto?... sen mara!.. a znasz ty
Zaklęcia na złudne widzenia?
Każ ciężkie zwiesć mosty, niech patrzy straż z baszty,
Co chwila na czatach się zmienia.“

— „Ej! nie wierz wrzeciędzom, ni mostów łańcuchom...
I czaty wieżowe spać mogą;
Straż dobra, mur dobry — nie ceniom, nie duchom,
Co płyną powietrzną gdzieś drogą.“

„Zdejm z ramion łuk turzy, psy odgoń od siebie,
Chodź ze mną pomarzyć nad zdrojem;
Ja piosnkę miłosną zaśpiewam dla ciebie,
Swych ramion otoczę powojem.“

Daremnie tak szepce — nie słucha mąż stary,
Nie szuka ust lubych słodczy...
Róg dzwoni — koń parska, skowyczą ogary
I charty się wiją na smyczy.

Daleko — daleko, gdzie las ten sosnowy
Niezwiędlą zielenią wciąż patrzy,
Brzmi trąbka myśliwska, róg dzwoni kniaziowy,
Wciąż cichszy—wciąż dalszy—wciąż rzadszy...

Nie prędko te dźwięki znów w pieśń się ułożą...
Na dworcu się cisza rozsiadła;
Kniaziowa strach czuje, sny własne ją trwożą
I marzeń niesforne widziadła.

Napełnia szmer dziwny milczące komnaty,
W gwar senny uderza noc cicha —
To drzewa coś szepcą, całują się kwiaty,
To pierś jój samotna tak wzdycha!

Aż oto, w noc jedną, gdy ciszą ujęty
Stał dworzec, na basztach straż spała,
Zagrzmiały w dziedzińcach nóg końskich tętenty,
Miecz szczęknał i zbroja zabrzmiała.

I rycerz na koniu przesadził w lot mury,
Coś tulił w swych ramion uścisku...
Książ z łowów powrócił, wiódł żubry i tury,
Lecz żony nie zastał w zamczysku!

ZIEMIA I JÉJ ODŁUŻENIE

w Królestwie Polskiem¹⁾.

STOPY PROCENTOWE.

I.

Nie wdając się w zbyt długie wywody teoretyczne, zaznaczamy tu fakt, znany zresztą ekonomistom, że pieniądze, zabezpieczone na hipotece, rzadko kiedy bywają zwracane właścicielowi, a jeszcze rzadziej, przy normalnym biegu rzeczy, znika z księgi hipotecznej dług, raz tam zapisany—zmienia się nazwisko wierzyciela, ale dług po dawnemu zostaje.

Taka jest natura tego kredytu. Kapitał, wypożyczony na hipotekę, traci swoją samodzielność, unieruchomia się niejako, zamienia się poprostu na źródło dochodów.

Łatwo to zrozumieć. Mając stały i pewny dochód od swoich pieniędzy, wierzyciel nie pragnie zwrotu. Żądania zaś wypłaty zaczynają się wtedy dopiero, kiedy dłużnik przestaje opłacać procent. Kapitał w takim razie wzrasta, bo go powiększają zaległości, a środkiem zmuszenia dłużnika do spłaty, jeżeli jój nie chce lub nie może uczynić dobrowolnie, jest sprzedaż majątku sądownie przez licytację. Pierwszy krok do téj operacyi nazywa się *wypowiedzeniem kapitału*.

¹⁾ Zob. Zeszyt 6 tomu II z r. b.

Zobaczmy więc, przy jakich warunkach wypowiedzenie to odbywa się, lub odbywać się może.

Pamiętać przedewszystkiēm należy, iż wysokość stopy procentowej znajduje się w stosunku odwrotnym do pewności zabezpieczenia kapitału i dochodów. Tak się zresztą dzieje nietylko przy kredycie hipotecznym, toż samo zjawisko spotykamy wszędzie — do ryzyka skłania zazwyczaj chęć i nadzieja większego zysku. Bezpieczeństwo zaś kapitału, umieszczonego na hipotece, zależy od miejsca, na którēm on został zapisany, gdyż, jak wiadomo, w razie sprzedaży przymusowej, splacani są wierzyciele, wprzód do księgi wciągnięci, albo ściślej: znajdujący się na pierwszych numerach. Jeżeli otrzymana suma nie starczy, pozostali wierzyciele tracą swoje pieniądze ostatecznie.

Pod względem więc bezpieczeństwa, możemy podzielić miejsca w księdze hipotecznej na trzy klasy. Do pierwszej, najlepszej, należą te początkowe numery hipoteki, na których ulokowane sumy, razem wzięte, nie przenoszą połowy szacunku. Kapitały, znajdujące się na tym stopniu ubezpieczenia, są całkiem pewne, właściciele obawiać się ich utraty nie potrzebują w żadnym wypadku.

Stopień drugi zaczyna się w księdze hipotecznej zaraz po stopniu pierwszym i ciągnie się przez całą drugą połowę szacunku, aż do jego wyczerpania. Daje on mniejszą znacznie pewność, niż pierwszy. Właściciel sumy, w jego granicach ubezpieczonej, musi się obawiać, że w razie spadku cen, w razie dewastacyi, w razie niepomysłnego obrotu licytacyi, pieniędzy swoich nie odzyska. Ale jednocześnie może mieć nadzieję, że rzeczy nie wezmą tak złego obrotu, że sprzedaż przyniesie tyle, ile majątek wart, i jego suma zostanie mu zwróconą. Ma zresztą środek ratunku, nie zawsze oczywiście skuteczny: licytować aż do pokrycia własnej należności. Procenty są tu oczywiście wyższe, niż na pierwszym stopniu ubezpieczenia.

Nareszcie istnieje jeszcze stopień trzeci, w naszym kraju, niestety, rzadkością nie będący; sumy, na nim oparte, znajdują się poza wysokością szacunku dóbr. Bez wypadku nadzwyczajnego, kapitału, tak daleko w księdze zapisanego, nigdy wierzyciel nie odzyska; może on w razie najlepszym rachować na wypłatę przez czas pewien procentów, które oczywiście w tym razie są bardzo wysokie.

Teraz zobaczmy, z którego stopnia najbardziej grozi właścicielowi dóbr wypowiedzenie pożyczki. Wierzyciele najmniej pewni — ze stopnia ostatniego — wypowiadać często mają *potrzebę*, ale nigdy prawie nie mają *celu*, bo subhastacya, która jest ostatnim aktem dochodzenia ich pretensyi na drodze sądowej, najprawdopodobniej nie im nie da. Dłużnik o tēm wie, jeżeli więc nie ma środków uiszczenia

wszystkich procentów, to wypłaty zawiesza, od szarego końca poczynając, t. j. najdłużej zaspakaja wierzycieli z pierwszych numerów. Ci więc ostatni, chociażby mogli osiągnąć *cel*, nie mają *potrzeby* rozpoczynać procesu. W razie gdyby wierzyciel ze stopnia pierwszego za potrzebował zwrotu sumy z powodów innych, właściciel majątku łątwo znajdzie zastępcę, w księdze hipotecznej zmieni się jedynie nazwisko, ale wszystko reszta: stopień odłuzenia i stopień pewności każdej pożyczki, pozostaną zupełnie takie same, jak dawniej.

Widzimy więc, że się tworzy rodzaj koła zaczarowanego, które częstokroć długo odwleka ostateczną katastrofę wywłaszczenia danego posiadacza na rzecz wierzycieli. Ale z drugiej strony, im gorsza jest klasa, tém niebezpieczniejsze jest wypowiedzenie pożyczki przez wierzyciela, do niej należącego. Jeżeli zażądanie zwrotu pieniędzy wyjdzie z numeru pierwszego, dłużnik szuka zastępcy, kosztuje go to nieco pieniędzy i ambarasu, ale groźnym nie jest. Wypowiedzenie ze stopnia drugiego już stanowi niejaki niebezpieczeństwo. Na pewno niepodobna liczyć, czy na numery dalsze, po-za połową szacunku, znaleźć będzie można w każdej chwili nową pożyczkę. W każdym razie koszta są znacznie większe i kłopoty poważne. Jeśli do subhastacyi postanowił doprowadzić wierzyciel ze stopnia trzeciego—właściciela majątku czeka niechybna ruina.

II.

Taki jest mechanizm kredytu hipotecznego. Wysokość stopy procentowej jest wprost zależną od miejsca zajmowanego w hipotece, t. j. od wysokości numeru zapisu. Ponieważ, jak widzieliśmy, u nas wiele hipotek dźwiga ciężary, przenoszące szacunek, więc też z góry przypuszczać należy, iż spotkamy się ze stopami procentowymi znacznej wysokości. Odwrotnie: suma płaconych odsetków rzuci światło na stan odłuzenia—gdzie one są duże, tam z pewnością księgi hipoteczne zawierają długie litanie pożyczek, zobowiązań i zastrzeżeń.

A przy tém nie można znać dokładnie stanu odłuzenia i kredytu hipotecznego w danym kraju, jeżeli się nie zna wysokości procentów, opłacanych od pożyczek. Z tego powodu przystępujemy teraz do zbadania, o ile dane na to pozwolą, wysokości odsetków, pobieranych przez kapitał od rolników.

Staraliśmy się z cyfr wyprowadzić wyniki ostateczne, jednakże wszelkie obrachunki należy uważać tu za przybliżone, gdyż w tym razie, zapewne bardziej jeszcze niż w innych, dokumenty hipoteczne nie ujawniają istotnego stanu rzeczy. Wedle wszelkiego prawdopo-

dobieństwa, istnieje wiele układów ustnych lub piśmiennych, ale po za hypoteką zawartych, które znacznie podnoszą wysokość opłat, do ksiąg urzędowych wniesionych.

Przedewszystkiem poznać należy ilość dóbr, opłacających odsetki różnej wysokości. Zobaczmy to z następującej tablicy:

Ilość majątków opłacających stopy procentowe.

Stopa procentowa	Majątki do 60 mórg	Majątki od 60 do 600 mórg	Majątki wyżej 600 mórg	Majątki z przestrze- nią nieokre- śloną	Majątki w rękach żydów	Razem
4%	—	11	3	—	—	14
5%	203	699	428	872	209	2411
6%	28	174	137	212	94	645
7%	2	16	24	4	3	49
8%	5	66	50	13	13	147
9%	—	14	15	4	—	33
10%	23	136	44	49	25	277
11%	—	—	2	—	—	2
12%	1	—	22	21	21	65
15%	4	—	3	—	2	9
16%	1	—	—	—	—	1
18%	—	—	5	—	—	5
20%	—	—	2	—	—	2
Razem . .	267	1116	735	1175	367	3660

Nie powtórzyliśmy tu dotychczasowego podziału naszego na pięć grup, gdyż w tym wypadku nie zachodziła potrzeba tego. Pozostawiliśmy 2 grupy dóbr małych, których w jedną całość połączyć nie mogliśmy, bo mająteczki do 60 mórg, wskutek osad fabrycznych i młynarskich, posiadają odmienny charakter kredytowy, trzy zaś grupy ostatnie objęliśmy jednym mianem, gdyż pod względem opłacania od-

setek od należności zahypotekowanych, pomiędzy dobrami średnimi i większemi żadna zasadnicza różnica nie zachodzi.

Z tabliczki powyższej widzimy, iż w księgach hipotecznych figuruje najwięcej wypadków opłacania procentów niskich, 5^o/_o i 6^o/_o od sta. Następnie nie są wcale wyjątkami odsetki od 7^o/_o—10^o/_o. Stopy wyższe są już stosunkowo rzadkością, którą najczęściej spotykamy w dobrach średnich i większych. Dobra żydowskie bardziej pod tym względem zbliżają się do majątków, przenoszących 600 mórg, niż do dóbr z mniejszym obszarem.

Dla bardziej wyrazistego przedstawienia rzeczy, ujmijmy stosunki powyższe w liczby procentowe, t. j. ogólną ilość znanych nam wypadków opłacania pewnej stopy procentowej oznaczmy w każdej grupie przez sto, wtedy łatwiej będzie porównać ze sobą liczby:

Wysokość stopy procentowej	Dobra do 60 mórg	Dobra od 60 do 600 mórg	Dobra wyżej 600 mórg	Dobra z przestrzenią nieokreśloną	Dobra żydowskie
4 ^o / _o	—	1.0	0.4	—	—
5 ^o / _o	76.0	62.6	58.1	74.1	57.0
6 ^o / _o	10.5	15.6	18.7	18.0	25.7
7 ^o / _o	0.7	1.4	3.3	0.4	0.8
8 ^o / _o	1.9	5.9	6.8	1.1	3.5
9 ^o / _o	—	1.3	2.0	0.4	—
10 ^o / _o	8.6	12.2	6.0	4.2	6.8
11 ^o / _o	—	—	0.3	—	—
12 ^o / _o	0.4	—	3.0	1.8	5.7
15 ^o / _o	1.5	—	0.4	—	0.5
16 ^o / _o	0.4	—	—	—	—
18 ^o / _o	—	—	0.7	—	—
20 ^o / _o	—	—	0.3	—	—
	100	100	100	100	100

Stopy procentowe 4^o/_o, 5^o/_o i 6^o/_o uważać można w stosunkach, u nas istniejących, za niskie; 7^o/_o do 10^o/_o włącznie — za średnie; po nad 10^o/_o — za wygórowane, a nawet, jeśli cyfrę ostatnią przenoszą, za lichwiarskie. Przyjąwszy ten podział, otrzymamy, że na 100 wypadków:

dobra najmniejsze	odsetki niskie	opłacają w 86. ₅ ,	średnie w 11. ₂ ,	wysokie w 2. ₃
„ małe	„ „	79. ₂	„ 20. ₈	„ 0.
„ średnie i duże	„ „	77. ₂	„ 18. ₁	„ 4. ₇
„ z przestr. nieokr.	„ „	92. ₁	„ 6. ₁	„ 1. ₃
„ żydowskie.	„ „	82. ₇	„ 11. ₁	„ 6. ₃

Ogółem na 100 wypadków stopy procentowe niskie znajdujemy w 83.₅^o/_o średnie w 13.₅^o/_o wysokie w 3^o/_o

Z tego widzimy, iż — o ile naturalnie księgi hipoteczne dokładnie odbijają istotny stan rzeczy—dobra małe wcale nie opłacają procentów wysokich, przenoszących 10^o/_o, kiedy tymczasem własność średnia i duża na dwadzieścia wypadków zmuszoną jest raz uciekać się do tak drogiego kredytu; majątki żydowskie płacą więcej niż 10^o/_o raz na szesnaście wypadków, czyli są w położeniu jeszcze gorszym; wreszcie dobra najmniejsze stoją lepiej od posiadłości dużej i żydowskiej, bo raz na 44 wypadki zaciągają pożyczkę na procent wyższy od 10^o/_o.

Procenty średnie, od 7^o/_o—10^o/_o, najczęściej płaci własność mała, która do pożyczek lichwiarskich wcale się nie ucieka; na pięć wypadków zdarza się jęj raz ponosić takie odsetki. Dobra żydowskie znajdują się pod tym względem w tém samym położeniu, co i dobra najmniejsze, a mianowicie: do kredytu średnio-drogiego uciekają się raz na dziewięć razy.

Z kredytu najtańszego korzystają najczęściej mająteczki najdrobniejsze, potem idą żydowskie, w najgorszym położeniu znajdują się dobra średnie i duże, tylko w 77 wypadkach na 100 mają one kredyt tani, czyli od czwartej blisko części pożyczek opłacają procenty, przenoszące 6^o/_o.

We wszystkich grupach, razem wziętych, procenty wysokie stanowią $\frac{1}{33}$ ogólnej liczby wypadków, średnie— $\frac{1}{3}$, niskie $\frac{5}{6}$.

Widzimy z tego, iż im dobra są rozleglejsze, tém mniej płacą procentów niskich, a tém więcej średnich i wygórowanych. Różnica pomiędzy grupą pierwszą i trzecią wynosi na niekorzyść trzeciej aż 9 wypadków na 100.

Wiemy już, jaki ztąd wniosek wyciągnąć: procenty wysokie płacą się przy zaciąganiu pożyczki na wysokie numery w księgach hipotecznych. Te więc tylko dobra zmuszone są uciekać się do kredytu drogiego i lichwiarskiego, które odłużyły się do wysokości szacunku i po za wysokość szacunku.

Najlepsze położenie wogóle znajdujemy w dobrach z przestrzenią nieokreśloną.

Zestawmy jeszcze ilość wypadków na 100 opłacania różnych stóp procentowych przez dobra chrześcijańskie wszystkich trzech grup połączonych z takimiż liczbami dla dóbr żydowskich:

	% niski	% średni	% wysoki
Dobra chrześcijańskie	81.0	16.7	2.3
„ żydowskie	82.7	11.1	6.2

Przy niskich odsetkach mamy w obu rodzajach dóbr liczby prawie jednakie. Chrześcijańskie płacą wyżej procentów średnich, żydzi — bardzo wysokich. Różnic jednak uderzających, jakiegoś już w poprzednich tabliczkach widzieli — niema.

Ażeby kwestyę bardziej jeszcze wyświecić i uwyraźnić, obliczymy, jaką sumę opłacała-by każda z grup naszych, gdyby dobra, do niej należące, obarczyła suma 100,000 rs. Otrzymamy taki rezultat:

Stopy procentowe	Dobra do 60 mórg	Dobra od 60 do 600 mórg	Dobra wyżej 600 mórg	Dobra z przestrzen. nieokreśloną	Dobra żydowskie
Wrazie pożyczki 100,000 rs. płaciłyby rocznie:					
4%	—	40	16	—	—
5%	3800	3130	2905	3705	2850
6%	630	936	1122	1080	1542
7%	49	98	231	28	56
8%	152	472	544	88	280
9%	—	117	180	36	—
10%	860	1220	600	420	680
11%	—	—	33	—	—
12%	48	—	360	216	684
15%	225	—	60	—	75
16%	64	—	—	—	—
18%	—	—	120	—	—
20%	—	—	60	—	—
Razem .	5828	6013	6237	5573	6167

Wynika ztąd, że od należności jednakowej dobra średnie i większe płacą rocznie o kilkaset rubli więcej procentów, niż małe. Przy długach istniejących, które, jak wiemy, sięgają milionów, różnica ta wynosi dziesiątki i setki tysięcy rubli. To znaczy, że gdyby ogół własności hipotecznej opłacał takie odsetki, jakie ponoszą dobra małe, ziemia zużywałaby znacznie mniejszą część swoich dochodów na opłacenie potrzebnego jej kredytu.

Procenty dóbr żydowskich najbardziej zbliżają się do sum, opłacanych przez majątki największe, t. j. do wypadku najmniej pomysłnego.

III.

Wobec tego, że żydzi w kraju naszym pod względem kredytu odgrywają rolę znaczną i odrębną, i ponieważ nadto projektowane ograniczenia wywołają prawdopodobnie zmiany w kredycie rolnym, uważaliśmy za potrzebne poznać, o ile różnią się pomiędzy sobą odsetki, pobierane przez żydów i chrześcian. Kwestya, bez względu nawet na związek z całością pracy naszej, czytelników, zdaje się, interesować będzie:

od pożyczki na dobra	chrześcianie pobierają przeciętnie	żydzi pobierają przeciętnie
do 60 mórg	5.6 ^o / _o	6.3 ^o / _o
od 60—600 mórg.	5.7 ^o / _o	6.5 ^o / _o
wyżej 600 mórg	6.1 ^o / _o	6.4 ^o / _o
z przestrzenią nieokreśloną .	5.4 ^o / _o	5.7 ^o / _o
dobra żydowskie.	6.1 ^o / _o	6.3 ^o / _o
ogół dóbr	5.7 ^o / _o	6.2 ^o / _o

Widzimy zatem, że przeciętne stopy procentowe, pobierane przez żydów, są prawie jednostajne, t. j. daleko mniej zależą od rozmiaru dóbr, niż odsetki należności chrześcian. Zbyt wielkich różnic niema, przewyżka w liczbie ogólnej wynosi 1/2 procentu.

Z powyższej tablicy okazuje się, że chrześcianie, zarówno jak żydzi, najtaniej użyczają kredytu na hypoteki dóbr najmniejszych do 60 mórg; im dobra większe, tém wierzycielom chrześciańskim płacić muszą odsetki wyższe. Żydzi procent najznaczniejszy pobierają od majątków, liczących 60—600 mórg, a mianowicie 6.5^o/_o, od majątków średnich i dużych (po nad 600 mórg) — 6.4^o/_o. Dobra żydowskie żydom płacą 6.3^o/_o, chrześcianom zaś nieco mniej, gdyż 6.1^o/_o.

Mówiliśmy przedtém, iż wysokość stopy procentowej pozostaje zwykle w prostej zależności od miejsca długu w księdze hipotecznej. Należało-by więc obecnie zbadać, czy w tym wypadku zachodzi jednoczesność, a więc prawdopodobnie i przymusowa zależność obu zjawisk. Ponieważ jednak do kwestyi tej wrócimy w następującym rozdziale, gdzie będzie mowa o udziale żydów w kredycie hipotecznym, tu więc ograniczamy się do zaznaczenia jedynie, iż, o ile wierzyć można danym z ksiąg hipotecznych, sumy żydowskie istotnie słabiej, a nawet znacznie słabiej, są ubezpieczone, niż chrześcijańskie.

IV.

Cyfry, otrzymane dla kraju naszego, porównać możemy w danym wypadku z rezultatami obrachunku, dokonanego w Austrii w roku 1879.

W Galicyi znajdujemy różne stopy procentowe, poczynając od 0 aż do 200^o%, pobierane od sum, ubezpieczonych zarówno na dobrach ziemskich, jak na domach i posiadłościach górniczych. Do tabliczki poniższej wciągamy tylko wypadki ważniejsze, a mianowicie wybieramy te stopy procentowe, na które pożyczono więcej, niż 50 tysięcy guldenów:

stopa procentowa	ilość pożyczek	suma wypożyczona w tysiącach guldenów
0	308	345
5 ^o / ₀	240	5440
6 ^o / ₀	622	3441
6 ¹ / ₂ ^o / ₀	2	50
6 ³ / ₄ ^o / ₀	2	900
7 ^o / ₀	381	3147
7 ¹ / ₂ ^o / ₀	47	63
8 ^o / ₀	245	452
9 ^o / ₀	330	199
10 ^o / ₀	492	514
12 ^o / ₀	1622	727
15 ^o / ₀	270	126

Cyfry powyższe zdają się wskazywać, że kredyt hipoteczny droższy jest w Galicyi, niż w Królestwie Polskiem; pamiętać jednak należy, iż cyfry dla Austrii obejmują szerszy zakres hipotek, niż nasze, a wskutek tego porównanie i wnioski mogą być tylko bardzo przypuszczalne, tem więcej, że tu i tam stosunki prawne są inne.

Okaze się to, gdy przytoczymy liczby przeciętne dla różnych rodzajów własności hipotecznej:

Większa (tabularna) własność ziemska płaciła w Galicyi w r. 1879 średnio	6.07%
Mała (Rusticalgüter) własność ziemska płaciła w Galicyi w r. 1879 średnio	9.71%
Własność górnicza płaciła w Galicyi w r. 1879 średnio	5.46%
" miejska " " "	7.00%

Właściwie do porównania z rezultatami naszych obrachunków nadaje się tylko liczba pierwsza, t. j. majątki większe, gdyż własność drobna obejmuje gospodarstwa włościańskie, naszemi danemi nie objęte. Myśmy średnio znaleźli, iż dobra ziemskie w Królestwie płacą wierzycielom chrześcianom 5.7% i 6.2% wierzycielom żydom. Między temi dwiema cyframi właśnie mieści się liczba, otrzymana dla własności tabularnej (6.07%). Własność większa i średnia w Królestwie płaci przeciętnie 6.1% i 6.4%. Są to wszystko liczby do galicyjskich niezmiernie bliskie.

Gdyby obrachunek dokonany był w czasach obecnych, prawdopodobnie nie otrzymała-by się taka wysoka liczba dla odsetków, płaconych przez własność drobną w Galicyi w r. 1879.

W Królestwie wypadki pożyczek po za 10% już były rzadkie. Tymczasem w Galicyi widzimy największą liczbę należności, zaciągniętych na 12%. Zwrócić jednak należy uwagę, iż suma pieniędzy, wzięta na tych warunkach, jest stosunkowo bardzo nieznaczna, — na jedną pożyczkę wypada przeciętnie zaledwie około 450 guldenów. Przypuszczać więc można, że to są pożyczki, zaciągnięte na gospodarstwa drobne.

Co więcej, jeżeli pójdziemy niżej, to się okaże, iż na 10%, 9% i 8% nawet zaciągane są pożyczki kilkuset-guldenowe. Pożyczki większe kończą się na 7%. Największe sumy wypożyczone są na 5%, 6% i 7%, co się bardzo zbliża do stosunków, znalezionych w Królestwie.

Wspomnieliśmy, że stopy procentowe w kredycie hipotecznym Galicyi dochodzą nawet do 200%. Bardzo jednak wygórowane odsetki stanowią rzadkie wypadki. Od 20% do 200% figuruje zaledwie 75 pozycji na sumę 13,000 guldenów. Te wysokie procenty, jak widzieliśmy, liczb przeciętnych nie podniosły, i jeżeli zasługują na przytoczenie, to tylko jako curiosa, nie zaś jako objaw charakterystyczny.

Przytoczymy jeszcze cztery wypadki odsetków najwyższych; każdy z nich obejmuje tylko jedną pożyczkę:

na 66 ^o / _o	wzięto	44	guldeny
„ 72 ^o / _o	„	100	guldenów
„ 110 ^o / _o	„	45	„
„ 200 ^o / _o	„	5	„

wyraźnie pięć guldenów.

Ograniczamy się do przytoczenia cyfr dla Galicyi, gdyż na-przód: porównanie z prowincją sąsiednią ma największe znaczenie, a powtóre: w innych częściach państwa Rakuskiego stosunki są prawie téż same. Przeciętne liczby różnią się nie wiele, rzadziej się tylko spotykają stopy procentowe rażąco wysokie.

UDZIAŁ ŻYDÓW W KREDYCIE HYPOTECZNYM.

Podaliśmy wyżej cyfry, wykazujące, z jak drogiego kredytu korzysta u nas własność ziemska. Należyte jednak poznanie warunków odłuzenia wymagało-by jeszcze niejakich wiadomości o samych wierzycielach prywatnych. Jedni z nich są to ludzie spokojni, zajęci rzemiosłem, urzędem lub gospodarką; z drobnego zazwyczaj kapitaliku chcą mieć jakiś zysk, lokują go więc na hypotece i nic więcej nie pragną, jak w terminie otrzymać należny procent. Inni wierzyciele z udzielania pożyczek robią proceder; jest to rodzaj specjalistów, którzy nie kontentują się prostym zajęciem odpowiedniego numeru w hypotece, lecz się ubezpieczają zastrzeżeniami w postaci ewikcyi; prócz aktów urzędowych, zawierają umowy pokątne, ustnie lub piśmiennie; w ten lub inny sposób pragną wydusić z pożyczki jaknajwiększy zysk. Pomędzy temi dwoma skrajnemi typami mieści się wielka różnaitość rodzajów pośrednich. Niéma kraju i narodu, niéma okolicy, która-by ich wszystkich nie znała. Na wielu pojedynczych, bardziej odlnżonych hypotekach, spotykają się na różnych numerach i w różnych pozycjach wierzyciele przypadkowi i wierzyciele specjaliści. Każdy rodzaj wierzycieli inaczej się zapatruje na swoją rolę dostarczyciela kredytu i inaczej ją spełnia.

Każda statystyka rozróżnia pożyczki towarzystw lub banków kredytowych od długów prywatnych, właśnie dla odmiennych warunków umowy, dla innego zupełnie rodzaju wymagalności i sposobu do-

chodzenia w razie potrzeby. Gdyby rozróżnianie posunąć można było dalej i rozgatunkować wierzycieli prywatnych, zdobyło-by się wiele rysów niezmiernie ważnych dla poznania charakteru odłuzenia w danym kraju. Widziało-by się dokładnie, jaką i u kogo znajduje pomoc rolnik w razie potrzeby; czy uzyskany grosz da mu jakiś ratunek, czy też przynieść musi zgubę.

Takie zapuszczenie sondy daleko w głąb stosunków nie jest bynajmniej niemożliwe. Później, w jednym z artykułów następnych, przytoczymy rezultat dochodzenia tego właśnie rodzaju o dostarczycielach kredytu posiadłości drobnej w Cesarstwie, i zobaczymy, jak obfite światło spłynie odrazu na stosunki odnośne. Ale badania tak daleko posunięte wymagają wyłącznie temu poświęconej ankiety, której środki i powaga osoby prywatnej nie podolają. Księgi hipoteczne pod tym względem są dla ekonomisty ledwie tém, czém jakiś martwy odłamek dla archeologa: dają tu i owdzie jakieś mgliste wskazówki, pozwalają się tego i owego domyślać, ale pewności żadnej na ich podstawie zdobyć niepodobna, ani odtworzyć obrazu całości.

I.

Nie mogąc skutecznień wszystkiego, pragnęlibyśmy jednak zrobić cokolwiek. To też do ogólnej masy wierzycieli wprowadzamy te chociaż rozróżnienia, na które pozwalają dane nasze. Mianowicie podajemy niektóre wskazówki co do udziału żydów w odłuzeniu hipoteczném.

Wprawdzie beznamiętna nauka i bezstronne świadectwo cyfr przeczy krążącym wśród ogółu mniemaniom, jakoby pewne praktyki w rzeczach ekonomicznych właściwe były temu wyznaniu, a inne innemu; w tym jednak wypadku odróżnienie jest całkiem uzasadnione.

Żydzi w kraju naszym reprezentują — na prowincyi szczególnie — handel. Oni zakupują zboże, lasy i t. d. Oni są przeważnie dostarczycielami tego najbardziej krótkoterminowego kredytu, którego potrzebę rodzi brak gotówki w chwilach dla gospodarza najważniejszych. Niema dziś pieniędzy na podatki, na ratę Towarzystwa, na opłatę robotników, a jutro zboże będzie już w stodole i wszystko się polata.

Ta rola wyróżnia żydów faktycznie wśród ogółu wierzycieli. Wypada więc oczywiście poznać, jak to odmienne stanowisko zaznacza się w księgach hipotecznych i jak się odbija w rachunku statystycznym. Udział żydów w kredycie hipotecznym, to do pewnego stopnia stosunek handlu do rolnictwa.

Co więcej i co ważniejsza, projektowane prawa ograniczeń żydów co do nabywania ziemi odetną ich bardzo wyraźną linią od ogółu wierzycieli hipotecznych. Albo żydzi zmuszeni będą całkiem zaprzestać dawania pieniędzy na hypoteki rolne, albo wytworzy się całkiem odrębny gatunek kredytu, który pozbawiony będzie najważniejszego przywileju: ratowania swój sumy przez nabycie dóbr, a więc wyrobi sobie nową całkiem praktykę postępowania.

Dla tych przyczyn wyróżnienie żydów w naszym obrachunku jest nietylko pożądane, ale konieczne. Przedmiot ten zresztą opracowaliśmy już dawniej, wtedy jednak w posiadaniu naszym były cyfry tylko dla 46 powiatów; obecnie wiadomości obejmują 50 powiatów, porzeczajemy jednak na zestawieniach pierwotnych, gdyż obrachunki nowe pochłonyły-by wiele czasu, a tymczasem 46 powiatów, to już jest 56% Królestwa; ze stosunków więc w nich istniejących zupełnie zasadnie wyprowadzać można wnioski dla kraju całego¹⁾.

Nie utrzymamy tu podziału własności na pięć grup, gdyż w tym wypadku zbytne zapuszczanie się w szczegóły nie miało-by celu, przeciwnie, cyfry ogólniejsze ułatwią ocenę całości zjawiska. Rozróżniać też będziemy tylko posiadłość najdrobniejszą (do 60 mórg), małą (60—600 mórg) oraz większą (średnią i dużą od 600 mórg). Prócz tego muszą oczywiście stać odrębnie majątki z przestrzenią nieokreśloną i dobra żydowskie. Osobny rachunek dla ostatnich pozwoli nam poznać odwrotną stronę zjawiska: o ile z pożyczek u chrześcian korzystają żydzi - rolnicy.

II.

Ogólną należność długów prywatnych²⁾ w każdym rodzaju dóbr oznaczymy przez sto, wtedy w 46 powiatach rozpatrywanych wypadną następujące stosunki, które podajemy tu w zestawieniu graficzném:

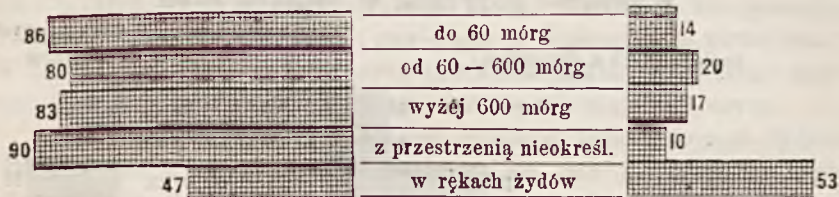
¹⁾ Powiaty te są następujące: wszystkie 7 powiatów gub. Kieleckiej, wszystkie 8 pow. gub. Piotrkowskiej, wszystkie 7 powiatów gub. Radomskiej, 7 powiatów gub. Siedleckiej (Siedlecki, Bialski, Węgrowski, Garwoliński, Konstantynowski, Łukowski i Sokołowski), 5 powiatów gub. Suwalskiej (Suwalski, Augustowski, Sejneński, Kalwaryjski, Wiłkowyski) 7 powiatów gub. Lubelskiej (Lubelski, Nowo-Aleksandryjski, Biłgorajski, Krasnostawski, Chełmski, Hrubieszowski, Tomaszowski), 3 pow. gub. Kaliskiej (Kolski, Koniński, Słupecki) oraz 2 pow. gub. Warszawskiej (Włocławski i Łowicki).

²⁾ A więc z całej masy długów wyłączamy pożyczki Towarzystwa Kredytowego, oraz należności skarbowe i bankowe.

Ze stu rubli pożyczek

Chrześcianie udzieliili:

Żydzi udzieliili:



Dla ogółu dóbr suma, pożyczona przez żydów, wynosi 16%, t j. przeszło *pięć* razy mniej, niż suma, pożyczona przez chrześcian. Widzimy więc, że udział żydów jest bardzo niewielki. Nawet majątki żydowskie 47% pożyczonych pieniędzy wzięły od chrześcian, a tylko 53% od żydów.

Z danych naszych wynika prócz tego, że żydzi stosunkowo pożyczają więcej właścicielom dóbr średnich i dużych, aniżeli drobnych. Z ogólnej sumy, ciężającej na majątkach najdrobniejszych, na żydowską należność przypada zaledwie 14%, w dobrach od 60 — 600 mórg 20%, a na posiadłości większej 17%.

Rozpatrując stosunki te guberniami, znajdujemy, że największy udział w kredycie hipotecznym biorą żydzi w gub. Suwalskiej, gdzie na 100 rs. 58 zaciąga się u żydów. W gub. zaś Radomskiej i Lubelskiej pożyczki żydowskie dochodzą ledwie do 5% i 8%.

Nasuwa się teraz pytanie: czy słaby udział żydów w odłuzeniu jest skutkiem niewielkiej liczby ludzi, udzielających pożyczki, czy też pochodzi ztąd, że sumy, przez nich dawane, są drobne, drobniej-sze, niż kiedy wierzycielem jest chrześcianin?

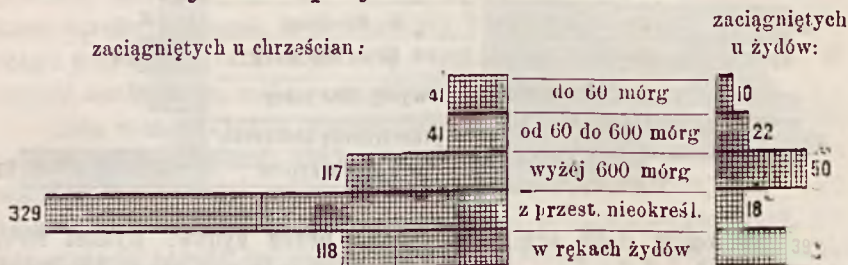
Dane nasze dają całkiem stanowczą odpowiedź. Liczba pożyczających żydów, lub ściślej, liczba pożyczek, udzielanych przez żydów, wynosi 4,382, przez chrześcian—4,838. Liczby te są prawie równe, kiedy tymczasem przeciętnie na jedną pożyczkę żydowską przypada 2,797 rub., na chrześcianańską — 13,174 rub., a więc blisko *pięć* razy więcej.

Otrzymaliśmy ten sam stosunek, co poprzednio. Taki wynik zdaje się wskazywać, iż żydzi, biorąc wogóle, posiadają niezbyt wielkie kapitały ¹⁾.

¹⁾ Do tego samego wniosku doprowadzają nas inne wskazówki z ksiąg hipotecznych. Mianowicie: należności i ubezpieczenia żydów bardzo często obarczone są wpisami, co oczywiście dowodzi braku gotówki. Wielka część operacji handlowych (szczególniej kupno lasów), przez żydów dokonywanych, prowadzona jest siłami zbiorowemi. Jedni składają się na potrzebny kapitał, inni dają pracę.

Liczby, wykazujące przeciętny rozmiar jednej pożyczki w setkach rubli dla każdego rodzaju dóbr, rozkładają się w sposób następujący:

Wysokość pożyczek w setkach rubli

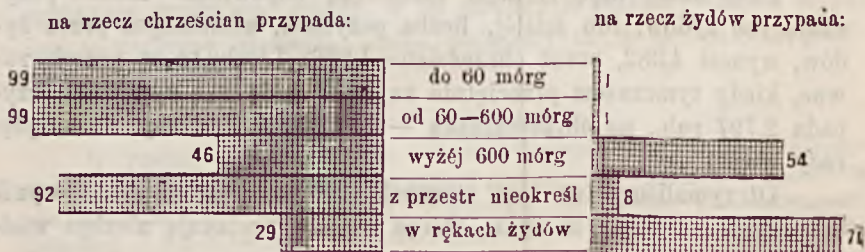


Niema ani jednej pozycji, aby rozmiar pożyczki żydowskiej zbliżał się do przeciętnej liczby długu, zaciągniętego u chrześcian. W dobrach żydowskich przeciętna liczba chrześciańskiego długu jest trzy razy większa, niż żydowskiego.

Ze względu na to, że żydzi u nas na prowincyi reprezentują handel, wypada nam zwrócić szczególną uwagę na zapisy, zamieszczone w księgach pod tytułami kaucyi i ewikcyi. To nam właśnie dać może niejakię pojęcie o zawieranych umowach i tranzakcyach handlowych.

Następujące zestawienie graficzne daje nam takż sam obraz stosunków w dziale kaucyi i ewikcyi, jak uprzednio mieliśmy dla ogółu długów, t. j. ogólną sumę kaucyi i ewikcyi w każdej grupie dóbr oznaczamy przez 100, liczby zaś poszczególne wskazują nam w procentach udział chrześcian i żydów w kredycie:

Ze stu rubli kaucyi i ewikcyi



Oto przykład, dowodzący braku kapitału przy dokonywanych operacyach. W gub. Suwalskiej, w pow. Sejneńskim. 6-ciu współników żydów nabyło 1430 mórg lasu za 34,400 rs. Jeden ze współników zaliczył na ten interes 10,000 rs. Na zaliczenie zaś to, oraz na dobra własne, zaciąga pożyczkę i płaci 12%. Tego rodzaju

Okazuje się, że na dobrach małych, żydzi wpisów kaucyjnych prawie nie robią, natomiast na dobrach średnich i dużych większość zobowiązań tego rodzaju (54%) dokonana była na ich rzecz. Wynika to ztąd, iż żydzi pod tytułami kaucyi i ewikcyi ubezpieczają tranzakcyje i sumy handlowe, zawierane z właścicielami ziemskimi. W dobrach małych, produkujących przedewszystkiem na własny użytek, tego rodzaju ubezpieczenia zjawiać się nie mają przyczyny.

Większość wpisów kaucyjnych zrobiona była na rzecz żydów także w dobrach ich współwyznawców, ale tam kaucye i ewikcyje odgrywają bardzo małą rolę, bo wynoszą 2.6 milionów rubli, t. j. w całej masie wpisów tego tytułu stanowią 3% zaledwie.

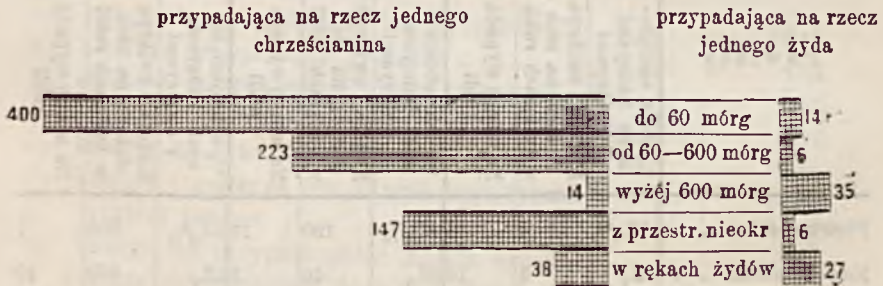
Z tego wnosić można, jak nieznaczna cyfra wypada na żydów w ogólnej sumie kaucyi i ewikcyi. W samej rzeczy, kiedy do chrześcian należy ich 92%, do żydów tylko 8%. Z pojedynczych gubernii najmniejszy udział żydów był w gub. Piotrkowskiej, największy w Kaliskiej i Siedleckiej.

Mimoходом wtrącimy, że wogóle znaczna większość wpisów kaucyjnych i ewikcyi obciąża dobra drobne ¹⁾; z 81.7 milionów na dobrach większych znajdujemy tylko 4.4 mil. rub, t. j. 5% zaledwie.

Zobaczmy jeszcze, jakie sumy wpisów kaucyjnych i ewikcyi przypadają przeciętnie na jednego wierzyciela żyda i nieżyda.

Wysokość kaucyi i ewikcyi

w setkach rubli.



tranzakcyi, gdzie żydzi-kupcy muszą w sposób rozmaity spekulować, aby dostać pieniędzy, i płacą za nie wysokie odsetki, spotyka się duża liczba.

Niejednokrotnie dla udzielenia pożyczki na hypotekę, nieznacznej nawet, tworzą się spółki. W téjże gubernii i w tymże co wyżej powiecie, żyd nabywa osadę, obejmującą 46 mórg. Na pokrycie szacunku i kosztu prowadzenia gospodarki zaciąga on pożyczkę 1540 rs., na którą składa się 3 jego współwyznawców, z udziałami 62%, 28% i 10%.

¹⁾ Drobna posiadłość, nieprzenosząca 60 mórg, dźwiga w 46 powiatach rozpatrywanych 18,1 milionów rs. kaucyi i ewikcyi, co stanowi 22% ogółu. Na wła-

We wszystkich grupach majątków na jednego chrześcianina przypada 15,567 rubli, a na żyda 1,469 t. j. przeszło dziesięć razy mniej. Widzimy i tu, że żydzi tylko w dobrach, przenoszących 60 mórg, mają przeciętnie zabezpieczone sumy większe, niż chrześcianie. Różnica wynosi 2 tysiące rubli, kiedy w majątkach do 60 mórg przewaga na rzecz chrześcian sięga 39 tysięcy rubli, a w majątkach od 60—600 mórg 22 tysięcy rubli. Nawet w dobrach żydowskich na jednego żyda wierzyciela przypada kaucyi o tysiąc rs. mniej, niż na jednego chrześcianina.

Widzimy słowem, że gdyby z obrachunku usunąć pozycye, będące rezultatem transakcyi handlowych, to wśród wpisów i ubezpieczeń kaucyjnych ledwiebyśmy słaby ślad udziału żydów dostrzedz mogli.

sności zaś od 60—600 mórg figuruje blisko 40 milionów rubli, t. j. 48% ogółu. Razem na księgi hipoteczne mająteczków drobnych przypada 70% wszystkich kaucyi i ewikcyi. Pochodzi to ztąd, że pomiędzy dobrami do 60 mórg znajduje się wiele osad fabrycznych i górniczych, na których (szczególniej na górniczych) ciężar olbrzymie nieraz sumy, w ten sposób ubezpieczone. W gub. Piotrkowskiej, dla której podajemy poniżej wykaz kaucyi i ewikcyi, do ksiąg hipotecznych wpisanych, wyróżnia się powiat Bendziński i nadzwyczajnie od innych odskakuje. Dzięki jemu tylko, utrzymały się powyższe cyfry; gdybyśmy go od obrachunku usunęli, ilość kaucyi i ewikcyi na drobnych majątkach wielokrotnie-by zmalała.

Powiaty	Dobra do 60 mórg			Dobra od 60—600 mórg			Dobra wyżej 60 mórg		
	% dóbr obciążonych kaucyami i ewikcyami	Kaucye i ewikcye ciężące na nich w tysiącach rubli	Na morgę wypada rubli	% dóbr obciążonych kaucyami i ewikcyami	Kaucye i ewikcye ciężące na nich w tysiącach rubli	Na morgę wypada rubli	% dóbr obciążonych kaucyami i ewikcyami	Kaucye i ewikcye ciężące na nich w tysiącach rubli	Na morgę wypada rubli
Piotrkowski . . .	12.0%	4	16	45.3%	190	13	53.8%	305	7
Noworadomski . .	12.5	3	16	36.8	40	5	51.7	460	10
Częstochowski . .	11.8	14	140	23.7	10	40	22.9	56	5
Bendziński	26.4	17,369	26,277	24.7	36,755	5,957	20.0	4	3
Łaski	30.8	82	427	27.3	178	25	50.0	606	23
Łódzki	12.5	21	346	27.0	295	60	39.1	277	32
Brzeziński	16.0	2	8	34.1	47	5	52.0	156	10
Rawski	13.3	22	136	34.0	93	7	52.2	217	7
Razem	17.1%	17,517	9111	32.0%	37,608	583	47.3%	2081	11

Z okoliczności wreszcie, że kiedy w ogólnej sumie ciężarów hipotecznych udział żydów był *pięć* razy słabszy, niż chrześcian, a wśród kaucyi i ewikcyi aż *dziesięć* razy, wnosić można, że żydzi stosunkowo daleko rzadziej i w mniejszym stopniu uciekają się do pośrednich i bardziej skomplikowanych form ubezpieczenia, natomiast bardziej i częściej zadawalniają się prostemi.

Powyższe wyniki wydadzą się może nieprawdopodobnemi, a jednak dziwić one nie powinny; przeciwnie, można je było nawet przewidywać. Chrześcianie u nas wogóle na sprawach finansowych znają się mniej, niż klasa od wieków trudniąca się wyłącznie handlem, a wskutek tego w dodatku bardziej ruchliwa, bardziej znająca stosunki majątkowe oraz przewidywaną wypłacalność ludzi. Dla tego też chrześcianie szukają przedewszystkiem możliwie najpewniejszej lokacyi na hypotecę; żydzi ufają częściej odpowiedzialności osobistej.

III.

W badaniach naszych posuńmy się jeszcze o krok dalej. Poznaliśmy liczby ogólne, mówiące o udziale żydów w kredycie hipotecznym; zobaczymy teraz, z jakich się pierwiastków te liczby składają.

Już w pierwszym artykule (str. 255) podaliśmy poszczególne pozycye, na jakie rozpada się ogólna suma 1,200 tysięcy rs. ubezpieczeń, zrobionych w gub. Kieleckiej na rzecz żydów pod tytułami kaucyi i ewikcyi a mianowicie:

- | | |
|---|-------|
| a) zaliczenia za sprzedane lasy wynosiły | 74.4% |
| b) ewikcyje za sprzedaż gruntów | 4.6% |
| c) ewikcyje za wykonanie umów dzierżawnych | 2.8% |
| d) ewikcyje za różne sprzedane żydom produkta rolne | 2.8% |
| e) kaucye na otwarty kredyt wekslowy | 4.0% |
| f) kaucye i ewikcyje bez określonego tytułu | 10.9% |
| g) tytułem posagu | 0.1% |
| h) kaucye na przypuszczalne koszta egzekucyi | 0.4% |

Jeszcze dokładniejsze dane posiadamy dla dwu powiatów gub. Lubelskiej: Krasnostawskiego i Nowo-Aleksandryjskiego.

W ogóle żydzi mają tam zabezpieczonych 466,500 rs. Z tego na długi proste przypada 367,400 rs. t. j. 78.8%, a na kaucye i ewikcyje 99,100 rs. t. j. 21.2%.

Tabliczki, poniżej zamieszczone, zawierają rozkład zobowiązań i należności zwyczajnych na pierwiastki. Podajemy tam: na ilu dobrach ciąży każda z poszczególnych pozycyi, jaką sumę tworzy, i wreszcie jaki procent wśród ogółu ciężarów swego gatunku stanowi. Zachowujemy bez zmiany nomenklaturę ksiąg hipotecznych.

Długi proste.

P O Z Y C Y E.	ilość dóbr obciążo- nych	wysokość ob- ciążenia w rublach	%
Pożyczki	52	245200	66.74%
Wyroki sądowe .	22	25700	7.00%
Cessye	13	75000	20.41%
Zaległe procenty .	1	300	0.18%
Reszta szacunku .	8	21200	5.77%
Razem	96	367400	100%

Kaucyje i ewikcyjne.

P O Z Y C Y E.	ilość dóbr obciążo- nych	wysokość ob- ciążenia w rublach	%
Ostrzeżenia	19	42600	42.99%
Ewikcyjne nabywców	3	17600	17.66%
„ na dokonanie umowy	2	17100	17.26%
„ „ operacje bankowe	1	1500	1.51%
„ „ pewność dzierżawy	2	5200	5.35%
„ „ pszenicę	1	1500	1.51%
„ „ ryby	1	1500	1.51%
„ „ las	2	9700	9.79%
„ „ łąkę	1	1500	1.51%
„ „ wełnę	1	900	0.91%
Razem	33	99100	100%

Cyfr powyższych nie uważamy bynajmniej za odbicie stosunków, w całym kraju istniejących. Ale, nie mogąc otrzymać i obliczyć miliona cyfr, które-by utworzyły obraz skończony i pełny dla kraju całego, zadawaliśmy się tu, jak wszędzie poprzednio, tém, co się z danych naszych da wycisnąć. Powtóre: pragnęliśmy przykładem wykazać, co jakiś badacz przyszedł zrobić potrafi, gdy mu przeszkadzać nie będą braki, krępujące dziś nasze chęci na każdym kroku.

Cyfrы takie, skrupulatnie a umiejętnie zestawione, nietylko wyjaśniły-by nam w znacznym stopniu genezę odłuzenia, ale jeszcze pozwoliły-by na wiele ważnych wniosków co do sposobów zbytu, co do zależności producenta od handlarzy i t. d.

Nasze obliczenie obejmuje zbyt małe terytorjum, aby wyciągnięte wnioski mogły mieć jakieś donioślejsze znaczenie.

Możemy przytoczyć jeszcze jeden przykład dokładnego obrachunku i rozklasyfikowania należności oraz zobowiązań wedle ich pochodzenia. Dane w tym razie pochodzą z powiatów Ciechanowskiego i Przasnyskiego gub. Płockiej i są o tyle dokładniejsze od poprzedzających, że mogliśmy zrobić podział na wierzytelności chrześcijańskie i żydowskie.

Długi proste.

P o z y c y e	Wierzytelności chrześcijańskie.			Wierzytelności żydowskie.		
	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%
Pożyczki bez tytułu . . .	265	1,521.0	80.46%	68	274.0	76.51%
Reszta szacunku . . .	76	294.0	15.62	8	22.0	6.11
Hypoteka sądowa . . .	28	26.0	1.33	33	62.0	17.30
Hypoteka prawna . . .	4	6.0	0.34	—	—	—
Działy spadkowe . . .	2	1.0	0.08	—	—	—
Darowizny . . .	2	22.0	1.22	—	—	—
Zapisy testamentowe . .	1	1.5	0.10	—	—	—
Fundusz duchowny . . .	1	3.0	0.18	—	—	—
Zapisy na rzecz kościoła .	6	6.0	0.34	—	—	—
Koszta sądowe . . .	1	0.07	0.004	1	0.3	0.08
Koszta procesu . . .	2	0.3	0.02	—	—	—
Opłaty stemplowe . . .	1	1.0	0.08	—	—	—
Opłaty spadkowe . . .	2	0.5	0.03	—	—	—
Pożyczki z fund. emeryt.	1	3.0	0.17	—	—	—
Procenty . . .	1	0.5	0.03	—	—	—
Razem . .	393	1,885.8	100%	110	358.3	100%

Zobowiązania i należności inne.

P o z y c y e	Wierzytelności chrześcijańskie.			Wierzytelności żydowskie.		
	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%
Ewikycje	63	236.0	31.5%	19	147.0	80.8%
Kaucycje	17	28.0	3.7	—	—	—
Kaucycje dzierżawne	9	29.0	3.8	—	—	—
Posagi	77	340.0	45.3	—	—	—
Szacunek za las	—	—	—	1	8.0	4.4
Ostrzeżenia	49	87.0	11.6	33	27.0	14.8
Zaliczki na buraki	6	31.0	4.1	—	—	—
Razem	221	751.0	100%	53	182.0	100%

Tu znowu zostawiamy bez zmiany tytuły, znalezione w księgach hipotecznych. Podział na długi proste i zobowiązanie może nie jest zupełnie ścisły, ale z krótkich tytułów niepodobna było całkiem na pewno domyślić się natury zobowiązania.

Ogół długów i zobowiązań, ciężących na dobrach ziemskich w powiatach: Ciechanowskim i Przasnyskim, jak z powyższego wynika, daje sumę 3,177 tysięcy rs., z tego na rzecz chrześcijan wypada 83% (2,637 tys. rs.), a na rzecz żydów 17% (540 tys. rs.)

Ogół długów prostych tworzy 2,244 tys. rs.; na chrześcijan z tego przypada 84% (1,886 tys. rs.), a na żydów 16% (358 tys. rs.)

Zobowiązania wszelkiego rodzaju wynoszą 933 tys. rs.; na imię chrześcijan uczyniono z tego przeszło 80% (751 tys. rs.), na imię żydów blisko 20% (182 tys. rs.) Widzimy więc, że w tych dwóch powiatach dzieje się nieco inaczej, niż w 46, wyżej rozpatrywanych, mianowicie tu żydzi więcej korzystają z ubezpieczeń w formie ewikycji i kaucyi, niż z zapisów pod tytułem długów prostych.

IV.

Żydzi, jakeśmy to widzieli w rozdziale o stopach procentowych, pobierają nieco wyższe odsetki od swoich kapitałów, na hypotekach

lokowanych, niż chrześcianie. Różnica była niewielka, wynosiła w przecięciu jakiś ułamek jednostki, ale istniała.

Powstaje pytanie: czy wypadek ten był skutkiem, jak się to zawsze i wszędzie dzieje, gorszego, mniej pewnego, zabezpieczenia pożyczek żydowskich?

Odpowiedź dają nam cyfry, wyjęte z ksiąg hipotecznych gub. Kieleckiej.

Na 209 majątkach tam badanych, których wartość wynosi 7,419 tysięcy rs., ciężą długi, zaciągnięte u chrześcian w sumie 3,849 tys. rs., t. j. pokrywają przeszło połowę szacunku. Potem dopiero idą pożyczki żydowskie w sumie 1,389 tys. rubli.

Wogóle więc biorąc, pieniądze, od chrześcian pochodzące, ubezpieczone są w ogromnej większości na pierwszej połowie hipotek, t. j. w klasie pierwszej, jakieśmy nazwali w rozdziale o stopach procentowych. Długi zaś żydowskie w całości należą do klasy drugiej.

W poszczególnych majątkach spotykamy znaczne odstępianie od środkowej linii, przeprowadzanej przez wypadki i liczby przeciętne. Niektóre pożyczki, udzielane przez żydów, znajdują się w pierwszej klasie, inne wysunęły się daleko po-za szacunek, nawet kilkakrotnie wzięty. Rozkład całej należności żydowskiej, 1,389 tysięcy rubli, na pozycye wedle stopnia odłuzenia podaje następująca tabliczka:

		ubezpieczone są na:	
28,8 tys. rs. t. j.	2,1 ^o / _o całego długu żydowskiego	20 ^o / _o szac. hyp.	
118,2	" " " 8,6 ^o / _o	" " "	od 20 ^o / _o do 40 ^o / _o " "
328,9	" " " 23,7 ^o / _o	" " "	40 ^o / _o — 60 ^o / _o " "
232,0	" " " 16,7 ^o / _o	" " "	60 ^o / _o — 80 ^o / _o " "
226,0	" " " 16,3 ^o / _o	" " "	80 ^o / _o — 100 ^o / _o " "
182,3	" " " 13,2 ^o / _o	" " "	100 ^o / _o — 150 ^o / _o " "
121,8	" " " 8,7 ^o / _o	" " "	150 ^o / _o — 200 ^o / _o " "
71,9	" " " 5,1 ^o / _o	" " "	200 ^o / _o — 250 ^o / _o " "
16,0	" " " 1,1 ^o / _o	" " "	250 ^o / _o — 300 ^o / _o " "
18,7	" " " 1,3 ^o / _o	" " "	300 ^o / _o — 350 ^o / _o " "
24,2	" " " 1,7 ^o / _o	" " "	350 ^o / _o — 400 ^o / _o " "
14,6	" " " 1,0 ^o / _o	" " "	400 ^o / _o — 450 ^o / _o " "
2,5	" " " 0,2 ^o / _o	" " "	450 ^o / _o — 500 ^o / _o " "
3,0	" " " 0,3 ^o / _o	" " "	wyżej 500 ^o / _o " "
<u>1,389 tys. rs. t. j. 100^o/_o.</u>			

A więc na pierwszej połowie szacunku hipotecznego opartą jest mniej niż trzecia część ogółu pożyczek, u żydów zaciągniętych. O utratę tych pieniędzy wierzyciele, jak wiemy, obawiać się nie po-

trzebują. Nieco więcej niż część trzecia należności żydowskich znajduje się w klasie drugiej. Tu już niebezpieczeństwo zagraża, ale odzyskanie pożyczki jest możliwe. Wreszcie cała trzecia część występuje po-za wysokość szacunku, t. j. nigdy przez wierzycieli odzyskaną; nie będzie, i jedyną pobudką do udzielenia owych pożyczek mogła być nadzieja pobierania przez czas jakiś znacznego procentu.

Rezultat taki nikogo dziwić nie powinien. Żydzi, jako w kraju całym klasa handlująca, z ryzykiem przez codzienną praktykę oswojona, z natury rzeczy jest przeznaczoną na dostarczycielkę kredytu w razach najbardziej krytycznych i najmniej pewnych.

Właściciela majątku taka pożyczka nie uratuje, ale jest ostatnią dawką lekarstwa dla śmiertelnie chorego; zdrowia nie przywróci, życia nie zatrzyma, ale na chwilkę uśmierzy cierpienia agonii.

PARCELACYA I PARCELANCI.

Wobec tych danych, które przytoczyliśmy w rozdziałach poprzedzających, ulegać wątpliwości nie może, iż wielka ilość ziemi jest, a jeszcze większa w czasie niedługim będzie do sprzedania. Nadmierne odłużenie, z najrozmaitszych przyczyn powstałe, musi doprowadzić do przejścia niematej liczby dóbr w ręce inne. Jednocześnie ograniczenia, wydane już względem cudziemców i projektowane względem żydów, niezmiernie wzmogą gwałtowność przesilenia i spotęgują podaż ziemi. Też same przyczyny, które wywołają zaofiarcowanie, ograniczą bardzo ilość możliwych nabywców ziemi. Nie będą jej kupowali posiadacze więksi, nie będą kupowali cudzoziemcy i żydzi; na nabywców przyjezdnych z prowincyi sąsiednich, jak zobaczymy, liczyć nie można. Pozostaje zbadać, czy własność drobna palącej téj potrzeby nie zaspokoi i pożądanych nabywców nie dostarczy.

Niejakie wskazówki mieliśmy co do tego już w poprzednich rozdziałach. Kiedy, dzięki nieprzyjaznym warunkom, większa własność robi — jak to mówią — bokami, a końca z końcem związać często nie jest w stanie, drobni posiadacze trzymają się. Ziemia jest widocznie dobrą lokacyą dla ich oszczędności i dobrym warsztatem dla ich pracy, gdyż nieustannie nabywają wspólnemi siłami dobra większe lub

ich części, placą dosyć znaczne szacunki, i pomimo to wychodzą na swoje.

Wypada więc nam teraz poznać liczbę i zamożność tego rodzaju pożądanych nabywców.

I.

Za pierwszy kontyngens przypuszczalnych cząstkowych nabywców większej własności uważać można, gęsto w różnych częściach kraju naszego rozsiane, wioski i osady szlachty t. z. zagonowej.

W r. 1870 generał Anuczyn posiadłość drobnej szlachty podał na 704 tysiące mórg. W r. 1878 posiadłość ta obliczona już jest na 881 tysięcy mórg; wnosić więc można, że w ciągu lat 8-miu wzrosła o jakie 180 tys. mórg¹⁾. Od owego czasu, t. j. przez lat przeszło 13 liczba osad i gruntów, do drobnej szlachty należących, musiała się powiększyć, a więc znowu nastąpiło uszczuplenie i rozdrobnienie własności dużej.

O zamożności i sposobie gospodarowania tej kategorii właścicieli gruntowny znawca stosunków w tej sferze, p. Ludwik Górski, powiada²⁾: „Osady i grunta drobnej, zagonowej szlachty, są zupełnie do włościańskich podobne. Charakterystyczną cechą jest rozpołożenie wioskowe, pomieszanie gruntów ornych, przy tém wogóle ubóstwo większe i stan gospodarstwa gorszy, niż u włościan“.

Drugi kontyngens możliwych nabywców stanowią mieszczańscy rolnicy. W kraju naszym jest ich dosyć poważna liczba. Uwłaszczenie objęło 58,457 przedstawicieli gospodarstw i nadało im 443,309 mórg. Zamożność jednak mieszczan, przeciętnie biorąc, nie jest lepsza od zamożności drobnej szlachty. Zarobki w miastach są trudne i małe, konkurencya z żydami, wobec taniości ich pracy, bardzo je obniża.

Wynika ztąd, że chociaż własność większa, na sprzedaż przeznaczona, znajdzie nieco kupców wśród drobnej szlachty i trochę wśród mieszczan, to jednak oba te stany nie zdołały-by nawet w drobnej części sprostać wielkim rozmiarom potrzeby. Główna armia nabywców rekrutować się musi i może z pomiędzy mas włościańskich.

1) Dokładny wykaz własności drobnej szlachty w r. 1878 jest następujący:

należącej	30 mórg	38,187	właścicieli,	posiadających	razem	534	tys. mórg
od 30 —	50 „	5,240	„	„	„	202	„
„ 50 —	100 „	2,159	„	„	„	145	„

45,586 właścicieli, posiadających razem 881 tys. mórg

2) „Pogląd na stan i potrzeby drobnej własności w Królestwie Polskiem“.

W r. 1878 statystyka rządowa rachowała 611,028 osad (gospodarstw) włościańskich, uprawiających obszar 8,783,658 mórg¹⁾.

Liczba więc osad włościańskich jest blisko 6 razy większa, a obszar gruntów blisko 7 razy większy, niż znaleźliśmy wśród drobnej szlachty i mieszczan razem wziętych. Ze stanu więc włościańskiego wyjść może główny zastęp konkurentów na obszary większej własności. Od czasu uwłaszczenia stosunki uległy niemałej zmianie: wzrosła ludność, wzrosła liczba osad, wzrósł wreszcie i obszar posiadanej ziemi, ale jednocześnie zrobiło się ciasniej — posiadłość zdrobniała. Liczb dokładnych dla całego Królestwa niema. Tylko Izba Skarbowa Kielecka, wskutek zapytania Ministra finansów o przyczyny nawalnej emigracji, zebrała szczegółowe cyfry o stanie ludności i ziemi włościańskiej. Zestawiamy dane dzisiejsze z liczbami z epoki uwłaszczenia. Wtedy włościanie gubernii Kieleckiej posiadali 646,285 mórg, obecnie mają 696,382 morgi, czyli przyrost wynosi 7.7%. Liczba osad wtedy była 70,466, dzisiaj — 79,089, przyrost — 12.2%. Dusz włościańskich rachowano wtedy 418,643, dziś — 641,881 czyli przyrost stanowi aż 53.3%. A więc ilość ludzi wzrosła kilka razy szybciej, niż ziemia, z której oni środki bytu czerpią. Chat też przybyło, ale w nich jest 4 przeszło razy ludniej, niż ćwierć wieku temu. Gospodarki zeszczupłyły. W chwili uwłaszczenia na jedną głowę przypadało 1.54, obecnie zaś 1.08 morgi.

Tak się przedstawiają stosunki liczbowe. Zobaczmy teraz, jak nabywaniu przez włościan gruntów sprzyjały warunki inne.

Do wydania prawa z r. 1858, określającego na jakich zasadach zawierane być mogą umowy dobrowolne pomiędzy właścicielami dóbr a włościanami o zniesienie pańszczyzny i zaprowadzenie stosunku czynszowego, parcelacya miejsca prawie nie miała i mieć nie mogła. Pierwsze też jęj ślady w księgach hipotecznych spotykamy dopiero w 1859 roku.

Ustawy z r. 1861 o okupie prawnym i z r. 1862 o oczynszowaniu z urzędu jeszcze szerzej otworzyły zamknięte dotąd dla włościan wrota do nabywania ziemi. Właściciele, a przynajmniej pewna ich część, utraciwszy bezpłatne siły robocze, musiały ścieśnić granice swych dotychczasowych posiadłości. Trzeba było też zmienić nieje-

¹⁾ Własność ta rozpada się na następujące kategorie według rozległości:

do 10 mórg osad	247,403	z obszarem	1,363 tys. mórg
od 10—20	" "	230,646	" 3,464 " "
" 20—30	" "	93,510	" 2,396 " "
" 30—40	" "	25,878	" 892 " "
wyżej 40	" "	13,591	" 668 " "

dnokrotnie system gospodarki, odciąć i sprzedać obszary, nieprzyno-
szące odpowiednich, a często i żadnych zysków. Pomimo to ruch nie
mógł odrazu przybrać szerokich rozmiarów. Krajem do głębi wstrzą-
sały wypadki ówczesne. Ukaz z r. 1864, pozostający z niemi w ści-
słym związku, nadał posiadłość ziemską wszystkim włościanom, któ-
rzy w owym czasie chwilowo choćby siedzieli na roli, a przeto zniósł
ostatecznie wszelkie prawne przeszkody do rozwoju własności wło-
ściańskiej. Pozostały jednak przeszkody natury moralnej, których
wpływ hamujący widzimy jeszcze przez lat parę.

Włościanie nie rozejrzeli się jeszcze na nowém stanowisku. Po-
zostawanie przez ciąg tylu wieków pod władzą i opieką patryarchal-
ną dziedziców nie usposobiło ich do czynów samoistnych. Z pewnym
niedowierzaniem patrzyli na zaofiarowanie im ziemi przez dawnych
swych panów. Po kraju przeciągały wciąż głuche wieści o nowych
nadaniach; lud słuchał, wierzył czy nie wierzył, ale się ociągał i cze-
kał. Z drugiej strony i właściciele majątków nie mogli zbyt nagle
i stanowczo przystępować do regulowania swoich gospodarstw, bo nie
wiedzieli, w jakich rozmiarach na dobrach ich zaciąży służebności.

Każdą chwilę przejściową cechuje brak pewności w postępowani-
u, chwiejność i niedowierzanie. Tu musiało to wszystko przybrać
rozmiary tém większe, że przejście było nagłe, zaostrome wieloma
zmianami innego rodzaju, połączone z wieloma nienormalnościami. Po-
między władzami włościańskimi, wprowadzającemi w życie Ukaz
z r. 1864, a właścicielami dóbr, panowała wzajemna nieufność i roz-
gorczenie. Z włościanami stosunki nie były lepsze. Jeden i drugi
rok minął, zanim skłócone żywioły przyszły do jakiej takiej równo-
wagi.

W dodatku ubóstwo włościan nie pozwala na razie myśleć o na-
bywaniu nowych gruntów. P. Ludwik Górski w znakomitým swoim
cytowanym studyum o „stanie ekonomicznym drobnej własności ziem-
skiej w Królestwie Polskiem“, tak opisuje stan gospodarstw włościań-
skich w czasach pańszczyźnianych: „były zaniedbane, ściśle w trój-
polówce zamknięte, na produkcyi jedynie pośledniejszych gatunków
zboża i kartofli oparte, uprawy roślin pastewnych nieznające, wy-
starczały zaledwie na nędzne wyżywienie rodzin, ale warunków po-
stępu i polepszenia bytu włościan wcale nie miały. O inwentarz po-
ciągowy troszczył się cokolwiek właściciel, bo on służył do uprawy pól
dworskich, natomiast inwentarz dochodowy był nad wszelki wyraz
lichy. Budowle w nędznym stanie; chałupy szczupłe i niskie; w je-
dnej izbie i przyległej komorze mieściła się cała rodzina gospodarza;
małą izdebkę obok zajmował z rodziną parobek, którego gospodarz
dla odrabiania pańszczyzny utrzymywał. Rok jeden nieurodzaju ni-

szczył całe mienie włościanina, wtedy właściciel z konieczności w pomoc mu przychodził. Na przednówku włościanie często nawet chleba własnego do jedzenia nie mieli. Pijaństwo było niezmiernie rozpowszechnione: wódką zachęcało się ludzi do roboty, wódką nagradzało dobre jej wykonanie, to też karczmy przynosiły znaczne właścicielom dochody. Pomimo jednak tak upadłego stanu materialnego i braku oświecenia, przyznać trzeba, że występki i zbrodnie były stosunkowo rzadkie. Obyczaje były ogólnie dobre, łagodne, posłuszeństwo wielkie, ale i niezaradność także wielka.

„Gospodarstwa włościan czynszowych były w lepszym stanie. Górowali wśród nich włościanie dóbr rządowych i donacyjnych, w których oczynszowanie połączone było z racjonalnym urządzeniem osad. Odznaczali się także dobrobytem włościanie Ks. Łowickiego i włościanie czynszowi dóbr prywatnych, którzy płacili czynsze bardzo niskie i prócz tego korzystali darmo, lub za bardzo taną opłatą, z używalności pastwiskowych i leśnych. Przypomnieć tu należy, że liczba włościan czynszowych w całym Królestwie równoważyła już wówczas liczbę włościan pańszczyźnianych¹⁾. Okoliczność ta, połączona z postępem gospodarstw folwarcznych, coraz więcej rąk do uprawy wymagających, sprawiła, że ogólny stan ludności wiejskiej, obejmując w nim włościan bezrolnych, był w liczebnym i materialnym postępie, o czym świadczy szybkie powiększenie się tej ludności. Kiedy bowiem w r. 1816 było całej ludności wiejskiej w Królestwie około 2-ch milionów, w r. 1858 ludność ta wynosiła 3,600,000 dusz; wzrosła zatem w ciągu lat 42-ch o 80%“.

Wywód powyższy, oceniający rozwój dobrobytu na zasadzie wzrostu ludności, posiada tylko względną wartość. Okres lat 42 jest zbyt długi, ażeby obrachunek podobny mógł dać dokładne pojęcie o zamieszności włościan w epoce, kiedy nabywanie ziemi przez nich mogło się być rozpocząć. Trzeba wziąć odstępy czasu mniejsze. Okres od 1816 do 1831 pozostawiamy na boku. Od 1832 po 1846 ludność powiększyła się znacznie: na każdy tysiąc mieszkańców przybywało rocznie 17. W następnym dziewięcioleciu nie tylko nie było przyrostu, lecz, przeciwnie, statystyka zanotowała stratę ludności. Od roku 1856 do 1862 spotykamy znowu przyrost 9.6 głów na tysiąc rocznie; w dziesięcioleciu 1863—1872 wzrastanie ludności dochodzi do 23 na

¹⁾ W rzeczywistości w r. 1859 było:

osad czynszowych	52,506
„ pańszczyźniano-czynszowych	31,636
„ pańszczyźnianych	124,840

Razem 208,982

tysiąc rocznie. Od 1873 do 1882 przyrost stanowi 15. Od r. 1883 do r. 1886 otrzymujemy prawie tę samą liczbę — 14. W roku zaś 1887 przyrost wynosi 17 na tysiąc, w 1888 r. — 15; w 1889, ostatnim, dla którego posiadamy dane, przyrost stanowi około 14.

Cyfrы porównawcze przekonają nas, że podobną szybkość wzrastania ludności nazwać można bardzo wielką. W Rosyi (1881 — 1885) przyrost ludności wynosi rocznie na tysiąc głów — 15; w Prusach — 12; w Austrii — 7; w Anglii — 14; we Włoszech i Belgii — 9; we Francyi — 2.

Opierając się tylko na podstawie tych danych, musielibyśmy przyjść rzeczywiście do wniosku, że dobrobyt mas w okresie od 1847 — 1855 zmniejszał się; w 7-leciu, poprzedzającym uwłaszczenie, był już dosyć znaczny (przyrost ludności wynosi 9.1 na tysiąc rocznie), a w czasach ostatnich znakomicie poszedł w górę. A więc — co ztąd wynika — środki włościan do dalszego nabywania ziemi powinny być również znacznie się powiększyć. Zjawiska inne przypuszczenie to stwierdzają, ale tylko do pewnej granicy. Postęp dobrobytu, przez lat blisko lub przeszło 20 po uwłaszczeniu, był istotnie znaczny, lecz potem zatrzymał się i dziś zachodzi obawa, czy nie wrócimy do czasów i stosunków gorszych.

Cyfrы o nabywaniu ziemi przez tak zwanych parcelantów, które zamierzamy poniżej przytoczyć, twierdzenie to poniekąd udowodnią.

II.

Parcelacya wywołała w kraju naszym najrozmaitsze, a całkiem z sobą sprzeczne sądy, zdania, a nawet uczucia. Było to zupełnie naturalnym, prawie koniecznym. Każde nowe zjawisko, zarysowujące się ledwie na horyzoncie życia, każde przetwarzanie się stosunków, którego początek znamy powierzchownie, a końca domyślać się musimy, budzi entuzjazm w jednych, podejrzenia i obawy — w drugich. Entuzjazm jest najczęściej przedwczesny, obawy przesadzone, ale ustrzedz się od nich niepodobna. Sąd słuszny opierać się może jedynie na spokojnym, bezstronnym, obiektywnym badaniu, na faktach i cyfrach; tymczasem dopóki zjawisko jest w ebmryonie niejako, dopóki szuka tylko dróg najwłaściwszego rozwoju, niema faktów, niema cyfr, są tylko bardziej lub mniej trafne przypuszczenia.

Tymczasem parcelacya już wstępny okres przebyła. Nastąpiła konieczność dokładniejszego badania. Z 9,429 dóbr, objętych wiadomościami naszymi, 1465, a więc 15%, uległo rozparcelowaniu.

Bank ziemski w Poznaniu, ogłosiwszy parcelację za jedno z najważniejszych, za najgłówniejsze może zadanie swoje, a więc za skuteczny środek obrony ziemi przed zamachami Komisji kolonizacyjnej, zapisał ją w programie społecznym.

Komisya, wyznaczona przez Zjazd prawników i ekonomistów w Krakowie w r. 1887, orzekła jednomyślnie, iż zlikwidowanie tej części większych własności ziemskich, które w dotychczasowych rozmiarach nie są w stanie się utrzymać, należy nie tylko do zakresu osobistej działalności interesowanych, lecz stanowić powinno przedmiot troski całego społeczeństwa. Nienaradzając wcale kapitału, może ono i ma obowiązek umożliwiać i ułatwiać czynności, w tym celu przedsiębrane, lub nawet zamierzone tylko.

Nie odmówiliśmy grosza na wprowadzenie w życie wskazań powyższych w Poznańskim, a jednocześnie nie przyszło nam na myśl, że ekonomiczny stan Królestwa Polskiego wymaga działalności podobnej. Jest to témbardziej dziwne, że w owym czasie dojrzało już wśród nas przeświadczenie o potrzebie uregulowania jednostek gospodarczych, o konieczności odstąpienia na rzecz drobnych nabywców pewnej części posiadłości większych.

Wykłącia parcelacyi w znacznej części wtedy już umilkły; wytwarzał się wspólny dla ogółu całego punkt widzenia—ale badań dokładnych jak nie było, tak niema. Parcelacja, ogłoszona przez wielu za jedyny sposób rozwiązania kryzysu rolnego, za jedyny i racjonalny środek ratowania ziemi, pozostaje i dotychczas światem nieznanym, a skutek tego dziedziną wciąż bardzo dostępną dla domysłów, fantazyi, błędnych nadziei.

Nie pomógł i do dziś dnia nie wywołał pożądanego skutku nawet wymowny i wpływowy głos p. Ludwika Górskiego, który już parę lat temu w artykule, wyżej cytowanym o własności drobnej¹⁾, nawoływał do poważnych badań nad tym przedmiotem. Znajduje się tam twierdzenie, „że własność mniejsza powołaną jest w kraju do nabrania coraz większego znaczenia, że zatem jej stan i warunki pomyślnego rozwoju zajmować powinny uwagę myślących i dbałych o przyszłość tego kraju obywateli, a poważne studia w tym przedmiocie zająć miejsce lekkomyślnego, a często nawet namiętnego sądu“.

Szanowny Prezes Towarzystwa Kredytowego wskazuje na dzieła niemieckich i francuskich autorów, które mogły-by służyć za wzór do badań odpowiednich, oraz zachęca do przedsięwzięcia tej „poważnej, a wcale nie trudnej pracy“.

¹⁾ Pogląd na stan i potrzeby własności drobnej w Królestwie Polskiem „Niwa“ Nr. 6 z r. 1889.

Wyznać musimy, iż nie wydaje się nam, aby sposoby badań, przez p. Górskiego zalecone, doprowadzić mogły do pożądaných rezultatów. W dalszym ciągu pracy niniejszej, gdy dojdziemy do wykazywania potrzeb, domagających się załatwienia, i my spróbujemy rozwinąć plan, według którego—naszém zdaniem—łatwiej i pewniej dojść będzie można do zgromadzenia niezbędnych w tym wypadku danych.

Obecnie ograniczyć się musimy do skreślenia ogólnego poglądu na stan majątkowy własności drobnej, powstałej z rozparcelowania 1465 dóbr w 50 powiatach Królestwa, o ile naturalnie pozwolą na to wykazy, z ksiąg hipotecznych wyjęte.

Materyał nasz staje się tutaj mniej jeszcze pewnym, niż gdy chodziło o własność większą, a to dlatego, że tutaj stosunki są bardziej zawiłane, a niedokładności, wynikające z niedopełnienia form, przez ustawy hipoteczne nakazanych, częstsze.

III.

Przedewszystkiém poznać nam wypadnie, jak się parcelacya rozwijała z biegiem i w jakim szła kierunku, t. j. czy odrywała tylko od dóbr większych jakies ich części, czy też pochłaniała całe?

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w „Pamiętniku“ swoim za r. 1884 stwierdza, iż od lat dwudziestu prąd kommasacyjny odwrócił się stanowczo w kierunku *parcelowania* dóbr większych na mniejsze, odrębne własności, a zatém zgodnie z danemi naszymi, które przytoczymy niebawem, początek ruchu parcelacyjnego dostrzega w 1864 r.

W inném miejscu tegoż Pamiętnika czytamy: „W ostatniém zwłaszcza dziesięcioleciu spotykamy się z faktem, który coraz szerzej rozpościera się na całej przestrzeni Królestwa i stosunkom jego ekonomicznym do pewnego stopnia odmienną nadaje postać. Mówimy tutaj o rozdzielaniu dóbr większych na mniejsze, samodzielne gospodarstwa folwarczne, jak również o rozdzielaniu całkowitem lub częściowém folwarcznych przestrzeni na małe gospodarstwa, która-to ostatnia czynność znaną jest powszechnie pod mianem *parcelacyi*“.

Niejakie pojęcie o rozwoju ruchu parcelacyjnego mieć możemy ze sprawozdań Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego. Właściwie dobra (lub części dóbr) przed parcelacyą winny być zwolnione z odpowiedzialności za pożyczkę Towarzystwa. Wprawdzie formalność ta nie zawsze bywa dopełnianą, a z drugiej strony zwolnie-

nie może mieć inne powody niż parcelacya; to jednak jest to przyczyna najgłówniejsza i w statystyce odbija się wyraźnie. Do roku 1867 ilość dóbr zwolnionych w żadnym półroczu nieprzekroczyła 7-u, w drugim zaś półroczu 1867 r. mamy już liczbę 25. Cyfry te stale rosną:

w 1-m półroczu 1879 r.	znajdujemy dóbr zwolnionych	65
„ 2-m	„ „ „ „ „	79
„ 1-m	1880 r. „ „ „	60
„ 2-m	„ „ „ „ „	84
„ 1-m	1881 r. „ „ „	106

Na nieszczęście, od daty ostatniej Dyrekcyja Główna zaprzestała podawać w sprawozdaniach liczbę dóbr zwolnionych ¹⁾).

Daleko dokładniejsze i doprowadzone do czasów ostatnich dane znaleźć można w księgach hipotecznych. Wybieramy gub. Radomską, gdyż wypisy nasze uzupełnić możemy cyframi ze wspomnianej już cennej pracy p. Romanowskiego, drukowanej w Gazecie Radomskiej. Najpierwsze ślady parcelacyi w tamtejszych księgach hipotecznych noszą datę r. 1859. W pow. Radomskim rozparcelowały się wtedy dwa majątki całkowicie i jeden częściowo. Następnie znowu w roku 1861 spotykamy wypadek parcelacyi jednych dóbr w pow. Kozienickim i części dóbr w pow. Sandomierskim.

Potem aż do r. 1865 zachodzi przerwa. Dopiero od daty ostatniej parcelacya ukazuje się w kilku naraz powiatach, a wreszcie i w całej gubernii występuje jako zjawisko stałe. Dotychczas były to wypadki odosobnione, sporadyczne, żadnego znaczenia społecznego i ekonomicznego nie mające.

Z tychże danych widzimy dalej, iż całe dobra ulegają parcelacyi daleko rzadziej, niż części majątków. Od r. 1859 do r. 1889 włącznie, rozparcelowano w gub. Radomskiej dóbr całkowitych 94, liczących 42 tysiące mórg; w tymże czasie rozsprzedano części 512 majątków, co wyniosło 105 tysięcy mórg, t. j. 2½ razy więcej, niż obszar całkowitych rozparcelowanych dóbr.

Następujące zestawienie wskazuje, jaką część ogółu rozparcelowanej ziemi sprzedawano do r. 1865, oraz w następnych okresach pięcioletnich. (Ogół rozparcelowanej ziemi oznaczymy przez 100):

Okresy	% sprzedanego obszaru przy parcelacyi dóbr całkowitych:	% sprzedanego obszaru przy parcelacyi części dóbr:
do r. 1865	3.7	0.6
1865 — 70	10.4	10.5
1870 — 75	24.0	17.1

¹⁾ Przypisek na str. 20 „Pamiętnika“.

Okresy	% sprzedanego obszaru przy parcelacji dóbr całkowitych:	% sprzedanego obszaru przy parcelacji części dóbr:
1875 — 80	27.9	28.0
1880 — 85	30.7	34.9
1885 — 90	3.3	8.9
	100%	100%

Jeżeli odrzucimy okres ostatni, to się okaże, iż parcelacya z roku na rok nieustannie wzrastała. Drobni posiadacze rozkupują coraz więcej zarówno całkowitych dóbr, jak i pojedynczych ich części. Przeszłość rozparcelowana w okresie 1880—1885 jest przeszło trzy razy większa, niż między latami 1865 a 1870.

Rok 1885 stanowi punkt zwrotny: parcelacya dokonywa się we wszystkich powiatach, księgi hipoteczne notują ją co rok — nieprzestała więc być zjawiskiem stałym, ale się znacznie zmniejsza. Niejedna zapewne przyczyna wywołała zmianę podobną. Zniżenie cen w tym właśnie czasie na produkty rolne nie mogło pozostać bez wpływu: ziemia poczęła słabiej procentować, mniej też ciągnęła ku sobie nabywców. Można też przypuszczać, iż pewna wstrzemięźliwość i oczekiwanie czasowe spowodowane zostały zapowiedzią banku włościańskiego; chwila jego utworzenia bardzo się odwlokła, a następnie działanie było bardzo powściągliwe. Na dobitkę korzystne zarobki postronne, na które w następstwie wskażemy, urwały się w tym właśnie czasie. Nagromadzone oszczędności drobnych rolników, u nas najchętniej w ziemi lokowane, wzrastać przestały; a nawet może zasoby dawniejsze w latach ciężkich poczęły topnieć.

Jest więc niżej prawdopodobne, że pewna część ziemi ulega rozdrobnieniu, na razie nie wywołując w księgach hipotecznych żadnej zmiany. Zdarza się bardzo często, że drobni nabywcy obowiązują się za kupioną ziemię płacić częściowo; z uiszczania rat pojedynczych właściciel kwituje dokumentami, prywatnie sporządzonemi, a dopiero, gdy już cały rachunek uregulowany, następuje przepisanie tytułu własności w księgach hipotecznych. Następnie często w majątkach, obarczonych służebnościami, odprzedają się części na zasadzie prywatnych umów, z tém zastrzeżeniem, że regulacya hipoteki ma nastąpić po zniesieniu służebności, na co nieraz trzeba długo bardzo czekać, a przez ten czas dokonana już tranzakcyja wcale w hipotece nie jest zaznaczoną.

Dopiero badania szczegółowe, przeprowadzone na gruncie i w każdym zakątku kraju, wykryły-by dokładnie ilość i rozmiar wszystkich podobnych tranzakcyi. To jednak za pewne uważać można, iż cyfry nasze wskazują mniej wypadków, niż ich rzeczywistość zawierała.

IV.

Pod względem społecznym i gospodarczym wielka zachodzi różnica pomiędzy dwoma rodzajami parcelacyi: rozprzedawaniem całych majątków i pozbywaniem się mniej dogodnych i mniej potrzebnych części dóbr.

W pierwszym wypadku pożytek zaszłej zmiany może podlegać bardzo zakwestyonowaniu. Znikanie w jakimś kraju z oblicza ziemi własności większej, i to znikanie z roku na rok stale, więcej może mieć stron szkodliwych i niebezpiecznych. Posiadacze ziemscy, rozporządzający większemi środkami intelektualnemi i materyalnemi, zajmujący wynioslejsze a niezależne stanowisko społeczne, mają do spełnienia zadanie poważne. Oni przechowują też zazwyczaj—co bynajmniej małoważnym nie jest—w łonie swoim pewne tradycye, przez życie wieków minionych przekazane, a bez których naród byłby, jak okręt bez balastu, w każdej chwili pozostający w równowadze niestałej. W całym kraju rozrzucone być winny posterunki, w których znaleźć-by mogły odbicie ogniska wiedzy i postępu, rozniecane w dobie dzisiejszej w miastach; nietylko rozwój, ale byt wymaga, aby w każdym zakątku ziemi naszej znalazły się umysły, chcące i umiejące ocenić doniosłość ulepszeń technicznych, zdolne wreszcie pojąć wszystkie tony hasel potężniejącej wciąż cywilizacyi. Drobną własność nie wyklucza oczywiście wysokich zdolności w posiadaczu, nie broni przejść przez ławy i egzaminy szkół wyższych; ale drobna posiadłość wymaga całego czasu, wymaga pracy twardej, nie pozostawia chwili wolnej i myśli swobodnej, nie daje wreszcie środków na wprowadzenie udoskonaleń gospodarczych, które zawsze pociągają za sobą znaczny nakład, kosztują wiele prób i niepowodzeń czasowych.

Każdy rodzaj warsztatu wymaga pewnego poziomu umysłowego; zdarzają się wypadki pojedyncze, iż czasem człowiek przenosi zajmowane stanowisko, czasem nie dorasta do niego; zwykle po pewnym przeciągu czasu, szczególnie w wypadku pierwszym, przychodzi do równowagi; zawsze prawie człowiek przebywa znaczną większość dzielącej odległości, zniża się do tego poziomu, jakiego wymaga rodzaj pracy, do jakiego usposabia otoczenie.

Właściciel drobnej działki ziemi może mieć w jakimś wypadku znaczne zasoby; w takim razie, albo za nie rozszerzy warsztat swój pracy i utworzy własność większą, albo środki jego, nie znalazłszy pola zastosowania właściwego, społecznie procentować nie będą. Biorąc zaś rzeczy nie tak, jak one być mogły, lecz tak, jak są, wiemy, iż u nas posiadacze drobnej własności stoją na niskim poziomie umysłowym,

rolę uprawiają i wogóle gospodarstwo prowadzą sposobami najpierwotniejszymi. Znikanie dóbr większych równało-by się gaśnięciu światła.

Wszelkie względy i zarzuty powyższe nie znajdują zastosowania, gdy część tylko większej całości zostaje rozparcelowaną.

Oczywiście zdarzyć się mogą i zdarzają się wypadki, że sprzedanie pierwszej części jest tylko wstępem, za nią pójdzie druga, trzecia i wreszcie dobra całe; bywa i tak, że właściciel, przyciśnięty potrzebą, odrywa niewłaściwie szmat ziemi i kaleczy sobie dobra. W większej jednak liczbie wypadków parcelacja częściowa jest raczej uregulowaniem gospodarstwa. Zmienia się rozległość majątku, ale charakter jego pozostaje ten sam, co dawniej.

Kontury dóbr są często bardzo dziwaczne, poszarpane; drogą parcelacyi jakiegoś bardziej odległego kawałka zaokrągla się całość, a ów kawałek, zbyt odsunięty od oka pańskiego, zaczyna teraz w ręku nowonabywców znacznie lepiej procentować. Często część poświęca się dla uratowania całości; wzięte ze sprzedaży pieniądze idą na spłatę długów, na melioracje i t. d. U nas, jak to już zauważyliśmy, obszary majątków są zbyt duże, nie odpowiadają pieniężnym i administracyjnym siłom właściciela. Drogą wyprzedaży części, kawałków, nowonabywcom drobnym można najwłaściwiej stosunek ten uregulować.

Słowem, kiedy parcelacja dóbr całkowitych, pochłaniając własność większą, przetwarza całkiem stosunki rolne, parcelacja częściowa jest w wielu wypadkach doskonałym środkiem ratowania majątku, stosunków nie zmienia, a tylko jednostki gospodarcze doprowadza do rozmiarów właściwych.

Wróciwszy jeszcze do naszego zestawienia rozwoju parcelacyi w okresach pięcioletnich, przekonywamy się, iż od r. 1865—1870 uległo rozprzedaży zarówno dóbr całych, jak i części, 10% całego rozparcelowanego obszaru. W okresie następnym parcelacja części dóbr całkowitych wzrasta znacznie, $2\frac{1}{2}$ raza prawie, i tworzy już 24%, parcelacja zaś cząstkowa stanowi tylko 17%. Od r. 1875—1880 znowu się liczby procentowe wyrównały, a więc teraz szybciej wzrasta parcelacja części dóbr, i takie szybkie stosunkowo wzrastanie mamy już aż do końca. Z tego wznosić-by można było, iż obecnie parcelacja gub. Radomskiej rozwija się więcej w kierunku pożądanym.

Długo zatrzymaliśmy się nad przedmiotem powyższym, bo też wobec doniosłości procesu parcelacyjnego posiada on wielkie znaczenie. Chcieliśmy też zwrócić uwagę, że ruch ten, pozostawiony, jak to się dotychczas dzieje, samemu sobie, powierzony wyłącznie wpływom zmiennych i nieobliczonych przyczyn naturalnych, nieujęty w plan, nie-

uregulowany dobrze obmyślaną interwencją rozumu ludzkiego, zamiast wielkich korzyści, przynieść może gospodarstwu narodowemu znaczne straty. Dopóki zaś wszystko jest oparte na domysłach, na pobieżnej znajomości paru wypadków, dopóty nic pewnego przedsięwziąć niepodobna.

Wszystkie cyfry, przez nas przytoczone, są tylko mniej lub więcej zbliżone do prawdy i niewystarczają zupełnie do dokładnego poznania wewnętrznej strony zjawiska. Nie może naprzykład ulegać wątpliwości, że serwituty muszą wpływać, i to zapewne silnie wpływać, na przebieg parcelacyjnego procesu. W jaki to zaś sposób się odbywa i w jakim sensie, niewiadomo, bo brak danych. Domyslać się tylko można, że ciężary serwitutowe przeszkadzają rozdrabnianiu całkowitych majątków. Jednocześnie układy o usunięciu serwitutów były prawdopodobnie przyczyną niejednej parcelacji cząstkowej.

Powtórę: niezmiernie ważnym jest w danym razie pytanie, jakie cele, jakie zamiary wywołują parcelację częściową? Czy dzięki jej znikają, czy też tworzą się szachownice?—t. j. czy jednostki gospodarcze zaokrąglają się, czy też tracą kształty właściwe; czy parcelacja jest rozumnym, obmyślanym, dobrowolnym postępkiem, czy też chwytniem się tonącego za ostrze brzytwy?

Nie także nie wiemy o skutkach parcelacji cząstkowej, o wpływie jej na pomyślność lub upadek tych dóbr, które się do niej uciekły.

Lecz, co jeszcze ważniejsza, brak danych nie pozwala nam z dostateczną siłą wykazać, że utrudnienia, napotymane przy usuwaniu serwitutów i separowaniu gruntów, szkodzą więcej włościanom, niż własności większej. Dokąd badania przysze nie wypełnią w zupełności luk, dziś istniejących, zadowolnić się musimy tém, co jest; niejakiego światła udziela nam obliczenia, dokonane na zasadzie posiadanych przez nas wypisów hipotecznych o cenach, płaconych przez parcelantów, zarówno przy nabywaniu części dóbr, jak i całych majątków.

V.

Przedewszystkiem zwrócić uwagę należy, że, o ile idzie o sumy szacunkowe, księgi hipoteczne drobnej własności są dokładniejsze i podają cyfry bliższe prawdy, niż w majątkach dużych. Tylko w bardzo rzadkich wypadkach może się tu zdarzyć, iż, dla oszczędzenia sobie jakiejś części opłat stemplowych, wykazywaną bywa wartość niższa od rzeczywistej. Chodzi o zbyt małe rzeczy, aby się ryzyko opłaciło. Włościanie przytém, w rzeczach procedury hipotecznej nie-

biegli, względem doradców nieufni, nie godzą się na wpisanie kwot mniejszych, jak te, które płacą.

Zmiany, jakim uległy ceny na ziemię, nabywaną przez parcelantów w guberni Radomskiej, były następujące:

	przy parcelacji dóbr całkowitych płacono przeciętnie za morgę:	przy parcelacji części majątków płacono przeciętnie za morgę:
do r. 1865	20	51
w okresie 1865--70	25	26
„ „ 1870—75	32	28
„ „ 1875—80	38	27
„ „ 1880—85	55	52
„ „ 1885—90	45	46
przeciętnie	40	38

Widzimy, iż ceny, płacone za morgę przy parcelowaniu całych dóbr i części majątków, niezbyt się od siebie różnią. Czas przed r. 1865 w rachubę brany być nie może, gdyż parcelacya była wtedy wypadkiem wyjątkowym. W czasach późniejszych, tylko w okresie 1875—80, różnica w cenach morgi wynosi 11 rs., w innych stanowi rubla, dwa, najwyżej cztery. Z wyjątkiem lat początkowych i ostatniego pięcioletnia, wszędzie przy kupnie całych dóbr znajdujemy ceny wyższe, niż przy nabywaniu części. Skąd to pochodzi—trudno wiedzieć; zapewne w różnych wypadkach działają różne przyczyny. Znowu dla wyjaśnienia zjawiska czekać musimy, aż przeprowadzone zostaną badania szczegółowe. Zwraca jeszcze uwagę okoliczność, że przy parcelacji części dóbr spotykamy wahanie się cen większe, niż przy parcelowaniu całych majątków.

W drugim wypadku cen rażąco niskich w danych naszych prawie nie znajdujemy. Parę razy tylko cyfra szacunku za morgę niższą jest od 20 rs., i to w wypadkach wyjątkowych, przy sprzedaży dóbr przez licytację, lub w latach dawnych, w 1861, 1865. Równie rzadko zdarzają się ceny wyższe od 80 rs.

Przy parcelacji częściowej dosyć często trafia się 8, 9, 10 rs. za morgę, z drugiej zaś strony mamy wypadek (sprzedaż łąki), iż za morgę zapłacono 197 rs.; cyfry, o parę dziesiątków przenoszące sto, nie stanowią osobliwości. Niskie ceny mogą pochodzić stąd, że właściciele dóbr rozprzedają jakieś nieużytki, bagniska i t. d.; lub może owe 8 rs. za morgę stanowią dopłatę do zamian serwitutowych.

Ceny, odskakujące daleko w górę od cyfr przeciętnych, prawdopodobnie płacone były przy nabywaniu najlepszych części majątku: łąk, lasów, zabudowań i t. d., co można uważać za pewnego rodzaju dewastację majątku.

Przeciętne cyfry cen, które powyżej zestawiliśmy w dwóch kolumnach, zmieniają się dosyć prawidłowo: do r. 1885 idą w górę—czego się można było spodziewać, gdyż do téj epoki parcelacya z roku na rok rosła, więc popyt na ziemię wzmagał się; po r. 1885 osłabnięcie ruchu parcelacyjnego obniża ceny. Tu zresztą znowu przy kupnie całych dóbr spotykamy prawidłowość większą, niż przy nabywaniu części majątku. W pierwszym wypadku wzrost cen jest nieustanny i niemal równomierny; w drugim zaś, od r. 1865 aż do 1880, szacunki nie zmieniają się prawie, — widzimy tam liczby 26, 28, 27 rs. Nagle w okresie 1880—1885 skok w górę jest znaczny, otrzymujemy cenę morgi—52 rs., t. j. prawie dwa razy więcej, niż w okresie poprzedzającym.

Początkowo więcej płacono za ziemię przy parcelacyi części majątków, w końcu przy nabywaniu dóbr całkowitych, wreszcie w ostatniem pięcioleciu cyfry są prawie jednakowe.

Czy jednak wykazane zmiany i różnice odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy w kraju całym?—to pytanie nie bez znaczenia dla gospodarstwa narodowego.

Przy parcelacyi całych dóbr do ogólnego szacunku wchodzi wartość budynków; przy parcelacyi części majątków ma to miejsce zapewne tylko kiedy niekiedy. Ta jest niewątpliwie przyczyna, dlaczego cena ziemi w pierwszym wypadku jest wyższą, niż w drugim. Dziwić się tylko należy małym rozmiarom różnicy, gdyż wynosi ona przeciętnie ledwie rs. *dwa*.

Von der Goltz ¹⁾ oblicza dla Niemiec, iż wartość budowli jest: *niską*, jeżeli nowe stanowią 20—25%, a stare 15—0% ogólnego szacunku dóbr;

<i>średnią</i> , „ „ „	26—32%	„	21—24%	„
<i>wysoką</i> , „ „ „	33—40%	„	25—30%	„

Kraft ²⁾ wartość budowli nazywa:

<i>niską</i> , jeśli tworzą	—20%	ogólnęj wartości dóbr;
<i>średnią</i> , „ „	25—40%	„ „ „
<i>wysoką</i> , „ „	40—50%	„ „ „

Papst przyjmuje też same cyfry.

W Księstwie Poznańskiem ³⁾ wartość gruntu obliczana jest przeciętnie 570 marek za morgę. Szacunek zaś budynków na całym obszarze wynosi na morgę 121 marek, t. j. 21% liczby poprzedniej.

¹⁾ „Betriebslehre.“ Berlin 1886 str. 114.

²⁾ „Betriebslehre.“ 2 wydanie 1879 r. str. 32.

³⁾ Seelhorst. „Die Belastung der Grundrente durch das Gebäudekapital in der Landwirtschaft.“ Jena 1890.

Wobec tego przypuszczać można było, iż szacunek morgi u nas w dobrach, nabywanych całkowie, będzie, licząc wyrozumiale, o 20, 15, a niechby tylko o 10% wyższy, niż przy parcelowaniu części. Tymczasem na 40 rs. znaleźliśmy różnicę 2, a więc 5% zaledwie. Albo więc budynki w dobrach parcelowanych były w stanie bardzo lichym i faktycznie stanowić nie mogły żadnej wartości dla nowonabywców—słowem było to zdarzenie w części wypadkowe; albo też przy tego rodzaju tranzakcyach budynki nie są wogóle brane pod uwagę, a parcelanci szacują tylko grunt. Za ostatniem przypuszczeniem przemawiać się zdają cyfry z gub. Płockiej, wyższe znacznie, niż ceny morgi w dobrach rozparcelowanych w gub. Radomskiej.

W artykule poprzednim (str. 556) przytoczyliśmy przeciętne ceny, otrzymane przy sprzedaży ziemi z wolnej ręki i na licytacyach w gub. Płockiej. Widzieliśmy tam, że cena ziemi w r. 1885 jest wyższa znacznie niż w latach następnych; wynosi ona wtedy średnio 57 rs. za morgę, w roku zaraz następnym suma szacunkowa spada odrazu na 48 rubli, a w r. 1890 nawet na 45. Przeciętna cena morgi w tym okresie tworzy 50 rs., t. j. o 7 rubli mniej od szacunku r. 1885.

Widzimy przytém, że w Płockiej gubernii ceny ziemi, sprzedanej z wolnej ręki (57 rs. za morgę), nawet w czasach spadku cen, wyższe są od szacunków, płaconych przy parcelacyi za cały okres od 1859—1890 r. Co więcj: w Płockiej gubernii ziemia, przechodząca przez licytację, szła wyżej, niż w Radomskiej, przy częściowem sprzedawaniu działek majątków.

Oczywiście porównywać cen z dwu okolic, różnych co do gleby i co do położenia, nie można. A przytém zwrócić musimy uwagę, że w gub. Płockiej drobna własność od dawnych czasów dużą odgrywa rolę. W roku 1890 posiadłość ziemska składała się z następujących pierwiastków:

	Gruntów użytkowych w t y s i ą c a c h	Lasów i krzaków	Nieużytków m ó r g
W dobrach szlachty i duchowieństwa	580	226	44
„ szlachty zagonowej	319	42	21
„ włościan i kolonistów	548	10	17
„ kupców i mieszczan i t. d.	21	0.1	0.2
A zatém gruntów użytkowych znajduje się:			
W dobrach szlachty i duchowieństwa		39.5%	
„ szlachty zagonowej		21.7%	
„ włościan i kolonistów		37.4%	
„ kupców, mieszczan i t. d.		1.4%	
		<hr/>	
		100%.	

Razem więc do właścicieli drobnych, włościan i szlachty zagonowej, należy blisko 60% gruntów użytkowych. Zobaczmy teraz, jakie są rozmiary w gub. Płockiej mająteczków szlachty zagonowej i chłopów. Zaczniemy od szlachty. Należy do niej 41,237 głów—8,700 osad i 382 tysiące mórg. Na jedną więc osadę przypada blisko 44 morgi, na jedną głowę—9.3 morgi.

Włościanie liczą 448,000 głów, posiadają 49,681 osad i 575 tysięcy mórg. Jedna osada przeciętnie obejmuje 12 mórg, na głowę zaś wypada 1.3 morgi. ¹⁾

Nadmienić trzeba, że do obrachunku powyższego nie weszła znaczna liczba osad, rozdzielonych w tabelach likwidacyjnych na kilka własności.

Zachodzi teraz pytanie: czy wysokie ceny ziemi w gub. Płockiej nie były właśnie wynikiem wielkiej liczby drobnej własności, a wskutek tego większego tam, niż w innych częściach kraju, popytu na ziemię?

Jeszcze jedną okoliczność zbadać-by należało. Dochodzenie urzędowe, wszczęte z powodu emigracyi, wykryło, iż znaczna liczba włościan od lat już wielu wyjeżdżała do Stanów Zjednoczonych Ameryki i zaoszczędzone tam pieniądze, w kwotach względnie wysokich, nadsyłała lub przywoziła do kraju. Taki dosyć znaczny przyływ gotówki mógł mieć wpływ; za bardzo prawdopodobne uważać należy, że szczęśliwi odbiorcy lokowali ją, wedle zwyczaju, w gruntach.

Przejdźmy teraz do gub. Piotrkowskiej. Tam ceny ziemi rozparcelowanej bardziej są jeszcze zmienne, niż w gub. Radomskiej. W pow. Łódzkim np. sprzedano 34 morgi po 5 rs. za morgę; w Noworadomskim 168 mórg po 6 rs.; w Będzińskim 96 mórg po 7 rs.; i w Łaskim 1,309 mórg również po 7 rs. Są to ceny nadzwyczajnie niskie; a obok tego znajdujemy 311 i 321 rs. za morgę (w pow. Łódzkim), a nawet 500 i 833 rs. za morgę (w pow. Będzińskim). Dwa ostatnie wypadki zresztą w rachubę brane być nie powinny, gdyż za 500 rs. sprzedano jedną morgę, po 833 rs.—trzy. W każdym razie cena morgi, przenosząca o parę dziesiątków sto rubli, rzadkością tu nie jest. Pochodzi to niewątpliwie stąd, iż w gub. Piotrkowskiej

¹⁾ Własność szlachty drobnej i włościan w gub. Płockiej rozpada się na następujące grupy wedle rozmiarów:

	Własność szlachty zagonowej:	Własność chłopska:
do 3 mórg	600 osad	27,249 osad
od 3—15 "	3,000 "	19,245 "
wyżej 15 "	5,100 "	3,187 "
Razem	8,700 osad	49,681 osad

jest wiele osad fabrycznych, noszących nazwy wsi, ale faktycznie posiadających stosunki miejskie, gdzie się ziemia pod budynki kupuje na łokcie kwadratowe. Dostyć wspomnieć o Sosnowcu, liczącym dziś pewnie do 20,000 mieszkańców, a niebędącym nawet osadą. W dodatku, w pow. Bendzińskim znajdują się kopalnie. Średnia cena morgi w gub. Piotrkowskiej waha się pomiędzy 40 a 89 rublami.

Widzimy przytém, że tu, odwrotnie niż w gub. Radomskiej, ceny, płacone za ziemię przez parcelantów, wyższe są, niż przy ogóle transakcyi w gub. Płockiej.

VI.

Teraz z kolei poznać nam wypada, jakich rozmiarów dobra najczęściej ulegają sprzedaży cząstkowej.

Najwięcej dóbr parceluje się z naszej grupy II-jej t. j. od 60 do 600 mórg. Na ilość stanowią one wśród ogółu dóbr rozparcelowanych 68.3^o/_o, na obszar aż 71.9^o/_o.

Po tej grupie najczęściej przestrzeni ustępuje parcelacyi grupa posiadłości średnich (od 600—1,500 mórg). Chociaż na ilość daje ona 5.6^o/_o, na obszar jednak 18.8^o/_o.

Wielka posiadłość parceluje się bardzo mało. Majątki rozparcelowane z grupy od 50 do 100 włók tworzą ledwie 0.8^o/_o wszystkich dóbr rozparcelowanych, a obszar 6.8^o/_o.

W grupie fortun magnackich, przynoszących 100 włók, parcelacyi już wcale nie spotykamy.

Parcelują się nawet majątki najmniejsze, nie sięgające 60 mórg, i to parcelują się w znacznej liczbie. Dane nasze wykazują 227 wypadków, co stanowi 25.3^o/_o ogółu, a pod względem terytorjum daje 2.5^o/_o, t. j. półtrzecia raza więcej, niż grunta tej grupy tworzą wśród ogółu gruntów hipotecznych (1^o/_o).

Rezultat powyższy można było przewidywać. Duże obszary, które-by właściciele rozparcelować chcieli, są tak odłużone, że nielatwo je, nawet przy pomocy pośredników-przedsiębiorców, sprzedać w całości nabywcom, mniej niż średniej zamożności, którzy z wysiłkiem mogą zdobyć się na kupno jednej lub dwu włók; dla sprzedania majątku, np. liczącego 3,000 mórg, tego rodzaju kupców trzeba-by znaleźć 50—100, co już jest rzeczą nielatwą. Dalej ciżba różnorodna musiała-by się porozumieć co do podziału bardzo niejednorodnemi, w większości wypadków, częściami majątku: rolą rozmaitej wartości, pastwiskami, łąkami, wreszcie nieużytkami, których w dużych folwarkach najczęściej nie brak. Pewną przeszkodę stanowi niezawodnie i to,

że majątki duże posiadają częściej odpowiednie domy mieszkalne, zabudowania dworskie, ogrody kosztownie urządzone, oranżerye, parki i t. d. Przy rozparcelowaniu, rzeczy te musiały-by prawdopodobnie iść narówni z lepianką lub chlewkiem drewnianym, a parki i ogrody oszacowane-by zostały wedle rozległości gruntu i wartości opałowej lub budulcowej drzewa. Przekonałiśmy się już z cyfr, iż nawet przy kupowaniu dóbr mniejszych, gdzie budynki mogą być nowonabywcom bardziej przydatne, nie wywierają one widocznego wpływu na szacunek ziemi.

Z drugiej strony i parcelowanie drobniutkich mająteczków téż nie może być bardzo częste i powszechne, więc téż otrzymujemy największą ilość wypadków parcelacyi wśród majątków, nieprzenoszących włók 20-tu, które nabyć może kółko drobnych właścicieli, zwykle znających się między sobą i znających bezpośrednio wartość majątku.

Postawmy obok siebie liczby następujące:

					wśród rozparcelowanych
Dobra najdrobniejsze	wśród ogółu majątków	tworzą	22 ⁰ / ₀ ,		25 ⁰ / ₀
„ małe	„ „ „	„	49 ⁰ / ₀ ,		68 ⁰ / ₀
„ średnie	„ „ „	„	20 ⁰ / ₀ ,		6 ⁰ / ₀
„ większe	„ „ „	„	6 ⁰ / ₀ ,		4 ¹ / ₅ ⁰ / ₀

Czyli z grupy majątków od 2—20 włók parceluje się nietylko absolutnie najwięcej dóbr, coby mogło być rezultatem największej ilości wogóle dóbr w tych granicach zawartych; lecz i stosunkowo najwięcej, bo kiedy wśród ogółu majątki téj grupy stanowią 49⁰/₀, wśród parcelowanych 68⁰/₀, a więc obszary pomiędzy 60—600 mórg, jak się okazuje, w obecnych warunkach najbardziej kwalifikowały się do parcelacyi.

Prócz tego, tylko w grupie do 60 mórg znajdujemy stosunek podobny: dóbr wogóle jest 22⁰/₀, rozparcelowanych zaś aż 25⁰/₀.

Wśród posiadłości średniej dóbr wogóle jest stosunkowo prawie 4 razy więcej, niż dóbr parcelowanych, wśród dużej—aż przeszło 7 razy.

Przyjrzyjmy się zjawisku temu, o ile cyfry nasze pozwolą, jeszcze bliżej:

W grupie I-ój	przeciętny majątek wogóle	wynosi	.	22.6 mórg
„ —	„ „ parcelowany	„	.	22.3 „
„ II-ój	„ „ wogóle	„	.	260 mórg
„ —	„ „ parcelowany	„	.	230 „
„ III-ój	„ „ wogóle	„	.	925 mórg
„ —	„ „ parcelowany	„	.	748 „
„ IV-ój	„ „ wogóle	„	.	1,791 mórg
„ —	„ „ parcelowany	„	.	1,945 „

W pierwszej grupie przeciętny majątek rozparcelowany jest prawie równy przeciętnemu majątkowi wogóle; znaczy to, że parceluje się równomiernie posiadłość wszelkich, pod względem obszaru, stopni - największa i najmniejsza, o ile naturalnie ostatnie jest możliwem.

W grupie II-ój i III-ój przeciętna rozległość rozparcelowanych dóbr niższą jest od przeciętnej rozległości wszystkich majątków; a więc w każdej z tych grup, pojedynczo wziętych, parceluje się przedewszystkiem własność mniejsza, leżąca bliżej dolnej granicy.

Gdybyśmy więc grupę II-gą rozdzielili jeszcze na dwie części, to większa część parcelowanych posiadłości przypadła-by w części pierwszej, t. j. w granicy pomiędzy 2-ma a 11-ma włókami; a więc takie parcelacye odbywają się obecnie wogóle najczęściej.

Nie koniec na tém; równomierne parcelowanie się własności bardzo drobnej, częstsze wypadki parcelacyi drobniejszych mająteczków w grupie II-ój i szybki spadek ilości wypadków parcelacyi w grupie III-ój, dowodzą, iż posiadłość, najłatwiejsza do parcelowania, która też głównie ulega tego rodzaju procesowi rozkładowemu, typ niejako dóbr parcelujących się obecnie, liczy mniej niż 300 mórg, czyli 10 włók. Im dalej posuwać się będziemy w dół lub w górę od tego typu, tém ilość parcelacyi zdarzać się będzie rzadziej: w górze np. już po 1,500 morgach staje się sporadyczną, może wypadkową, a w końcu po 3,000 nie spotykamy jój już zupełnie. ¹⁾

To nas doprowadza do wniosku, że wskutek parcelacyi znikają zupełnie całe folwarki, t. j. że ona nie reguluje, lecz przekształca stosunki rolnicze, w sposób, jak to dowodziliśmy, wcale niepożądany. Na okoliczność tę baczną uwagę zwrócić powinni dbali o dobro kraju sterownicy społeczeństwa.

¹⁾ Z tego, że w grupie dóbr większych przeciętna majątków parcelowanych przenosi przeciętną majątków wogóle, nie należy zbyt pospiesznie wyciągać wniosku, iż parcelują się tam przeważnie majątki duże, gdyż liczby absolutne są zbyt małe, aby pozwoliły mogły na jakiś wniosek ogólny, a mianowicie: w grupie té rozparcelowano ledwie 7 dóbr, jeden więc majątek rozparcelowany duży mógł wysoko podnieść liczbę przeciętną.

Tak się téż stało. Z 7-u majątków, rozparcelowanych w téj grupie, 4 nie sięgają 2,000 mórg, a z nich trzy ledwie, ledwie, przekraczają dolną granicę (1,521—1,535 i 1,545 mórg), 2 nieco przenoszą 2,000 mórg (2,027 i 2,135 mórg), a tylko jeden zbliża się mocno ku granicy górnej i ten spowodował taką wysokość liczby przeciętnój. Oczywiście jeden wypadek, może jakiś wyjątkowy, nie dowodzi niczego.

Największy ten z majątków, rozparcelowanych w 50 naszych powiatach, leży w powiecie Mławskim gubern. Płockiej, liczy mórg 2,987 i nazywa się Wietuń. Obciążony jest długiem Towarzystwa, wynoszącym 5,200 rubli i prywatnym — 3,300 rubli.

VII.

Wypada nam jeszcze poznać, jak wielkiemu podziałowi ulega ziemia przy procesie parcelacyjnym. Znowu weźmiemy gub. Radomską, gdyż posiadamy dla niej największą liczbę danych. Gdybyśmy całą ziemię rozparcelowaną podzielili na 5 grup, stosownie do obszarów kolonii, a mianowicie: I na parcele sięgające 10 mórg, II liczące od 10—20 mórg, III liczące od 20—30 mórg, IV od 30—60 mórg i V przenoszące 60 mórg; toby się przedewszystkiem okazało, iż od samego początku aż do ostatniej chwili rozpadanie się dóbr na gospodarstwa drobne wszystkich pięciu kategorii szło całkiem równomiernie. Do r. 1885 ilość tranzakcyi na parcelacyę wszelkich rozmiarów wzrasta — od téj daty maleje. Poniżej zestawiamy liczby, otrzymane dla każdej z wymienionych grup i zebrane za cały czas, w którym się parcelowania odbywały.

	Ilość lokowanych tranzakcyi	o/o	Ilość nabytych przez parcelantów mórg w tys.	o/o	Cena morgi	Przeciętny obszar kolonii w morgach
Kolonie liczące mniej niż 10 mórg	255	42.2	28	19.0	41	6
„ od 10 — 20 „	209	34.6	65	44.7	37	15
„ „ 20 — 30 „	74	12.3	29	19.9	41	24
„ „ 30 — 60 „	46	7.6	16	11.0	33	37
„ „ wyżej 60 „	20	3.3	8	5.4	41	150
		100		100		13 ogólna przeciętna rozległość parceli.

Największa ilość kolonii, prawie połowa liczby ogólnej, nie przenosi 10 mórg, najwięcej zaś ziemi — znowu połowę niemal — zajmują parcele od 10 do 20 mórg. Połączywszy zaś obie te grupy, otrzymamy, iż ogromna większość ziemi, nabytej przez parcelantów, rozpada się na działki drobnutkie, niewynoszące nawet $\frac{2}{3}$ jednej włóki.

Gospodarstw, liczących więcej niż włókę, pozostaje z parcelacyi ledwie $\frac{1}{10}$ część, obejmują zaś one trochę więcej niż $\frac{1}{6}$ część gruntów rozparcelowanych.

Ogólna przeciętna niższa jest o 2 morgi od połowy włóki. Wśród cen widzimy różnice, ale powiedzieć nie można, aby przy parcelacyi na kolonie mniejsze płacono drożej lub taniej ¹⁾.

Zupełne wyjaśnienie danej kwestyi wymagało by jeszcze poznania: czy wytworzone przez parcelacyę jednostki gospodarcze odpowiadają wymaganiom i potrzebom ekonomii krajowej? w ilu wypadkach nowonabyte działki przyłączone zostały do osad już istniejących, i jakich rozmiarów były ostatnie? jak również: w ilu wypadkach powstały gospodarstwa nowe i niezależne i jakie zajmują obszary? Dla ocenienia

¹⁾ Kolonizacya w gub. Radomskiej. Wykaz ogólny z podziałem na peryody i grupy:

OKRESY.	Na 1-ną kolonię do 10-ciu mórg			Na 1-ną kolonię od 10 do 20 mórg			Na 1-ną kolonię od 20 do 30 mórg		
	Ilość tran-zakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgy	Ilość tran-zakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgy	Ilość tran-zakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgy
do r. 1865	"	"	"	"	"	"	2	1029	38
1865 — 1870	12	1436	30	19	5477	24	15	6412	28
1870 — 1875	36	4445	27	39	12662	30	17	6363	30
1875 — 1880	66	8285	33	58	21869	26	10	4959	39
1880 — 1885	89	9351	55	79	22809	53	25	9802	57
1885 — 1890	52	4471	45	14	2690	46	5	724	55
	255	27988	41	209	65507	37	74	29289	41
% stosunek do ogólnych sum za cały okres	42.2%	19.0%	"	34.6%	44.7%	"	12.3%	19.9%	"
Średnio na 1 kolonię mórg:		6.			15.			24.	

roli i skutków parcelacyi pytania powyższe posiadają doniosłość wielką, ale i tu brak danych zaraz na samym brzegu zagradza drogę i dojsć nie pozwala do rezultatów dostatecznie pewnych.

VIII.

Parcelacya nie we wszystkich częściach kraju naszego rozwijała się jednostajnie i równomiernie. Przeciwnie, istnieją znaczne różnice: w niektórych guberniach znajdujemy dotkniętych przez nią parę setek dóbr, w innych znowu cyfry bardzo drobne. Na poniżej zamieszczonej tablicy wypisaliśmy z wykazów hypotecznych ilość dóbr rozparcelowanych w każdej grupie majątków i w każdej gubernii, a obok zamieściliśmy liczby, wyrażające, w jakim stosunku ta ilość pozostaje do ogółu dóbr hypotecznych w danej kategorii własności i w danej miejscowości.

OKRESY.	Na 1-ną kolonię od 30 do 60 mórg			Na 1-ną kolonię więcej niż 60 m.		
	Ilość tran- zakcyi	Ilość mórg	Szacunek za mórgę	Ilość tran- zakcyi	Ilość mórg	Szacunek za mórgę
do r. 1865	2	665	17	1	495	22
1865 — 1870	5	1503	16	3	592	32
1870 — 1875	9	2680	30	6	1849	35
1875 — 1880	10	2600	33	5	3338	40
1880 — 1885	13	5950	36	5	1684	60
1885 — 1890	7	2894	43	"	"	"
	46	16292	33	20	7958	41
% stosunek do ogólnych sum za cały okres }	7.6 %	11.0 %	"	3.3 %	5.4 %	"
Średnio na 1 kolonię mórg:		37.			150.	

Ilość dóbr rozparcelowanych.

Gubernie	Do 60 mórg	Od 60—600 mórg	Od 600—1500 mórg	Od 1500 do 3000 mórg	Razem dóbr z przestrzenią określoną	Dobra z przestrzenią nieokreśloną
Lubelska . . . (bez 2-u powiatów)	58	152	5	1	216	42
Kaliska . . .	71	136	3	—	210	66
Piotrkowska . .	46	110	14	1	171	71
Siedlecka . . .	12	111	19	2	144	102
Płocka	23	80	8	1	112	256
Suwalska . . .	16	22	1	2	41	16
Warszawska . . (tylko 2 powiaty)	1	1	—	—	2	16
Razem . .	227	612	50	7	896	569

Ale cyfry absolutne w danym wypadku wystarczyć nie mogą: aby mieć pojęcie o rozmiarach ruchu parcelacyjnego w różnych częściach kraju, musimy jeszcze poznać, w jakim stosunku pozostaje ilość dóbr rozparcelowanych do ogółu dóbr w każdej z grup i w każdej z gubernii, przez nas badanych.

%, jaki dobra rozparcelowane tworzą wśród ogółu dóbr danej grupy i w danej gubernii.

Gubernie	Dobra do 60 mórg	Dobra od 60—600 mórg	Dobra od 600—1500 mórg	Dobra od 1500 do 3000 mórg	Razem dóbr z przestrzenią określoną	Dobra z przestrzenią nieokreśloną
Lubelska . . . (bez 2-u powiatów)	13.3	34.4	3.0	1.3	19.0	11.4
Kaliska	18.0	17.6	1.0	—	13.2	19.3
Piotrkowska . .	12.3	17.8	6.4	1.6	13.3	18.0
Siedlecka . . .	48.0	37.5	13.1	3.0	25.7	46.0
Płocka	13.2	8.8	2.8	2.7	7.9	29.5
Suwalska . . .	15.8	5.4	1.2	9.0	6.6	6.0
Warszawska . . (tylko 2 powiaty)	4.3	1.1	—	—	1.3	18.6
Przeciętnie .	17.5 ⁰ / ₀	21.1 ⁰ / ₀	4.2 ⁰ / ₀	1.9 ⁰ / ₀	15.4 ⁰ / ₀	27.1 ⁰ / ₀

Najwięcej dóbr, przeszło ćwierć ich ogółu, pochłonęła parcelacya w gub. Siedleckiej. Najmniej w gubernii Warszawskiej, bo tylko 1%. Majątków najdrobniejszych cząstkowej rozsprzedaży w gub. Siedleckiej uległa blisko połowa (48%), w Kaliskiej 18%, w dwu zaś powiatach gub. Warszawskiej ledwie 4.3%.

Majątków od 60—600 mórg rozparcelowano przeszło trzecią część w guberniach Siedleckiej i Lubelskiej (37.5% i 34.4%); przeszło szóstą część w Piotrkowskiej i Kaliskiej (17.8%, 17.6%), w Warszawskiej tymczasem ledwie setną część (1.1%).

Dobra od 600 — 1500 mórg parcelują się znacznie słabiej: tylko w gub. Siedleckiej znajdujemy liczbę procentową przynoszącą 10% (13.1%), we wszystkich innych są one mniejsze. W gub. Kaliskiej i Suwalskiej parcelacya dotknęła setną tylko część ogółu majątków; w Warszawskiej wcale jej nie było.

Dóbr od 1500—3000 mórg najwięcej sprzedaży cząstkowej ulega w gub. Suwalskiej — 9%; dopiero potem idzie Siedlecka (3%), Płocka (2.7%); w gub. Kaliskiej dobra tych rozmiarów nie parcelują się już wcale.

Jeżeli połączymy dobra z przestrzenią określoną, to się okaże, iż parcelacya zabrała z pomiędzy nich blisko $\frac{1}{6}$ część (15.4%). Jest to liczba olbrzymia. Składa się na nią 17% majątków najdrobniejszych, 21% małych, 4.2%—średnich, i blisko 2% dużych. Prócz tego rozparcelowano jeszcze 27% dóbr z przestrzenią nieokreśloną.

Widzimy więc, że parcelacya doszła do rozmiarów bardzo dużych i tworzy zjawisko, z którym teoretycy i praktycy, dbali o pomysłny bieg spraw ekonomicznych społeczeństwa, rachować się bardzo powinni.

Toż samo, cośmy wyżej zrobili dla ilości dóbr, powtórzymy jeszcze dla ich obszarów, to jest: obok ilości rozparcelowanych w każdej gubernii mórg (już bez podziału na grupy) podajemy procentowy ich stosunek do ogółu ziemi, posiadającej księgi hypoteczne w danej miejscowości.

Gubernie	Ilość ziemi rozparcelowanej w tysiącach mórg	% stosunek do ogółu ziemi w danej gubernii
Lubelska (bez 2 powiatów)	36.0	6.7%
Kaliska	39.1	4.6
Piotrkowska	37.0	6.3
Siedlecka	48.6	8.7
Płocka	30.0	5.1
Suwalska	8.7	3.0
Warszawska (tylko 2 powiaty)	0.5	0.5
Razem	199.9	5.7%

Otrzymaliśmy, że parcelacyi uległo tylko 5.7% ogółu przestrzeni, kiedy dla dóbr wypadła liczba blisko trzy razy większa—15.4%. Jest to jednak rezultat bardzo naturalny, gdyż średnie i większe dobra mniej ulegają sprzedaży cząstkowej, niż dobra małe, największe zaś fortuny są całkiem niedostępne dla parcelacyi. W każdym razie i tu rezultat nie jest mały; w tym wypadku liczba, tworząca blisko 6%, jest ilością całkiem poważną.

Prócz tego pod tym względem posiadamy jeszcze dane dla gub. Radomskiej, w której parcelacya doszła do znacznych rozmiarów, gdyż zabrała aż 147 tysięcy mórg. Z tego wynikałoby, że w gubernii Radomskiej ruch parcelacyjny doszedł do rozmiarów znacznie większych, niż w 7-iu guberniach, co do których posiadamy dane bezpośrednio w księgach hipotecznych. Z takim wnioskiem jednak spieszyć się zbytnio nie należy, gdyż cyfry, z różnych źródeł pochodzące i z różnaitem pojmowaniem rzeczy zbierane, najczęściej nie nadają się do porównań i zestawień bardzo ścisłych.

Z gubernii, dla których dane są całkiem jednorodne, najwięcej absolutnie i stosunkowo pochłonęła parcelacya zarówno dóbr jak i obszarów w gubernii Siedleckiej, mianowicie przeszło czwartą część majątków i blisko jedenastą część ziemi. Potem idzie gubernia Lubelska, w której rozparcelowano blisko piątą część dóbr i czternastą część obszaru. Prócz tego jeszcze w gub. Piotrkowskiej rozparcelowano ziemi więcej, niż wskazuje cyfra przeciętna, ale dóbr mniej. Najmniej absolutnie i stosunkowo sprzedaż cząstkowa zabrała dóbr i mórg w gubernii Suwalskiej oraz w dwu powiatach gub. Warszawskiej, co do których posiadamy dane.

IX.

Równie ważne, a może i ważniejsze od poprzednich, były-by badania nad przebiegiem procesu parcelacyjnego, t. j. wiadomości o sposobach kupowania dóbr, dzielenia się nimi przez drobnych nabywców, a wreszcie i o gospodarce parcelantów. Niestety, jednak wiadomości takich brak zupełny. Wypisy z ksiąg hipotecznych niewiele oczywiście pod tym względem objaśnić mogą, najwyżej tu i owdzie da się odszukać jakaś bardzo ogólnikowa wskazówka. I tą drobnostką jednak, jaką znaleźliśmy, podzielimy się z czytelnikami, gdyż innego materiału dla dokładniejszego poznania rzeczy dotychczas niema.

Nie wytworzył się jeszcze typ najodpowiedniejszego postępowania przy parcelowaniu dóbr. To też stosunki pomiędzy parcelantami kształtują się w sposób najrozmaitszy, nieraz nawet bardzo dziwaczny.

Częstokroć w księgach hipotecznych figuruje parę tylko osób w charakterze nabywców; prawa reszty spółników ubezpieczają się za pomocą ewikyci nieograniczonych zaraz po Towarzystwie Kredytowém. Powstaje nawet przypuszczenie, że wskutek tego hipoteka nie wykaże nam wszystkich wypadków parcelacyi, gdyż tytuł własności może być przepisany na jednego nowonabywcę, lub może nie być przepisany wcale i w książce figuruje dalej właściciel dawny.

Zdarza się, iż wszyscy, a przynajmniej znaczna część nabywców zapisuje nazwiska swoje w księgach hipotecznych. I w takim wypadku nie obywa się bez zabezpieczeń w postaci ewikyci, za pomocą których współwłaściciele regulują swoje stosunki wewnętrzne. Najczęściej dług Towarzystwa pozostaje. Spotkać można wypadki, że 130 właścicieli mieści się na przestrzeni kilkudziesięciu włók dawnego dominium. Jako przykład możemy wskazać dobra Ostrów i Jeziorko, które 49 współwłaściciele nabyło za 43,500 rs. Ubezpieczeń kaucyjnych zapisano 69. Dług Towarzystwa pozostał i wynosi 14,650 rs.

Pomiędzy parcelantami wśród chrześcian nie rzadko spotkać można żydów. W niektórych wypadkach stało się to dlatego, że żyd sprzedawał majątek i zachował sobie drobną część jego. W innych żydzi są takimiz nabywcami, jak i chrześcianie. Nie można objaśnić tego faktu jakąś kombinacją kredytową, gdyż wpisy kaucyjne wcale na to nie wskazują; powtóre: zdarza się, iż znajdujemy pojedynczych żydów wśród 30 chrześcian w dobrach, które, oprócz pożyczki Towarzystwa, długu innego nie mają.

Uregulowanie zupełne ruchu parcelacyjnego wymagało-by także wprowadzenia go wszędzie na drogę najwłaściwszą, ażeby jak najmniej potrzebował pokonywać przeszkód bezużytecznych i ażeby, jako fakt już dokonany, największy pożytek mógł przynosić jednostkom interesowanym i ogółowi.

X.

Dotychczas obliczaliśmy ilość ziemi, nabytej w różnych latach przez parcelantów, a następnie ceny, które oni płacili za grunta. A więc badaliśmy rozwój ruchu parcelacyjnego w kraju naszym, a wskutek tego rozmiary oraz warunki popytu na ziemię, jakie ruch ten wytworzył, wytwarza dziś i wytwarzać będzie w przyszłości najbliższej.

Badanie takie było konieczne wobec pytania, wynikającego ze stanu nadmiernego odłuzenia: kto i na jakich warunkach nabędzie ziemię, która w wielkiej ilości znaleźć się będzie musiała w ten lub inny sposób na rynku?

Ta strona kwestyi jest oczywiście bardzo ważna, większą jednak jeszcze doniosłość posiada strona inna: co się stanie z ziemią w rękach nowonabywców? Zagadnienie pierwsze dotyczy przede wszystkim większej własności, chodzi w niem o to, czy dzisiejsi odłuzeni posiadacze znajdą ratunek i jaki? Zagadnienie drugie zahaacza wprost o przyszłość warsztatu rolnego, o byt najważniejszój dziś części bogactwa narodu. Łatwo to zrozumieć. Parcelacya zmieni tylko rozmiary dóbr, jeżeli odłuzenie po niej pozostanie takież samo, jak było przed nią. Kwestya nie przestanie być raną otwartą, jeżeli ziemia dźwigać będzie nadal ciężary, przenoszące jęj siły.

O społeczne, cywilizacyjne skutki parcelacyi potrąciłiśmy, o ile się dało, wyżej. Teraz wypada rozpatrzyć rezultaty czysto ekonomiczne i finansowe.

Właściwie należało-by nietylko zbadać stan odłuzenia dóbr rozparcelowanych całkowicie, ale poznać również zmiany, jakie zaszły w hipotekach majątków, które w ten sposób odprzedały tylko jakież części swojego obszaru.

To-by nam dało dopiero pełny obraz skutków parcelacyi. Niestety jednak musimy znowu powiedzieć to, cośmy już tyle razy, w tylu ważnych wypadkach poprzednio powtarzali: brak objaśnień do danych naszych, wyjętych z ksiąg hipotecznych. Poprzestać więc musimy na tém, co zrobić pozwala nasz materyał statystyczny, t. j. rozpatrzyć stan odłuzenia hipotecznego nomenklatur hipotecznych, które powstały z parcelacyi.

Tutaj jednak jest to zadanie znacznie trudniejsze, niż gdy chodziło o własność większą. Tam stopień odłuzenia mierzyliśmy wysokością pożyczki Towarzystwa Kredytowego.

W mająteczkach, powstałych z parcelacyi, miara ta nie może mieć już tego znaczenia, a nawet jest poprostu nieodpowiednią. Właściwie przed rozparcelowaniem majątku dług Towarzystwa powinien być spłacony. W większości jednak wypadków tak się nie dzieje dlatego, że transakcye dokonywane są pocichu ¹⁾. Władze Towarzystwa stają już wobec faktu dokonanego i muszą, chcąc nie chcąc, nań się zgodzić; zdarza się téż, że o parcelacyi wiedzą wcześnięj, ale patrzą przez szpary na dokonywaną, bardzo dla siebie niepomysłną, sprzedaż, bo z jednéj strony nie chcą przeszkadzać stowarzyszonemu w akcyi ratunkowój, a z drugiejj — niezbyt się kwapią do rozpoczynania subhastacyi, która również, przy braku nabywców, zbyt pożądaną nie jest i niewiadomo, jaki da rezultat. Zresztą

¹⁾ „Rocznik Towarzystwa Kredytowego“, str. 22.

w razie regularnego opłacania rat przez współników dla Towarzystwa jest wszystko jedno, ilu ludzi dobra nabyło; kłopot wtedy dopiero wielki, kiedy wypadnie tradować kilkunastu lub kilkudziesięciu współwłaścicieli.

Zresztą znaleźć można sposoby obejścia przepisów. W czasie, gdy reskrypt Komisji Sprawiedliwości z Lipca 1867 r. nie dozwalał rejentom spisywać aktów sprzedaży części majątków, na których ciążyła pożyczka Towarzystwa, radzono sobie w ten sposób, iż układano akta przyrzeczenia sprzedaży lub zastawu, t. j. pisało się: „po zupełnem zamortyzowaniu lub spłacie pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego będą mieli prawo przepisać na siebie tytuł własności dóbr niniejszych następujący właściciele cząstkowi: A, B, C i t. d.“ Następnie parcelanci działki swoje pod osłoną takiego wyminienia przepisu odprzedawali, lub dzielili, zaciągali na nie zobowiązania, zastawiali.

Faktycznie więc parcelacya odbywała się bez spłaty w wielu wypadkach należności Towarzystwu.

To też, chociaż wśród dóbr rozparcelowanych wogóle ilość majątków, korzystających z pożyczki Towarzystwa, znacznie jest mniejsza, niż wśród dóbr nierozparcelowanych, jednakże wśród obszarów większych spotykamy ich dosyć znaczny procent. Wykazuje to następujące zestawienie:

	rozparcel.	nierozparc.
z dóbr do 60 mórg w Towarz. zaciągnęło pożyczkę	8.8	25.0
„ od 60—600 mórg „ „ „ „	21.7	72.5
„ od 600—1500 „ „ „ „	46.0	94.8
„ od 1500—3000 „ „ „ „	71.4	94.3
„ z przestrz. nieokreśl. „ „ „ „	15.8	42.9
Wogóle . .	18.5%	61.6%

A więc stan odłuzenia, biorąc za miarę wysokość pożyczki Towarzystwa Kredytowego, stosował-by się do mniej niż czwartej części (18%) ogółu dóbr rozparcelowanych. ¹⁾

¹⁾ Tęm niemniej, ażeby umożliwić porównanie, powtórzmy obrachunek, dokonany w artykule poprzednim, t. j. za miarę odłuzenia weźmiemy znowu pożyczkę Towarzystwa Kredytowego. Dobra wolne od wszelkich ciężarów, oraz takie, których ogół odłuzenia nie przenosi dwukrotnie wziętej należności Towarzystwa, zaliczamy do stanu pomysłnego. Pozostałe, t. j. te, w których ciężary więcej niż dwa razy przewyższają pożyczkę Towarzystwa, uważamy za znajdujące się w stanie wątpliwym lub krytycznym. Obrachunek daje następujące rezultaty (bierzemy tylko majątki z przestrzeniami, ujawnionemi w księgach hipotecznych):

XI.

Wobec tego poprzestać na obrachunku poprzedzającym niemożna i należy szukać sposobów poradzenia sobie inaczej.

Mianowicie: obrachujemy, w jakim stopniu różne rodzaje należności i zobowiązań obarczają hypoteki dóbr rozparcelowanych i zestawimy to z cyframi dla dóbr nieparcelowanych; przytém z wysokości ciężarów, spadających na morgę, sądzić będziemy mogli, do jakiego stopnia pogrążyła się już w długi ta kategoria majątków.

Przedewszystkiém okazuje się, iż wśród posiadłości parcelowanych daleko większy procent wolny jest całkiem od wszystkich ciężarów, niż wśród dóbr nieparcelowanych. Mianowicie, majątków całkiem nieodłużonych znajdujemy:

	wśród parcelo- wanych	wśród nieparce- lowanych
w grupie do 60 mórg	55.0%	40.2%
„ od 60—600 mórg	24.8%	10.8%
„ od 600—1500 „	12.0%	2.0%
„ od 1500—3000 „	14.3%	2.3%
„ z przestrz. nieokreśl.	17.0%	28.0%
Ogółem	26.0%	18.4%

W guberniach:	W stanie pomyślnym znajduje się:		W stanie wątpliwym lub krytycznym znajduje się:	
	dóbr	mórg w tysiącach	dóbr	mórg w tysiącach
Kaliskiej	79	10. ₃	21	5. ₈
Lubelskiej	117	15. ₃	7	4. ₃
Piotrkowskiej	70	14. ₄	22	5. ₀
Płockiej	31	7. ₇	11	3. ₇
Siedleckiej	59	18. ₃	18	9. ₀
Suwalskiej	29	5. ₅	1	0. ₁
Razem	385	71.527	80	28.066
%	82. ₃ %	71. ₈ %	17. ₂ %	28. ₂ %

Widzimy, że w stanie niepomyślnym znajduje się ogółem 17.₂% dóbr, odłużonych w Towarzystwie Kredytowém, i 28.₂% ziemi. Są to cyfry niższe niż te, które analogiczny obrachunek daje nam dla dóbr nierozparcelowanych. Tam mamy 32.₄% dóbr i 42.₆% ziemi. I tu, tak samo jak w kategorii gorszej, znajduje się więcej dóbr dużych, wskutek tego dla ilości ziemi otrzymujemy stosunek procentowy większy, niż dla ilości dóbr.

W pojedynczych guberniach stosunki są bardzo rozmaite. W gubernii Płockiej majątki w stanie niepomyślnym stanowią dóbr rozpatrywanych w tejże gubernii aż czwartą część, w gubernii Piotrkowskiej blisko czwartą; tymczasem w Lubelskiej ledwie $\frac{1}{18}$, a w Suwalskiej nawet $\frac{1}{30}$ część ogółu dóbr, odłużonych w Towarzystwie Kredytowém.

Z wyjątkiem grupy ostatniej wszędzie wypadają cyfry pomyślniejsze dla dóbr parcelowanych.

Taki rezultat—t. j. lepsze położenie majątków rozparcelowanych, niż nierozparcelowanych—był do przewidzenia i właściwie nic jeszcze nie dowodzi. Wiemy, iż ruch parcelacyjny jest zjawiskiem stosunkowo świeżem, wiele z dóbr rozpatrywanych przeszło do nowonabywców w roku ostatnim, przedostatnim, lub dwa lata temu. Jeżeli kupno miało miejsce na licytacji, co wcale rzadkiem nie jest, to część długów została spłaconą, część spadła z hypoteki — nowych w wielkiej ilości nie było czasu zaciągnąć. Przy parcelacji częściowej nowonabywcy zwykle kupują ziemię, całkiem wolną od ciężarów, i tylko w pewnej liczbie wypadków zaciągają dług na spłacenie szacunku. Słowem, nie można wyciągać wniosku pewnego i stanowczego z porównania hypotek, świeżo regulowanych lub świeżo założonych, z hypotekami, na których ciężary gromadziły się od bardzo dawna i są rezultatem mnóstwa czynników, wypadków, nieszczęść. Wpływ takiej pierwszorzędnej przyczyny odłuzenia, jak równy podział schedy w dobrach, kilka lat temu nabytych, mógł być albo żaden, albo słaby, a przynajmniej słaby w porównaniu z tém, co działał w majątkach, pozostających oddawna w rękach jednej rodziny.

Dane nasze nie pozwalają nam rozstrzygnąć pytania: czy stan lepszy jest skutkiem parcelacji, czy też skutkiem świeżej daty nabycia? Moglibyśmy co najwyżej przypuszczać, iż dobra rozparcelowane w końcu znajdują się w takim stanie, jaki widzieliśmy poprzednio wśród dóbr drobnych, nie pochodzących z parcelacji. Tymczasem jednak stan ogółu dóbr parcelowanych gorszy jest, niż stan mająteczków drobnych, niezawdzięczających bytu swego parcelacji: tam mamy 40.6% dóbr całkiem nieodłużonych, tu—26.0% tylko.

Przejdźmy do pozycji innych. Długi prywatne, niewiadomego pochodzenia, ciążą:

	w dobrach parcelowanych	w dobrach nieparcelowanych
w grupie do 60 mórg na	34.8%	36.6%
„ od 60—600 mórg na	56.7%	59.6%
„ „ 600—1500 „ „	74.0%	68.8%
„ „ 1500—3000 „ „	85.7%	72.1%
„ „ z przestrz. nieokr.	66.4%	45.9%
Ogółem	57.8%	54.2%

Tu wielkich różnic nie mamy, we wszystkich grupach liczby są bardzo bliskie, i chociaż w większości wypadają korzystnie dla dóbr parcelowanych, to jednak w grupie majątków większych i dóbr z przestrzenią nieokreśloną spotykamy fakt odwrotny. Wogóle

w dobrach parcelowanych pożyczki prywatne ciążą na 57.8% majątków, w nierozparcelowanych zaś na 54.2%. Z tego wynika, iż w danym wypadku zasadniczej różnicy prawie żadnej niema. I bynajmniej nie mamy prawa przesądzać, co się stanie przy dotychczasowym biegu rzeczy za lat 5, 10 lub 20; liczby mogą odskoczyć od siebie na korzyść dóbr parcelowanych, ale mogą się też i wyrównać. Można to lub owo przypuszczać, przewidywać, ale do twierdzenia stanowczego niema podstawy.

Inaczej rzecz się przedstawia, gdy chodzi o długi szacunkowe. Dobra parcelowane, jako przeważnie świeżo nabyte i częstokroć przez ludzi niezasobnych, w większej liczbie są niemi obarczone. Różnice przytém pomiędzy dwoma rodzajami dóbr większe są, niż w pozycyi poprzedniej. W grupie dóbr większych zachodzi wypadek szczególny: dobra parcelowane nie mają długu szacunkowego wcale, z nierozparcelowanych zaś dźwiga go 8.4%. Oto liczby:

				w dobrach roz-	w dobrach nie-
				parcelow.	rozparcel.
Reszty szacunków ciążą w grupie	do 60 mórg na			6.2%	4.8%
"	"	"	" od 60 — 600	" " 18.4%	9.8%
"	"	"	" " 600 — 1500	" " 26.0%	9.6%
"	"	"	" " 1500 — 3000	" " —	8.4%
"	"	"	" " z przestrz. nieokreśl.	" 24.2%	9.3%
Ogółem				19.0%	8.7%

Mniej trochę spodziewany jest wypadek, iż zbyt wielkich różnic nie spotykamy w pozycyi długów posagowych. Ciążą one:

		na dobrach	na dobrach nieroz-
		rozparcelow.	parcelow.
w grupie	do 60 mórg na	3.5%	1.5%
"	od 60 — 600	" " 7.7%	8.8%
"	" 600 — 1500	" " 8.0%	17.1%
"	" 1500 — 3000	" " —	13.5%
"	" z przestrz. nieokreśl.	" 16.6%	7.1%
Ogółem		10.5%	8.6%

Podobne zestawienie dla kaucyi i ewikcyi utworzy tabliczkę następującą:

				w dobrach	w dobrach
				rozpar.	nierozpar.
Kaucye i ewikcye w grupie	do 60 mórg ciążą na			3.5%	11.5%
"	"	"	" od 60 — 600	" " " 21.7%	29.7%
"	"	"	" " 600 — 1500	" " " 46.0%	38.2%

		w dobrach rozpar.	w dobrach nierozpar.
Kaucyje i ewikycje w grupie od 1500—3000 mórg ciążą na		42.9%	39.4%
„ „ „ z przestrz.			
nieokreśl.	„ „	31.2%	18.2%
Ogółem		23.5%	25.6%

Niezbyt znaczna przewyżka liczb, jaką spotykamy po stronie dóbr parcelowanych w majątkach większych. pochodzi ztąd, że, jak to już powiedzieliśmy, przy nabywaniu dóbr przez parcelantów bardzo często stosunki wewnętrzne wśród nowonabywców regulują się i różnoważą w formie zapisów kaucyjnych i ewikycji.

Wreszcie:

		w dobrach parcelow.	w dobrach nieparcel.
Należności skarbowe w grupie	do 60 mórg ciążą na	0	1.2%
„ „ „ od 60—600 „ „ „	„ „ „	2.9%	3.7%
„ „ „ „ 600—1500 „ „ „	„ „ „	2.0%	3.1%
„ „ „ „ 1500—3000 „ „ „	„ „ „	0	4.2%
„ „ „ z przestrz.			
nieokreśl.	„ „	1.0%	3.6%
Ogółem		1.7%	3.3%

Tu znowu przewyżka pada na stronę dóbr nieparcelowanych, ale tak samo, jak w wypadkach poprzednich, różnicy wyraźnej i znaczącej niema.

Przytoczone liczby dowodzą jasno, że nowo-nabywcy ziemi zbyt bogaci w gotówkę nie są i nie posiadają środków dostatecznych, by kupować grunta i zagospodarowywać się na nich bez zaciągnięcia pożyczki. W dzisiejszych zaś warunkach jest więcej niż prawdopodobne, że pożyczka taka musi być drogo opłacaną. Ułatwienie parcelantom taniego kredytu długoterminowego było-by więc bardzo na czasie i mogło-by wywrzeć skutki zbawienne.

Bez wyjaśnienia jednak kardynalnych punktów wytycznych żadne rozumne oddziaływanie jest niemożliwe. Mocno też żałować należy, iż dotychczas błądzimy po omacku, zastępując faktyczną znajomość przedmiotu przypuszczeniami, opartymi na pobieżnej, często-kroć bardzo odległej obserwacji, lub, co gorzej, na jakichś ogólnych poglądach społecznych, które w danym wypadku mogą wcale nie mieć zastosowania.

A jednak niemożliwość nie staje na przeszkodzie do zgromadzenia wszelkich potrzebnych danych. W dalszej części pracy do przedmiotu tego wrócimy i postaramy się wykazać, jaką drogą dojść można w danym wypadku do posiadania pewnego, faktycznego materiału.

XII.

Ale oczywiście ilość dóbr, obciążonych różnemi rodzajami należności, nie wystarcza do poznania stopnia odłuzenia ziemi, bo ciężary mogą być duże, mogą być małe. Wypada więc zbadać wysokość należności różnego rodzaju, przypadających na morgę.

Przedewszystkiēm zobaczymy, jak ciężary rozkładają się na ogół ziemi w każdej kategorii, t. j. wyrachujemy, jak wysokie było-by odłuzenie, gdyby należności istniejące rozdzielone zostały równomier- nie na wszystkie dobra i wszystkie morgi.

Rodzaj długów	Rodzaj dóbr	Dobra do 60 mórg	Dobra 60 — 600 mórg	Dobra 600—1500 mórg	Dobra 1500 do 3000 mórg	Przecięt.
		na morgę wypada rubli				
Towarz.	parcel.	3.9	6.2	7.9	8.6	6.6
Kredytowe	nieparcel.	9.0	21.0	21.0	17.0	18.0
Długi	parcel.	35.2	11.3	11.7	25.3	12.9
prywatne	nieparcel.	42.0	21.0	16.0	15.0	16.0
Reszty	parcel.	1.8	2.5	1.9	0	2.2
szacunku	nieparcel.	7.9	2.9	2.0	1.9	2.0
Posagi	parcel.	1.2	0.7	0.1	0	0.6
	nieparcel.	3.0	3.5	3.5	2.5	2.7
Kaucye i	parcel.	1.7	3.5	2.9	1.3	3.2
ewikcye	nieparcel.	14.0	6.0	5.0	4.9	5.0
Należności	parcel.	0	1.1	0.9	0	0.9
skarbowe	nieparcel.	1.1	0.9	0.4	0.8	0.6
Ogółem	parcel.	43.8	25.3	25.4	35.2	26.4
	nieparcel.	77.0	55.3	47.9	42.1	44.3

Ze wszystkich szeregów i kolumn tabliczki powyższej wynika, iż ziemia, objęta dobrami rozparcelowanymi, jest odłużona mniej, niż ogół gruntów nierozparcelowanych. Z wyjątkiem pozycji niedopłaconych szacunków i należności skarbowych, gdzie sumy są prawie równe — morga majątków rozparcelowanych dźwiga we wszystkich rodzajach należności ciężar mniejszy, niż morga dóbr nierozparcelowanych. We wszystkich grupach dóbr, poczynając od najdrobniejszych, liczących mniej niż 60 mórg aż do 3000 mórg, odłużenie majątków rozparcelowanych jest znacznie słabsze.

Kiedy ogółem morga nierozparcelowanych majątków obciążona jest sumą 44.3 rs., morga dóbr rozparcelowanych tylko — 26.4 rs.

Szczególniej znaczna różnica zachodzi w należnościach Towarzystwa. Dług ten na jednostkę ziemi nieparcelowanej przypada w sumie blisko 3 razy większej.

W długach prywatnych różnica jest już znacznie mniejsza, gdyż wynosi niespełna 25%. A przytém w dobrach od 1500—3000 mórg grunta rozparcelowane obciążone są sumą stosunkowo znacznieszą, a różnica jest niemała (25 i 15 rs.).

W hypotekach dóbr parcelowanych sumy posagowe nie odgrywają prawie żadnej roli, bo na morgę wypada ledwie kilkadziesiąt kopiejek, wtedy, kiedy dla nieparcelowanych mamy 2 rs. i 70 kopiejek.

Następnie zwrócić należy uwagę na pewną równoległość liczb. Odłużenie na morgę maleje w miarę wzrastania obszaru zarówno wśród dóbr rozparcelowanych, jak i nieparcelowanych, tak, jak gdyby w obu wypadkach stopień odłużenia w ten sam sposób, tylko w różnych rozmiarach, zależał od przestrzeni majątków. Ale pomimo takiej równoległości, liczby są tém bliższe sobie, im obszar większy. W grupie do 60 mórg różnica pomiędzy odłużeniem jednostki ziemi w dobrach parcelowanych i nieparcelowanych wynosi aż 43%, w grupie od 1,500—3,000 mórg —zaledwie 16%.

A teraz zobaczymy, jak różne rodzaje długów rozkładają się nie na całą ziemię, lecz tylko na grunta tych dóbr, które danym ciężarem są obciążone. Rezultaty tego obrachunku zestawiamy w następującej tabliczce:

Rodzaj długów	Rodzaj dóbr	Dobra do 60 mórg	Dobra 60 — 600 mórg	Dobra 600—1500 mórg	Dobra 1500 do 3000 mórg	Przecięt.
		na morgę wypada rubli				
Towarz.	parcel.	36	24	15	12	20
Kredytowe	nieparcel.	30	26	22	17	20
Długi	parcel.	68	18	14	28	20
prywatne	nieparcel.	99	36	23	21	24
Reszty	parcel.	20	13	6	0	11
szacunku	nieparcel.	164	32	19	22	23
Posagi	parcel.	15	8	1	0	7
	nieparcel.	162	31	20	18	21
Kaucye i	parcel.	29	14	5	3	10
ewikcye	nieparcel.	108	19	12	12	13
Należności	parcel.	0	26	42	0	28
skarbowe	nieparcel.	70	23	12	17	16

Jakkolwiek ogólny rezultat w tym wypadku musiał oczywiście wypaść ten sam, co i w poprzedzającym, to jednak tu różnice są przeważnie mniejsze. Łatwo odszukać przyczynę tego złagodzenia się różnic. Wśród dóbr parcelowanych mieliśmy znaczniejszy procent majątków całkiem wolnych od wszelkiego ciężaru, a więc na pozostałą część spadają ciężary stosunkowo większe.

Szczególniej bliskie są liczby pożyczek Towarzystwa. W grupie dóbr najmniejszych jednostka ziemi rozparcelowanej dźwiga nawet sumę znacznieszą, mianowicie 36 rs., kiedy na morgę w dobrach nieparcelowanych przypada 30 rubli. Przeciętne liczby w tej pozycji są identyczne.

Toż samo prawie, co o należności Towarzystwa, powiedzieć można o długach prywatnych. Tylko znaczniesza suma pożyczki w majątkach parcelowanych przypada na morgę w grupie dóbr dużych t. j. od 1,500 do 3,000 mórg.

Należności skarbowe ziemię rozparcelowaną obciążają silniej niż nieparcelowaną.

Różnice najbardziej rażące znajdujemy w grupie majątków najdrobniejszych. Winna tu okoliczność, na którą wskazywaliśmy już wielokrotnie: wśród posiadłości, liczących mniej niż 60 mórg, w dobrach nieparcelowanych znajduje się wiele młynów, osad fabrycznych i t. d., na które zaciągają się pożyczki na całkiem innych zasadach, niż w gospodarstwach czysto rolnych. Stąd długi niepomierne w stosunku do przestrzeni wysokie.

XIII.

Czy z faktu pomyślniejszego stanu odłużenia ziemi w dobrach rozparcelowanych można, bez odpowiednich, bardziej szczegółowych badań, wyprowadzić wnioski optymistyczne — trudno orzekać. Sam fakt, iż w jednej jakiegóś chwili znaleźliśmy ciężary mniejsze, pozwala może na pocieszające przypuszczenie, ale dowodem wystarczającym i ostatecznym być nie może.

Że majątki rozparcelowane zaraz po nabyciu ich przez dzisiejszych właścicieli miały hypoteki opisane mniej, niż za właścicieli dawnych; że, powtóre, krótki czas od rozpoczęcia się ruchu parcelacyjnego nie wystarczył do zbyt głębokiego zanurzenia się w zobowiązania wszelkiego rodzaju — to leży w porządku rzeczy. Decydującą była-by odpowiedź na pytanie: czy hypoteki dóbr w rękach parcelantów oczyszczają się, czy też obciążają się jeszcze bardziej? Jeśli zaś owo obciążanie ma rzeczywiście miejsce, to czy odbywa się żywszym, czy też słabszym tempem, niż w odpowiednich majątkach nierozparcelowanych? Dopóki zaś te kwestye okryte są tajemnicą, wiemy tylko, iż sam proces parcelacji oczyszcza nieco hypoteki dóbr; ale czy następnie wszystko powoli nawraca do stanu dawnego? czy też idzie ku lepszemu? — musimy się tylko domyślać.

Z cyfr, poprzednio przytoczonych, widać było, iż zachodzi pewna równoległość w odłużeniu dóbr parcelowanych i nieparcelowanych: małe dobra jednej kategorii są bardziej zbliżone do małych drugieję, średnie — do średnich, duże — do dużych. Niezmiernie jest rzeczą ważną, czy to podobieństwo przeniesione zostało z czasów przedparcelacyjnych i dotąd zatrzeć się nie zdążyło? czy też wytworzyło się ono później? czy dziś wzrasta, czy znika?

Jednym słowem, zawadzwszy o kwestyę parcelacyjną, doszliśmy do niewielkieję stosunkowo liczby wiadomości pozytywnych i do całego szeregu pytań, bardzo ważnych, a dotychczas przez nikogo nawet nie postawionych. Wynik podobny tém bardziej dziwić musi, jeżeli się rozważy, czém u nas parcelacja jest i jak zarysowuje się w przyszło-

ści. Odmieniano ją przez lat tyle przez wszystkie przypadki, zrobiono z niej artykuł programu społecznego—co zaś ona daje własności ziemskiej i gospodarce narodowej, nikt dowiedzieć się nie próbował.

Z tego faktu wysuwa się sporo przykrych konsekwencji. Najważniejsza gałąź wytwórczości naszej—rolnictwo, znajduje się w stanie ciężkiego przesilenia; bez nadzwyczajnych środków ratunkowych nie wybrniemy z niego bez znacznego szwanku. Czy można zaś myśleć o skutecznych środkach, jeżeli w najważniejszych punktach zagadnienia trzeba kręcić się po omacku?

Dochodzimy więc i z tej strony do tego, iż przedewszystkiem do bytu i pomyślności potrzeba światła, jak najwięcej światła!

Dziwić się doprawdy należy, iż dotychczas nie zrobiono nic, aby masy ludowe, wkładające swoje oszczędności w ziemię karmicielkę, ochronić od zawodów, kłopotów i strat. Témbardziej to dziwne, że wiele dało-by się skutecznie bez wysiłków nadzwyczajnych. Bardzo np. użytecznym byłby *przewodnik dla parcelantów*, t. j. rodzaj podręcznika, w którym-by się zawierał popularny wykład i praktyczne wskazówki najważniejszego sposobu postępowania przy załatwianiu formalności prawnych, a następnie przy dzieleniu części, zakładaniu nowych gospodarstw i t. d. Znaleźć się więc tam powinny: najważniejsze ustępy z przepisów hipotecznych i z ustawy Towarzystwa Kredytowego, tablice spłat amortyzacyjnych, rady co do uregulowania stosunków wewnętrznych pomiędzy nowonabywcami oraz właścicielami, którzy posiadają serwituty na dobrach kupionych. Plany domków mieszkalnych dla kolonistów, budynków, ogrodów i sadów, oraz inne wskazówki gospodarcze były-by w takiej książce bardzo na miejscu. Sądzimy, że wobec rozmiarów, jakie parcelacja przybrała, i wobec roli ekonomicznej, jaką u nas odgrywa, *przewodnik* podobny miałby nie mniejszą rację bytu i nie mniejszą przynosił-by korzyść, jak istniejące tego rodzaju podręczniki np. dla wyjeżdżających do wód zagranicznych. Niechaj pomyślą o tém wydawcy i ludzie, znający stosunki rolne, a o dobro społeczne dbali. Oczywiście słowo powinno być tylko wstępem do czynu; gdy plan zostanie w książce skreślony, każdy, kto może, współdziałać jego urzeczywistnieniu powinien. Później, przy omawianiu wniosków ostatecznych, do przedmiotu tego wrócić nieomieszkamy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

JAN VERGA

I JEGO POWIASTKI WIEŚNIACZE (NOWELE RUSTICANE).

Północ była, kiedyśmy odpływali z portu w Palermo. Z nastaniem świtu, na krańcach widnokregu wynurzyła się z morza, niby obłok, Sycylia.

Znagła Etna w dali zapłonęła wśród powodzi złota i rubinowych blasków, rozjaśniając zarysy zatok i przylądków. Bliżej nas, wyrzeża Kalabryjskie wieńczyły się pianą przy wschodzącem słońcu, a Charybda wyciągała białe ramiona ku Scylli, dumnie królującej na swém urwisku.

Wzrokiem mogłem ogarnąć góry Licodii, dolinę Catanii, wyniosłą płaszczyznę Lentini, spływającą ku morzu łagodną pochyłością, — dalej góry, rozplywające się wśród błękitu, i szeroko bielejące posępne równiny, wśród których szarzały tu i owdzie na pagórkach kępy drzew oliwnych; na pierwszym zaś planie — strome skały, rzadka porosłe gruboliściastymi roślinami, a u stóp ich zieleniejące przepaściste ścieżyny, któremi pasterze pędzali swe trzody ku pastwiskom Camemi.

Wydało mi się wtedy, że góry te i doliny ożywiały się pod tchnieniem, wiejącem od wielkich okresów legendowych przeszłości. Byli tu saraceńscy piraci, gnający, jak bydło, ku swym łodziom, do brzegu przytwardzonym, kobiety i dzieci z równin Marsali; — dalej normandzcy rycerze, uzbrojeni na krucyatę, ale do podbojów gotowi i wykrawający dla siebie królestwa, aż po za Messyńską cieśninę; —

Fryderyk Hohenstauffen ze swym dworem włosko saraceńskim w Palermo, namiestnicy Hiszpanii, wyludniający i gnębiący brzemieniem podatków europejskie jęj posiadłości, dla tém prędszego przykucia do Eskuryalu Indyi i Ameryki; — potém wreszcie owo długotrwałe wyczerpanie, które nastąpiło po wyniszczających rządach Madrytu, kiedy neapolitańscy Burbonowie, nie mogąc już wydostać z tego dawnego spichlerza Europy ani zboża, ani złota, ani żołnierzy, znieśli tam nawet opłaty celne i podatki od soli, pozostawiając w ten sposób przez lat dwieście leżącą odłogiem tę ziemię tak bogatą, podczas gdy większość jęj ludności żywiła się jałmużną klasztorów, wyłącznych prawie posiadaczy gruntu.

Owa dolina Józafatowa zdrząła jednak odrazu, jakby na odgłos trąby Archaniola, gdy Garibaldi, ze swemi „czerwonemi koszulami“, przebiegał wyspę niby huragan, od Marsali do Messyny.

Dla Sycylii z roku 1860, szło przedewszystkiém o ziemię; spodziewano się podzielać jęj używanie z baronami i ze szlachtą (possessionati);—co zaś do klasztorów, te posiadały jęj również za wiele, ale to można było później rozpatrzyć.

Złudzenia owe trwały nie długo. Pierwszym wynikiem przyłączenia do wielkiego królestwa północnego stała się sprzedaż wszystkich większych obszarów (latifundia); dawało to wprawdzie upragnione rozdrobnienie własności ziemskiej, ale zarazem przywracał rząd Turyński komory celne, opłatę od soli, zaprowadził obowiązkową służbę wojskową, oraz podatek gruntowy i dochodowy.

W pierwszych latach nowego stanu rzeczy, znaczna większość popisowych uciekła od poboru i trzeba było z nimi zbrojną ręką się rozprawiać, zanim się udało zaciągnąć ich w szeregi. Wieśniak, który potrafił pochwycić kawałek ziemi przy rozszarpywaniu większych posiadłości, żyjąc w kraju, w którym rolnictwo jest istną grą hazardową, z powodu braku wody, musiał wchodzić w otwartą walkę z poborcami podatków, aby mógł się jako tako utrzymać przy ich opłacaniu. Ostatecznie tedy przyszło do powstania i, podczas gdy w roku 1866 Włochy skupiały wszystkie swe żywotne siły na weneckich równinach, utworzyły się zbrojne bandy, które ruszyły ku Palermo, rozpinając po drodze poborców na krzyżach i pijąc krew karabinierów. Skoro tylko w Październiku pokój z Austryą został zawarty, Pallavicini z trzydziestu tysiącami ludzi wylądował u brzegów Sycylii. Rudini opanował Palermo, zdobywając w niem barykady jedną po drugiej, a włoscianin znowu powrócił pod jarzmo rolniczej pracy, uprawiając niwę niewdzięczną i zaledwie mogąc jęj ciężarom podolać.

Wybitniejsze okresy Sycylii miały swoich dziejopisów a nawet i poetów, ale nikt jeszcze nie zbadał zbliska i nie umiał opisać ostatniego przekształcenia owego plemienia, złożonego z trzech tak odmiennych pierwiastków, któremu przypadł udział w wielkiej walce nowożytnej o zdobycie jutra.

Wtedy-to Jan Verga, urodzony w Palermo roku 1840, więc liczący lat dwadzieścia w porze powstania Sycylijskiego, przystąpił, z całym zasobem swój badawczej przenikliwości i z całym bogactwem swój artystycznej palety, do rozpatrywania owej odrodzonej krainy, rzucając się po dwóch wiekach odrętwienia w olbrzymie morze nowożytnego życia.

Wieśniacze jego powiastki przedstawiają nam szereg tchnących życiem typów, pośród których rozróżniamy wyraźnie atawizm saraceński, normandzki lub hiszpański;—czasami nawet ślady owych trzech pierwiastków dają się dostrzegać w tójże samej istocie.

— Bądź co bądź,—powiada nam Verga,—na tém uśpieniu, w którym pozostawała tak długo pogrążona Sycylia, zyskała ona podwójną siłę nerwów i muszkułów. Kraj ten wydaje dziś ludzi takiej energii, iak Crispi, Rudini, lub ów Wiktor Florio, na którego pogrzeb wyległo temi dniami całe Palermo,—człowiek, który z ubogiego subiekta handlowego potrafił w ciągu lat dwudziestu stać się panem wszystkich linii morskiej żeglugi, łączących Sycylię za stałym lądem.

I czyliż nie pochodzą wprost od Saracenów z Al-Kamo owi chłopi, którzy, wyprzedzając przybycie „czerwonych koszul“, rzucają się na szlachtę (galantuomini) swojej okolicy, zarzynając wszystko, co tylko nosi kapelusz, siekierami wyrąbują drzwi domu notaryusza i kosami sieką jego jedenastoletniego synka, którego wreszcie drwał jakiś, dla prędszego załatwienia się z nim, jednem cięciem siekiery na ziemię powala, jak młodą dębą latorośl.—„Nie wielka to szkoda!—woła rozjuszony tłum,—byłby i on notaryuszem, jak jego ojciec, i tak samoby nas wtedy obdzierał“.

Takim jest obraz, który oczom naszym przedstawia Verga w Nowelli, zatytułowanej *Wolność*. Cala ta zgraja, krwią pijana, pędzi na spotkanie „czerwonych koszul“,—a tymczasem generał, butnie siedząc na swym koniku, z białą chustką na szyi, każe spokojnie roztrzeliwać bez sądu tych, których ręce wyglądają najbardziej zakrwawione. Ludzie ci umierają obojętnie, pod pierwszym lepszym murem, nie domyślając się nawet, dla czego są zabijani, skoro trójbarwna chorągiew powiewa na ratuszu, a lud pozyskał swobodę robienia wszystkiego, co mu się tylko spodoba.

Często też bardzo atawizm normandzki—osobliwie jednak przekształcony—odzywa się w postaciach, przedstawionych przez Vergę.

Przebiegły i tyle do pieniactwa skory, co chłop z okolicy Caux, Kanonik Don Pinu, postanowił kuchenkę swą powiększyć kosztem przytykającego do niej przybudówka, w którym nędzne ma schronienie sąsiad jego, ubogi pasterz, Arcangelo.—Słuchaj no, mości Arcangelo,—powiada,—ja się bez kuchni obejść nie mogę; sprzedaj mi zatem swoją budę, ale bądź tylko rozsądny“.

Imć pan Arcangelo upiera się przy pozostaniu aż do śmierci w domku, w którym na świat przyszedł. — „W te zakute chłopskie głowy, — woła przewielebny, — tylko młotem można wbijać poczucie sprawiedliwości! Da się wkrótce widzieć, co z tém dalej będzie“.

Don Pinu każe u siebie wybić nowe okno z widokiem na przybudówek, stawia na niem doniczki z kwiatami, i odtąd co dzień deszcz z brudnej wody i z kuchennych odpadków zlewa dach pasterza, prześląka przezeń i spływa na nędzne posłanie biedaka. Nie pozostaje mu ostatecznie innego środka ratunku, jak odwołać się do sądów o sprawiedliwość. Oly nie był tego nigdy próbował! Schodzi na miejsce kommissya: urzędnik sądowy, sekretarz i znakomity Don Licciu Papa ze swym białym pasem, u którego wisi malutka szabelka, kołyszając się na jego wydatnym brzuchu. Dygnitarz ów piastuje jednocześnie godność żandarma, woźnego przy sądzie i nadzorca porządku w mieście; — oprócz tego miewa on wypłacaną pewną kwotę za każdą świnie, złapaną na wędrówce po ulicach samopas, i służy mu wtedy prawo zabrania jej na korzyść urzędu miejskiego. Wiedząc zawczasu, kiedy ma zejść komissya, Don Pinu usuwa chwilowo z okna swoje kwiaty; — następnie zaś udaje wielkie zdziwienie i żąda, aby zapisano w protokóle, że to właśnie z dachu sąsiada spływa woda na ścianę jego domu. Arcangelo ze swój strony domaga się powtórnego zbadania stanu rzeczy;—dwa tygodnie schodzi na spisywaniu protokółów, a tymczasem owce pasterza, bez dozoru pozostawione, zdychają jedna po drugiej na swych wygonach, co go do ruiny doprowadza.

— „Bierz sobie tedy moją chatkę,—rzecze on wreszcie do kownika; — oczywiście sprawiedliwość jest rzeczą; za drogą na moją kieszeń“.

Don Pinu będzie mógł zatem powiększyć swoją kuchnię, — ale w nadziejach tych nie brał on w rachubę sąsiada od drugiej strony domku, który ma też na niego chętkę, lecz czeka przezornie, aby ktoś inny wydobył za niego kasztany z gorącego popiołu. Don Pinu porozumie się jakoś z Baronem, a imć pan Arcangelo przeniesie się z córką i z resztą owiec do jakichś pieczar, sąsiadujących z obszernemi pastwiskami. Tam przynajmniej nie będzie już miał żadnych sąsiadów.

— Dopieroż to nie rada będzie z tego Nina! — szepcą pomiędzy sobą kumoszki na wieczornych pogawędkach; — przerwą jęć się teraz miłe schadzki z paniczem. — Nina, która wie dobrze, że ją panicz wziąłby z chęcią do siebie, stawia się hardo ojcu: — Idź sobie sam zamieszkać w tych twoich norach, — powiada mu, — ja tu wolę zostać.

Arcangelo myśli znówu, że mu i tym razem wypada poszukać u władzy sprawiedliwości. Lepiej mu było i tego wyrzecz się nazawsze! Sędzia, jego pisarz i Don Licciu Papa, jednozgodnie zawyrokowali, że Nina, przestawszy być dzieckiem, ma zupełne prawo postępować, jak się jęć spodoba. — „Kiedy tak, więc wolno i mnie zrobić to, co mi dogadza, — odparł Arcangelo, i przy pierwszej sposobności, napotkawszy panicza na głównej ulicy wioski, rozbija mu czaszkę jedném uderzeniem palki.

— Skoro go nalezycie skrepowano powrozami, — opowiada Verga, — Don Licciu Papa, który nadbiegł pierwszy, przedziera się przez tłum, wołając: — „Miejsce dla sprawiedliwości!“ — Rozpoczęto więc sprawę, dawszy obwinionemu obrońcę z urzędu. — „Tym razem przy najmniej, — rzecze Arcangelo, — sprawiedliwość nic mnie nie będzie kosztowała.“ — Adwokat potrafił dowieść, jasno jak na dłoni, że klient jego nie zrobił tego z umysłu, że z zawodu swego będąc pasterzem owiec, nabrał zwyczaju karać je po grzbietach palką, gdy się okazywały niesforne, i że tym razem nadto może silnie jęć użył; — jedném słowem, dzięki jego wymowie, Arcangelo wywinął się z tego kłopotu za cenę pięciu lat więzienia.

Nina poszukała sobie mieszkania w pańskim dworze; Don Pinu zaś i Baron rozszerzają swe posiadłości kosztem lepianki, o którą było przedtem tyle hałasu, i żyją z sobą w najprzykładniejszej zgodzie sąsiedzkiej.

Ileż dowcipnego szyderstwa mieści w sobie cała ta opowieść! Są też inne, na których rozbiór brak mi tu miejsca; zdaje się w niejednej z nich odżywać cała surowość religijna Hiszpanii. Widzimy tam córkę, która, nie mogąc zostać równie świetnie wyposażoną, jak jęć siostry, musi, chcąc nie chcąc, wstąpić do klasztoru (Storia d'una Capinera); następnie doroczne rekolekcyje obowiązkowe, które urządzają zamożniejsi dzierżawcy dla swęć służby, nie tyle dla jęć duchowego pożytku, jak w celu zmuszenia jęć do zwrotu tego, co przez cały rok potrafiła rozdrapać. A cóż tu powiedzieć o powieści: „Chleb czarny“ (Pane nero), o tęć odyssei biedaków, ciągle przez złą dolę prześladowanych, która wtęć dopiero, jakby za sprawą czaru, od nich się odsuwa, gdy piękna Łucya przystaje wreszcie na przyjęcie od starego rozpustnika Don Venerando kwoty, potrzebnej na posag,

mający dać jej możność poślubienia kucyka Brasi, przebiegłego chłopaka, którego marzeniem jest nabyć kiedyś stajnię lub karczmę.

Synteza jednak owego duchowego ustroju, nawskroś sycylijskiego, z tak różnorodnych złożonego żywiołów, dochodzi rzeczywiście do zupełnego rozwoju swego dopiero w powieści ludowej, zatytułowanej: „Rycerskość wieśniacza“ (Cavalleria rusticana).

Piękny, młody chłopak Turriddu, opuszcza swą rodzinną wioskę, dla odbycia wojskowej służby, pokochawszy poprzednio ładną dziewczynę, Lolę. Jak się to często zdarza, podczas gdy Turriddu przebiegał Włochy ze swym batalionem „bersaglierów“, Lola została narzeczoną furmana Alfio, właściciela trzech pysznych mułów, z których pomocą sporo zarabiał przewozami. Odbywszy swą służbę, Turriddu wraca do wsi. Widział niemało świata, oglądał wielkie miasta, więc też co Niedziela z dumą przechadza się po rynku, butnie nasunawszy na czoło wojskową czapkę i puszczając dym z paradnej fajki porcelanowej z wizerunkiem Wiktora Emmanuela, tak wybornie namalowanym, że się zdawał jakby żywy. Turriddu nauczył się wielu rzeczy w wojsku, mianowicie zaś tego, iż, zapalając fajkę, pociągał zapałkę wzdłuż nogi, którą podnosił przytęm ze swobodą, uprawiającą w zdumienie wieśniaków. Na tych wszystkich gburów patrzy on z wyniosłym wstrętem, i nawet żadnej uwagi nie raczy zwracać na piękne dziewczęta, które zerkają na niego zalotnie z pod swych zasłon (mantelline), uchylając je na chwilę tylko i zaraz potem nasuwając znowu na twarz. Ale gdzież jest Lola? — niepodobna mu jej dostrzedz — rzec-by można, że z umysłu od niego ucieka. Pewnego dnia wreszcie niespodzianie spotyka ją na drodze, powracającą z pielgrzymki do „Madonny del pericolo.“

— Szczęśliwi ci, którym dano was ujrzeć! — woła Turriddu.

— Wszak od miesiąca już prawie z wojska powróciłeś — odpowiada mu Lola; — cóż nowego?

— Co nowego pytacie? oto podobno wybieracie się za tego Alfia, który furmani mułami?

— Jeśli taką jest woła Boża...

— Och! dajcie z tém pokój! Tę wołę Bożą tłómaczy sobie każdy na swój sposób. Czy to ona także z powrotem mię tu przywiodła na to, abym się dowiedział o tak pięknych rzeczach?

Biedny Turriddu chciał, jak to mówią, miną nadrabiać, ale mu to nie szło jakoś; głos miał zdławiony i szedł za młodą dziewczyną chwiejnym krokiem. Przykro było Loli widzieć go tak zasmuconym, ale nie mogła się zdobyć na serdeczniejsze dla niego słowa.

— Słuchajcie-no, Turriddu, — rzekła mu wreszcie, — pozwólcie mi złączyć się z mojami towarzyszkami i nie szukajcie więcej ze mną rozmowy. Cóżby to powiedziano, widząc nas z sobą sam na sam!

— Macie słusność, zarówno wybierając się za Alfią, posiadacza trzech pięknych mułów, jak i w tém, że się nie chcecie na złośliwe plotki narażać. Matka moja tymczasem, podczas kiedym odbywał wojskową służbę, sprzedać musiała naszego gniadego muła—jedyńaka w naszej stajence,—i kawałek winnicy, który mieliśmy po-nad drogą. To, co minęło, nie powraca. Trzeba więc zapomnieć o tych najpiękniejszych w życiu wieczorach, gdy schodziliśmy się z sobą u okna od podwórka, i kiedyście to mi dali tę chustkę na pamiątkę. Ileż ją razy tam daleko skrapiałem łzami, kiedym był żołnierzem! Bywajcie mi tedy zdrową, Lolo! — przyjaźń nasza musi mieć swój kres...

Lola została tedy żoną właściciela pięknej trójki mułów. W niedzielę po południu wychodziła na ganek domu, dla pochwalenia się przed całą wsią złotemi kolczykami, jakie dostała od męża. Turriddu dalej przechadzał się po ulicy z fajką w zębach i z rękami w kieszeniach, z pozorów całkiem obojętny. Niemniej jednak wściekłość szarpała mu serce, gdyż małżonek Loli był bogaty, a ona, przechodząc koło swego dawnego kochanka, udawała, że go nie widzi.

— Zobaczymy, jak się to skończy? — mruczał do siebie.

Naprzeciw domu Alfią mieszkał zamożny właściciel winnicy, Cola, mający córkę jedyną, imieniem Santa. Turriddu pracował u niego przy gospodarstwie i, nawiedzając często jego dom, począł zalecać się do Santy.

— Zachowajcie te wszystkie słówka dla Loli, — powiadała mu dziewczyna. Za pierwszym razem, ojciec zatrzasnął drzwi przed nosem żołnierzowi, ale tacy, jak on, umieją oknem powracać, co tém łatwiej jeszcze przychodziło Turriddowi, że mu je sama otwierała Santa.

— Chciał-bym być synem Wiktora-Emmanuela na to, abym was mógł poślubić, — powiadał jój urlopnik, a Lola słuchała tych miłosnych gruchań, skryta po za sąsiednim płotem, czerwieniąc się i blednąc naprzemian.

— Cóż się z wami dzieje? — rzekła mu pewnego dnia — czy się to godzi tak zapominać o dawnych przyjacielach?

— Nie idą oni wcale u mnie w niepamięć, tylko niepodobna jest widywać się z nimi.

— Kto chce mnie widzieć, łatwo trafi do mego mieszkania.

Turriddu tak dobrze potrafił znaleźć do niego drogę, że mu Santa niebawem okno swoje zamknęła — o czém wiele rozprawiły kumoszki na swych wieczornych pogadankach. Alfio tymczasem wędrował ciągle po drogach z mułami.

Skoro do domu powrócił, zarobiwszy niemało na swoim przemyśle, przywiózł żonie piękną suknię w podarunku.

— Słusznie czynicie, że ją tak obdarzacie, — rzekła do niego Santa, — ona też dobrze was oporządza w waszej niebytności.

Alfio nie należał do ludzi bardzo potulnych. Usłyszawszy to, pობlađł mocno i zawołał:

— Na wszystkich czartów przysięgam, Santo, że jeśli mylne są wasze słowa, nie zostawię wam nawet oczu do płakania, i tak samo uczynię z całą waszą rodziną.

— Czegoż-bym miała teraz łzy wylewać? Toż nie płakałam nawet wtedy, kiedym widziała Turrida, wchodzącego nocą do waszego mieszkania.

— W takim razie należy wam się tylko ode mnie podziękowanie.

Turriddu ducha w sobie zataił od powrotu Alfia; wcale się już nie przechadzał około domu Loli i czas swój spędzał z przyjaciółmi w zajęździe.

Pewnego razu siedział tam spokojnie nad talerzem wędliny, kiedy wszedł Alfio i dziwnie jakoś spojrział na niego. Turriddu zrozumiał od razu, co się tu święci, i odkładając na bok widelec, rzekł:

— Czy macie mi co do rozkazania?

— Nie może być ode mnie dla was ani rozkazu żadnego, ani prośby,—odpowiedział mu tamten.—Powracam tu po długiej niebytności i chcę rozmówić się z wami co do tego, o czem wiecie dobrze,—odpowiedział mu Alfio.

Turriddu chciał go poczęstować szklanką wina, napełnioną po brzegi, ale furman ręką ją odtrącił od siebie. Wtedy wstał z miejsca Turriddu i rzekł:

— Jestem na wasze usługi.

Alfio zarzucił mu obie ręce na szyję.

— Jutro z rana, pod figowemi drzewami w Canzizia.

— Czekaście na mnie przy gościńcu, o wschodzie słońca; pójdziemy dalej razem.

Przy tych słowach zamienili z sobą zwyczajowy przed walką uścisk i Turriddu zlekka ścisnął zębami brzeg ucha swego przyszłego przeciwnika, na dowód, że się stawi w sam czas na umówione spotkanie.

Nazajutrz dwaj zapaśnicy, udając się na nie razem, szli długo w milczeniu obok siebie.

— Słuchajcie-no, kumie Alfio,—rzekł wreszcie urlopnik do swego towarzysza,—Bóg mi świadkiem, że czuję moją winę i nie broniłbym się nawet, gdyby nie to, że na samém wyjściu z domu napotkał moją matkę, która niby-to wybrała się po coś do kurnika, chcąc mię

raz jeszcze zobaczyć. Dalibóg, nie myślę darować wam życia, bo mi żal się zrobiło téj biednej kobiety, i leż jój nie chcę być przyczyną.

— Tém lepiej; do roboty zatem! — odpowiedział Alfio, zrzucając z siebie kurtkę — będziemy tego walczyli obadwa.

Byli z nich co się zowie dzielni zapaśnicy; Turriddu pierwsze jednak otrzymał zadraśnięcie, ale odbił cios ręką i rzucił się na swego przeciwnika.

— Cóż to, kumie — zawołał Alfio, — czy mię chcecie zabić naprawdę?

— Wszak-że wam to już zapowiedziałem; mam ciągle przed oczyma moją starą matkę, stojącą przy kurniku.

— Kiedy tak, to wytrzeszcz-że dobrze oczy, — wrzasnął wściekle Alfio, — bo ja ci się tak samo wypłacę; — i schyliwszy się szybkim ruchem aż do ziemi, chwycił garść piasku, którą w twarz cisnął swemu przeciwnikowi.

— Ach! — zawołał osłepiony Turriddu, — teraz koniec już ze mną!

Chciał umykać, ale mu Alfio nie zostawił do tego czasu, zadając mu dwa pchnięcia nożem, jedno w piersi, drugie w szyję.

— Masz to za zhańbienie mojego domu! — zawołał. — Twoja matka będzie mogła teraz zapominać o swoich kurczakach.

Czy słusznie uczynił Verga, przeistaczając swą nowellę w dramat? — Może nie zupełnie. W tytule, jaki dla niej obrał: „Rycerskość wieśniacza“ — przebija wyraźnie szyderstwo. Verga lubuje się w niém nieraz; przekonany on jest przecież, że „rycerskość“ nie polega na tém, aby wśród walki garścią piasku oczy zasypać przeciwnikowi, dla ułatwienia sobie zwycięstwa. W dramacie zresztą, trwającym ledwie dwadzieścia pięć minut, niepodobna było mieszać satyry z tragedją.

Po długim namyśle nad tym przedmiotem, Verga wydał swój dramat w Turynie, w roku 1884. Pozyskał on we Włoszech ogólne powodzenie, dzięki znakomitej tragiczce, Checchi Duse, która potrafiła uczynić z postaci Santuzzy jedną z najlepszych ról swoich. Dla osiągnięcia wyżyn dramatycznego nastroju, osoby działające w nowelli przejść musiały przez ogniową próbę. Santuzza nie jest tu już dziedziczką zamożnego właściciela winnic, Coli, ale ubogą dziewczyną, uwiedzioną i następnie opuszczoną, w chwili, kiedy spodziewać się musi fatalnych skutków swego błędu. Nietylko, że zamyka już ona swoje okno dla Turriddu, ale go ściga zazdrością nawet wobec ludzi; a gdy Alfio nie chce dawać wiary jój oskarżeniu, wyznaje mu własną hańbę. Równie śmiało nakreślona sytuacja dramatyczna nie często spotyka się na scenie.

Co zaś do Turrida, nie zapala on już fajki, z charakterystycznym gestem Wiktora Emmanuela; zgryzoty sumienia odebrały mu dawne upodobanie do tytoniu. Jakkolwiek sporo widział świata, nie spogląda już tak wyniosłe, jak kiedyś, na wszystkich wieśniaków, i nawet raczy w święta uroczyste do karczmy na wino ich zapraszać. U Loli skończyło-by się może wszystko na zalotności, gdyby nie to, że jej męża nigdy niema w domu... W dramacie swoim Verga prześlizguje się zlekka po tym drażliwym przedmiocie; co zaś do Alfia, ten przedstawia się chłodnym i powściągliwym, jak prawdziwy Arab, i jeśli zabija wroga swego w pojedynku, czyni to niezawodnie w sposób całkiem uczciwy i bez żadnego podstępu.

Obserwacya realistyczna ma w dramacie dwoje tylko przedstawicieli, uczestniczących w nim epizodycznie: matkę Turrida, która nie chce wiedzieć o „tych konszachtach“ i dba przedewszystkiem o to, aby się na mszę nie spóźniła w dzień Wielkiej-Nocy, — i wuja Brasi, zapewne dawnego naszego znajomego z nowelli o „Czarnym chlebie“ (Pane Nero), który nabył nareszcie swoją stajnię i wozownię za cenę posagu pięknej Łucyi.

Należy tu nadmienić, że z wyjątkiem Turrida, o którego tragicznej śmierci przynosi wieść zadyszana wieśniaczka, tworząc tém końcowy obraz dramatu, pozostajemy w zupełnej nieświadomości po zapuszczeniu kurtyny, co do losów innych postaci w nim występujących, jak: Santuzza, Lola i Alfio; brak ten czuć się daje tém więcej, że chodzi tu o rozprawę, odbywającą się pomiędzy czterema osobami.

Ów pojedynek, a raczej — że tu użyjemy dowcipnego określenia dostojnika dawniej szkoły — owa walka czterech lwów w żelaznej klatce trwa niespełna pół godziny, w ciągu którego-to czasu nieustanny zgrzyt ścierających się z sobą namiętności zmusza widza do ciągłego wyteżania umysłu, tamując mu nieraz oddech w piersiach. Trwa to wszystko bardzo krótko, ale w naszym wyścigu końcowym (fin de siècle) na złamanie karku, fakta nawałą jedne na drugie spadają, z szybkością błyskawicznego pociągu; cóż więc na to poradzić? Może właśnie dlatego lubi publiczność zyskiwać na czasie słuchając teatralnego utworu.

Bądź co bądź, choćby i nie każdy widz dał się porwać szybkością tej akcji, umieli ją wyzyskać dwaj wytrawni libreciści. Mascagni zaś, za sprawą swego talentu, zdołał ująć dramat sceniczny w formę jednego z najznakomitszych utworów muzycznych nowożytnego teatru. Niema wątpliwości, że w owej robocie Santuzza przeistoczyła się nieco w mleczną siostrę Giocondy Ponchiello, Alfio zaś wyszedł na dosyć bliskiego kuma torreadora Bizeta; ale stało się tutaj z winy

Vergi to samo, do czego przed dwudziestu laty dał był powód twórca „Carmeny“ Mérimée.

Owo pokuszenie, które pociągnęło Vergę w kierunku teatru, pozostanie zapewne odosobnionym objawem w jego literackim zawodzie. Przywódca szkoły „werystów“ nie posiada dostatecznego dla sceny zasobu psychologii, a jeśli mu jeszcze potrzeba występować do walki z librecistami i z wydawcami muzykalnych utworów ¹⁾, to już stanowczo owa praca staje się dla niego zbyt niewdzięczną. — „Żyję dzisiaj jakby na publicznym placu, — pisał niedawno Verga do swego przyjaciela, — i muszę nawet zgodzić się na to, aby moje nazwisko od czasu do czasu rzucało się w oczy każdemu na ulicznych afiszach.“ — Oświadczenie to dobrą jest wróżbą, pozwalającą przypuszczać, że utalentowany pisarz powróci do owych rodzajowych obrazków, które zdają się być najwłaściwszym polem dla jego twórczości

Zanim nadszedł dla włoskiego piśmiennictwa nowożytnego zwrot ku „weryzmowi“, pławiło się ono wyłącznie w błękitach idealizmu romantycznego.

Naczelnik szkoły idealistycznej, De Amicis, stał się szybko popularnym we Włoszech, idealizując wojsko w swych „Szkicach wojennych.“ Było to zaprawdę czynem patriotycznym, stanowczo zapewniać, zaraz po wypadkach roku 1866, że bohaterstwo żołnierzy zagłuszyło w ich wspomnieniu nieudolność dowódców. Opowiadał mi ktoś w Medyolanie, że po przeczytaniu „Szkiców wojennych“ de Amicisa, czuł w sobie chęć uściskania każdego bersagliera, którego natknął na ulicy. Cykl podróży do Hiszpanii, Marokko, Hollandyi i Konstantynopola, znalazł wnet tłumaczów na wszystkie języki. Czuł w nich wzruszenia podporucznika, cokolwiek poety, zaglądnącego po raz pierwszy w krainy odległe i cokolwiek tajemnicze. Uczucie owo, całkiem idealistyczne, przelewa w nas De Amicis kropla po kropli, gdy opowiada „interview“ swoje z Zolą. Wrażen podobnych doznał-by bretoński wieśniak, niespodzianie wszedłszy do pagody. Cóż tam złota i jak zdumiewająca bogactwem budowa! — Ale o ileż on woli skromny kościółek swojej wioski, zielenią przysłoniony, skąd tak dobrze dostrzedz można modre tonie morza! To też, zaledwie powrócił De Amicis do swój samotni turyńskiej, jakże mu jednym rzutem wybiega z pod pióra owa symfonia idealistyczna, którą zatytułował „Serce“, przypisując ją całej młodzieży swojego kraju!

¹⁾ Wiadomo, iż sądy medyolańskie skazały autorów libretta do opery „Cavalleria Rusticana“, oraz jęj wydawcę na odstąpienie na rzecz Vergi połowy swoich praw autorskich.

Wszystko to czystym jest lazurem, ale we Włoszech widnokrag szybko się zaciemnia. Opłacić teraz należy koszta wielkiej uczy politycznej i zlikwidować pierwszy przystęp kolonialnej gorączki. Choćrobliva niemoc ekonomiczna już się zbliża; trzeba, chcąc nie chcąc, na ziemię zstąpić z rozpromienionych wyżyn apoteozy, sprowadzić marzenia przyszłości do stosunku rozmiarów odwagi, — zapomnieć o łatwych powodzeniach roku 1860 i uzbroić się w skalpel anatoma dla zbadania ran z późniejszych ciężkich czasów.

Tutaj-to przypada miejsce zwrotu werystycznego. Schodzi się on z chwilą, w której Włochy, sprzykrzywszy sobie szkołę politycznego i społecznego oportunistu, dopełniają zbawiennego rozpatrzenia się w sobie. Pisarze weryści mieli tę zasługę, iż się zjawili we właściwej chwili psychologicznej i że pracowali zawsze w dobrej wierze, nie obierając sobie nigdy za cel księgarskiego powodzenia swoich utworów, przy pomocy pieprznych przypraw, używanych przez francuskich naturalistów. Poczucie estetyczne, wrodzone we włoskiem plemienu, zdołało zawsze odróżnić prawdę żywą od wystudyowanej nagości literackiej. Zwracając swą soczewkę w stronę owego ludu włoskiego, tak mało znanego — nawet w jego ojczyźnie — warstwom wykształconym, przez to, iż naturę jego przedstawiała zawsze, jakby z umysłu, w fałszywem świetle literatura idealistyczna wszystkich krajów, — szkoła werystów żdziwiła nas od razu trylogią: rzemieślnika, marynarza i wieśniaka, wypukło uwydatniając trzy nazwiska, całkiem nowe w świecie piśmienniczym: — Cavallotti, Jack La Bolina (pseudonim) i Verga.

Przekształcenie warunków pracy, urządzeń marynarki kupieckiej i stosunków agrarnych,—oto są zadania, będące dziś na porządku dziennym we Włoszech. Szkoła werystów zdaje na samych tych, o których sprawę tu chodzi, staranie bronięcia praw swoich przed sądem opinii ogółu, przedstawiając ich w szczerem świetle prawdy, bez podniecań i bez przesady; — na podobieństwo owego rzeźbiarza, który na jednej z ostatnich wystaw w Medyolanie śmiało pomieścił swój posąg robotnika z ryżowych pól Lombardyi, o zapadłych policzkach i wychudłym ciele, wśród marmurowego Olimpu nimf i bogiń, wypisawszy tylko na podstawie: „Ten jest bratem twoim.“ (Questo è il tuo fratello).

— „Główną jest rzeczą na tym świecie: działać“, — powiada Verga w jednym ze swych ostatnich listów — i wzrok jego zdaje się gubić na ogromnych obszarach latyfundi Sycylii, które co rok opuszcza ludność bystra i zahartowana do twardej pracy, dla zakładania w Ameryce owych ruchliwych i niespokojnych kolonii, często sprawiających tyle kłopotu dyplomacyi i swęj pierwotnej ojczyźnie.

Verga jest zwiastunem nowej ery; przeczuwa on przeistoczenie się stosunków rolniczych, do którego jego „Nowelle Wiesniacze“ przynoszą tyle ludzkiego materyału i dokumentów. Uznany został dziś przez ogół za przewodnika nowej szkoły, całkiem wbrew woli swojej; pióro ma jędrne i gorący żywi patryotyzm; ale jest to pracownik pełen skromności, nie urodzony na trybuna, jak Cavallotti, i nie stanie się nigdy, jak ten ostatni, politycznym działaczem. Niemniej przecież nazwisko jego pozostanie związanem z jednym z najważniejszych zwrotów, jakich dokonało piśmiennictwo jego ojczyzny.

ZYGMUNT RZYSZOZEWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

H. von Wissmann *Meine zweite Durchquerung Aequatorial Afrika's vom Congo zum Zambesi während der Jahre 1886 und 1887. Frankfurt a. Oder Trowitzsch u. Sohn. 1891.*

W szeregu licznych tegoczesnych konkwistadorów, którzy, jak błędni rycerze Aryosta, przebiegają teraz wszerz i wzdłuż Afrykę, z przyrządem astronomicznym i mieczem w jednej, z piórem w drugiej ręce, czasem wracają jako założyciele ogromnych (co do rozległości) państw lub kolonii europejskich, a co najmniej przywożą gotowy materiał do ciekawej książki, rozjaśniającej tajemnice „ciemnego kontynentu“, — major Herman Wissmann zajął jedno z pierwszych miejsc. Od r. 1890 stał się osobą powszechnie znaną, jako naczelny wódz milicyi, która przytłumiła powstanie w zachodnio-afrykańskiej kolonii niemieckiej. W karierze urzędowej przewyższył zatem swych sławnych rywali, Angloamerykanina Stanleya, Portugalczyka majora Serpe Pinto, Francuza hr. Brazzę, Włocha hr. Antonellego, naszego Szolca-Rogozińskiego, Niemca Petersa i t. d. i t. d. Zanim jednak wystąpił jako komisarz cesarski na czele legionu niemieckiego we Wschodniej Afryce, p. Wissman odznaczył się jako śmiały podróżnik i poważny eksplorator. W r. 1881 i 1882 dokonał pierwszej przeprawy przez środkową Afrykę od zachodniego do wschodniego brzegu. W latach 1884 i 1885 zbadał bieg rzeki Kassaju i założył stację Luluaburg nad rzeką Luluą, na południowym krańcu wolnego państwa Kongo. Z dwóch dzieł, które zawierają dokładny opis tych pier-

wszystych wypraw afrykańskich p. Wissmanna, zdaliśmy sprawę w zeszytach majowym i czerwcowym „Biblioteki“ r. 1889-go.

Świeżo ukazał się opis trzeciej wyprawy, a drugiej przeprawy majora Wissmanna przez całą środkową Afrykę. Zaledwie wyleczony na wyspie Maderze z ciężkiej choroby, której się nabawił przy zbądaniu dolnego Kassaju, p. Wissmann, z polecenia króla belgijskiego, władcy wolnego państwa Kongo, stanął na czele nowej wyprawy. Instrukcyja opiewała: „skorzystać ze szczególnych stosunków politycznych w kraju Balubów (gdzie Wissmann był założył stacyę Lulua-burg), celem utworzenia punktu oparcia dla dalszych przedsięwzięć na południowej granicy państwa Kongo, ewentualnie dalej aż do wschodnich granic tego państwa, tudzież skłonić tubylców do uznania zwierzchnictwa państwa Kongo; badać losy, względnie handel niewolników, i ile możności zapobiedz mu, tudzież zdać sprawę z ekonomicznej wartości południowo-wschodnich okolic państwa Kongo“.

Opuściwszy 8 Stycznia 1886 r. Maderę, pod koniec tegoż miesiąca p. Wissmann do Banany nad ujściem Kongo przybył, właśnie w chwili, kiedy generalny gubernator, Sir Francis de Winton, zdawał urząd następcy swemu, Jansenowi, Belgijczykowi. Tu p. Wissmann dowiedział się, że oddział Balubów, którzy mu towarzyszyli na przeprawie po Kassaju, odesłany ze Stanley-Pool na parowcu „Stanley“, szczęśliwie dostał się do domu, a zatem także w zamierzonej nowej wyprawie będzie mógł na nich liczyć. Pomiędzy Bananą a Vivi na rzece Kongo obiegają już liczne parowce i czółna. Dalej na wschód, od Vivi aż do Stanley-Pool, przy której-to zatoce leży z jednej strony stolica państwa Kongo, Leopoldville, a z drugiej francuska Brazzaville, z powodu licznych prądów żegluga na rzece Kongo jest niemożliwa. Dlatego też, chociaż ujście Kongo znane było Europejczykom od 4-ch wieków, aż do niedawna nikt w górę tej olbrzymiej rzeki nie puszczał się po za Vivi na wschód. Dopiero Stanley, przybywszy ze wschodu od Ugangwy, odkrył bieg tej głównej wodnej drogi środkowej Afryki. Wkrótce trudności komunikacyi pomiędzy Vivi a Leopoldville zaradzi kolęj żelazna, którą budują od dwóch lat. W r. 1886 p. Wissmann jeszcze tę przestrzeń musiał przebyć piechotą. Przybył zatem do Leopoldville dopiero 23 Lutego. Następne dni zeszyły na różnych przygotowaniach; 15 Marca p. Wissmann czółnem udał się w górę Kongo do stacyi Kwa-Mouth, przy połączeniu się Kassaju z Kongo, gdzie wypadło czekać tydzień na wracający ze stacyi Ekwatori parowiec „Peace“.

Wreszcie 22 Marca rozpoczęła się wyprawa w górę Kassaju. W tych stronach, które pierwszy z Europejczyków zwiedził p. Wissmann w r. 1885, roi się od zwierzyny. „Przedpotopowy panuje tu

spokój. Bez trwogi na wyspach rzeki grzały się w słońcu ogromne hipopotamy, słonie pojedynczo lub w stadach przesuwaly się zwolna po brzegu, lub chłodziły na małych miejscach rzeki, bawoły spokojnie krzątały się pomiędzy temi olbrzymami. Tu pelikan bez ruchu czeka na łup, tam na lagunach trzepocą setki dzikich kaczek i czarnych, podobnych do łabędzi, gęsi. Na brzegu, na suchych gałęziach drzemią kormorany i białogłowe sępy, dokoła świegoce drobne ptactwo. Zamyśloni bociany uważnie krocą po zalanych wyspach, a w powietrzu krąży orzeł rzeczny. Gdziekolwiek spojrzysz, na pozór cichy, niezakłócony spokój ogarnia te tysięczne jestestwa, które zwabia potężna rzeka, bądź to chłodzącymi falami swemi, bądź bogactwem pożywienia. Dreszcz przejmuję nas, gdy przeciągły ryk hipopotama przerwie nagle zupełną ciszę. Odzywają się tu dźwięki, które potęgą i niezwykłością silnie oddziałują na nerwy. Raz ubiliśmy kilka słoni, same samice i młode. W nocy, szukając swych rodzin, zbliżyły się do obozu samce. Zapewne z woni suszonego przy ogniskach mięsa dowiedziały się słonie o stracie, jakiej doznały, bo wydawały jęki takie niezwykle i żalose, że, obudzony ze snu, głęboko się czułem wzruszonym“.

Kassaj w tych stronach często dosięga ogromnej szerokości 1200 metrów, płynąc to wśród sterczących brzegów, pokrytych lasami palmowemi, to wśród rozległych, gołych stepów, rzadko zamieszkałych przez różne plemiona murzyńskie. W niektórych okolicach tubylcy, zebrani na brzegu, przyjmowali parowiec obelgami i groźbami, wkładając na łuki strzały; w innych znowu zapraszali podróżników, przynosili żywność na sprzedaż i zachowywali się całkiem przyjaźnie. Dnia 1-go Kwietnia parowiec dotarł do kraju wojowniczych Bassongo-Minów, z którymi Wissmann na pierwszej przeprawie po Kassaju staczał krwawe walki ¹⁾. Teraz, ilekroć „Peace“ przybił do lądu, bądź to celem nabrania drzewa na opał maszyny, bądź też celem zakupu żywności, Bassongowie spieszenie uchodzili.

Płynąc całemi dniami, a zatrzymując się tylko nocą dla zbierania drzewa na opał, „Peace“ 12-go Maja dotarł do miejsca, gdzie rzeka Lulua wpada do Kassaju. Tutaj Wissmanna przywitał lekarz sztabowy, dr. Wolf, który w r. 1885 był odprowadził z Leopoldville Balubów do domu i pozostał w kraju Lubuku, jako szef stacyi Lulua-burg. W czasie nieobecności Wissmanna, dr. Wolf zbadał po części bieg wielkiej rzeki Sankurru, jednej z głównych arteryi przy rzece Kongo, tudzież przy ujściu rzeki Luebo do Lului, która tam dopiero

¹⁾ Porów. „Bibl. Warsz“, tom 12^o, str. 386.

staje się przystępną parowcom, założył stację Luebo ¹⁾. Do tej stacji Wissmann dotarł 14-go Maja. „Szeroki, wolny od drzew plac nad brzegiem sprawił nam niespodziankę, bo od 5 dni nie widzieliśmy nic, jak tylko odwieczne gęste lasy, które teraz, w porze deszczów, sięgały aż do fal rzeki, tworząc jakoby prostopadłe ściany. Z wierzchołka przylądka, utworzonego przez połączenie się Luebo z Luluą, z wywyższonego bastyonu groziło moje małe działo, podarunek p. Kruppa. Cztery zabudowania z desek, pomalowanych gliną, o szerokich dachach z trawy, zajmowały wolny plac, od strony lądu bronione wysokim płotem, od Lului do Luebo. W stu metrach po za płotem zaczynał się dopiero las. Zbliżenie się parowca naszego wywołało wielki ruch na stacji. Żołnierze, ubrani w czyste białe mundury, przybiegali z bronią, aby stanąć w szeregu, i gdyśmy przybili do lądu, zbliżył się do mnie komendant stacji, porucznik belgijski Bateman, aby zdać raport. Następnie w pawilonie, wzniesionym w kształcie grzyba, zasiedliśmy do chłodnego wina palmowego“.

Parowiec „Peace“, własność misjonarzy angielskich, osiadłych w Leopoldville, odpłynął z Luebo do Kongo, Wissmann zaś z d-rem Wolfem 22 Maja udał się w dalszą drogę do Luluaburga. W górę od stacji Luebo, Luluą, z powodu licznych progów nie jest spławną. Trzeba zatem było odbyć tę podróż pieszo po brzegu rzeki. Dotarłszy do rzeczki Mujeau, Wissmann napotkał posterunek trzech weteranów swej dawniejszej wyprawy, na drugiej zaś stronie rzeczki czekał przysłany z Luluaburga bryk, na którym przed 2 laty odbył przeprawę z Angoli do Luluaburga. Na szerokiej, prostej drodze, nazajutrz Wissmann dotarł do stacji Luluaburga, gdzie go przywitał z zapalem naczelnik, puszkarz Bugslag, towarzysz drugiej wyprawy.

Założoną przed 2 laty stację kapitan Wissmann zastał w stanie kwitnym. Ze wszystkich stron prowadziły do niej proste, szerokie drogi. Już po pierwszych żniwach Bugslag mnóstwo ryżu wysłał był do Luebo. „Na miejscach, które w mej pamięci tworzyły pustynie, powstały dobrze uprawione pola. Wzdłuż trzech strumyków u podnóża stacji rozciągały się obszerne plantacje ryżu, wystarczające na 6 miesięcy tak dla Luluaburga, jako też dla stacji Luebo. Pochyłość wzgórz pokrywały: kukurydza, proso i *maniok* (z którego się wyrabia wyborną mąkę). W trzech ogrodach rosły ogórki, tomaty, ćwikła, sałata, *yam*, ananasy i tytoń. Drzewa *bananowe* i *pomańcowe*, sprowadzone z Angoli, stały przy drogach. Krowy znajdowały się w dobrym stanie, 28 owiec, 30 kóz, mnóstwo kaczek, kur,

¹⁾ Dr. Wolf umarł w r. 1889 w Dahome.

gołębi, papug, zaludniało stację. Najwięcej ucierpiały psy,—z 15 sprowadzonych z Europy żyło już tylko 5“.

Odpucawszy dzień w Luluaburgu, Wissmann udał się do pobliskiej Mukengi, stolicy kacyka Kalamby, który go przyjął był tak gościnnie na pierwszej i drugiej wyprawie do Afryki i ułatwił mu najprzód przeprawę do Nyangwy, potem zbadanie Kassaju. „Gdyśmy się zbliżali do stolicy—opowiada podróżnik niemiecki—tysiące ludzi tworzyły szpaler, witając mię głośnieimi okrzykami radości. Na *Kiocio* (ryнку) po obu stronach, w długich rzędach, siedzieli mężczyźni, podając sobie fajki, i w ogłuszający sposób tłukąc w bębny. Na salwy moich, odzianych w świeże białe mundury, 20 żołnierzy, odpowiedziały nieustannie wystrzały tubylców. Niebawem z gęstego tłumu, liczącego około 5,000 głów, przy ogólnych oklaskach, przystąpili do mnie kacyk Kalamba z swą siostrą Sangulą. Nie wstydzę się wzruszenia, jakiego doznałem, ściskając dłoń tych wyprobowanych przyjaciół. Nie było końca pytań i radośnych okrzyków. Dosiadłszy byka mego, widny całemu zebraniu, wygłosiłem przemowę, oświadczając, że jak tylko morze przywróciło mi zdrowie, posłuszny głosowi serca, powróciłem do mych przyjaciół. Kalamba następnie wyraził radość, że mnie znowu widzi u siebie. Gdy skończył słowami „to wola“ (powiedziałem), ponownie odezwały się salwy, huk bębnow i okrzyki radości, po czém rozpoczęły się wielkie tańce. Z Kalambą, siostrą jego Sangulą-Metą, i następcą tronu Kalamba-Moaną, wszedłem do wybudowanego w czasie mojej nieobecności pięknego domu, aby się rozmówić co do dalszych planów. Kalamba natychmiast oświadczył gotowość dostarczenia mi posiłków, chociaż sam, jako mąż podeszłego wieku, nie może się już podjąć dalekich podróży“.

Powróciwszy do Luluaburgu, dokąd nie przybyły jeszcze zamówione w Leopoldville towary, które w tych strefach środkowej Afryki zastępują monetę, p. Wissmann zbadał nasamprzód górny bieg Kassaju od połączenia się z nim Lului aż do wodospadów Wissmanna. Za powrotem, na stacyi Luebo zastał parowiec „Stanley“, z którym przybyli Belgijczycy, kapitan de Macar i porucznik Le Marinel, pierwszy przeznaczony na naczelnika stacyi Luluaburg, drugi na towarzysza Wissmanna w dalszych wyprawach, Szwedzki profesor von Schwerin, kapitan parowca „Stanley“ Anderson, także Szwed, jego sternik de Latte, Francuz, inżynier Szkot, Walker, i Luksemburczyk p. Stehlemann. Doliczywszy Niemców Wissmanna i dr. Wolfa, naczelnika stacyi, porucznika Batemana, Anglika w służbie belgijskiej, i osiadłego w pobliżu stacyi kupca Portugalczyka, Carvalho, otrzymamy dokładny obraz międzynarodowego towarzystwa, za pomocą którego wolne państwo Kongo wywiązuje się ze swego zadania cywili-

zacyjnego. „Stanley“ przywiózł także oczekiwane towary. Dnia 28 Maja dr. Wolf na tymże parowcu odplynął ku północy, p. Wissmann zaś ze swymi oficerami i towarami w pierwszych dniach Czerwca przeprawił się do Luluaburga i przystąpił do uporządkowania politycznych stosunków kraju.

Dotychczasową taktyką jego było: utrzymywać w kraju Lubuku dwa stronnictwa, aby ewentualnie jednemu zaszachować drugie. „Naczelnikiem jednego stronnictwa zrobiłem Kalambę, drugiego Czyngega. Doświadczenie nauczyło mnie, że ta dynamika była zbyt szkodliwa. Nie ulegało też z góry wątpliwości, komu należało powierzyć pierwszeństwo. Kalamba był najpotężniejszym, najwięcej poważanym i najbardziej do nas przywiązany z ościennych kacyków, a jeszcze mocniej sprzyjała nam siostra jego, Sangula-Meta, wielka kapłanka kultu *niamby* (t. j. palenia tytoniu z konopi, to złagodziło obyczaje mieszkańców Lubuku), która wywierała wpływ przeważny na brata swego. Oboje oni dali nam już tyle dowodów wierności, że wszelkie podejrzenie było nieusprawiedliwionem. Nadto następca tronu, Moana, inteligentniejszy od ojca, zdawał się stać zupełnie po naszej stronie, jakoż w mojej nieobecności względem Bugslaga zachował się chwalebnie. Rozpocząłem przeto pracę od tego, że ościennych kacyków utwierdziłem we władzy nad 5 do 15 siołami. Każdy z nich otrzymał sztandar gwiazdzisty wolnego państwa Kongo, wszyscy razem mieli uznawać zwierzchnictwo Kalamby, który się zobowiązał dostarczać nam posiłków na wyprawy, tudzież robotników dla stacyi, utrzymywać drogi w porządku, czółna przy przeprawach przez rzeki, skłaniać ludność do uprawy ryżu i t. d. Celem wykonania tych planów, do 50 ościennych kacyków wysłałem po jednym z moich weteranów od brzegu wschodniego, którym towarzyszyło 4 do 5 żołnierzy Kalamby. Już w dwa dni po wyprawieniu poselstw, zaczęli przybywać do stacyi kacykowie, po większej części z liczną świtą, przynosząc na znak haraczu to kilka owiec lub kóz, to kość słoniową, to wieprza i t. d. Każdy z nich wypowiadał obawy, które należało rozchwiać, skargi na podwładnych naczelników, którym trzeba było zaradzić, prośby o to i owo. Każdy dumnie powracał do domu ze sztandarem gwiazdzistym, w różnokolorowym mundurze i z najlepszą wolą stania się członkiem sztabu, którym miał dowodzić Kalamba, jako główny lennik państwa Kongo“.

Tylko trzech kacyków ociągało się, aż im Wissmann zagroził wojną, po czem przybyli do stacyi. Całego tego przewrotu oficer niemiecki dokonał za pomocą 25 do 30 żołnierzy, weteranów od wschodniego brzegu, którzy odbyli z nim dwie pierwsze przeprawy. Układy trwały jednak około 2 miesięcy. Dopiero we Wrześniu na walnym

zebraniu kacyków w stolicy Kalamby, Mukendze, liczącej już przeszło 10,000 mieszkańców, stanęła ostateczna organizacya kraju Lubuku, i to na podstawie następującej: Wszelkie dawne spory pójdą w niepamięć; kacykowie posiadają wszelką władzę nad swymi poddanymi; opłacać będą Kalambie regularnie, raz na rok, stały, umiarkowany haracz i ewentualnie skargę przeciwko niemu wytoczyć winni przed naczelnikiem stacyi Luluaburga; bez jego pozwolenia nie wolno rozpoczynać wojny; przestępcy, którym grozi kara śmierci, odstawiani będą do stacyi; zakazane ordalie; na wojnę lub do potrzebnych robót Kalamba dostarczy ludzi, w pierwszym razie bezpłatnie, w drugim według ustanowionej taksy; ceny w całym kraju mają być równe.

Uporządkowawszy w ten sposób sprawy publiczne w kraju Lubuku, który ma się stać głównym punktem oparcia zabiegów cywilizacyjnych na południowej granicy państwa Kongo, i zdawszy dowództwo nad stacją Luluaburgiem kapitanowi de Macar, dnia 16-go Listopada p. Wissmann wyruszył na zachód. Karawana jego składała się z porucznika Le Marinela, puszkarza Bugslaga, 17 weteranów Zanzybarczyków, 42 nosiciele od brzegu zachodniego, 38 uwolnionych niewolników, 280 nosiciele plemienia Baszylangów, wreszcie 600 poddanych Kalamby, pomiędzy nimi około 100 kobiet i dzieci, pod dowództwem odważnej Sanguli-Mety, Kalamby-Moany i kacyka Czyngengi. Licząca przeszło 900 osób karawana rozporządzała 500 karabinami. Gdy Wissmann ostatni wyjeżdżał na byku z bramy Luluaburga, dawny towarzysz, starzec Zanzybarczyk o bielutkim włosie i brodzie, pożegnał go słowami: *Deus guarda vossa excellencia!*

Przeprawa na wschód z kraju Lubuku do Nyangwy nad górnym Kongo, czyli, jak się nazywa w tych stronach: Lualabą, której p. Wissmann w r. 1882 dokonał był wśród dosyć pomyślnych warunków, teraz stała się uciążliwą. Aż do tych bowiem ustroni środkowej Afryki, dotarły już zbójckie wyprawy Arabów na niewolników, wyludniające kraj i zamieniające kwitnące osady w martwą pustynię.

Już nad rzeką Lubefu, dokąd karawana dotarła 31-go Grudnia, napotkała nieszczęśliwych rozbitków tych okrutnych wypraw arabskich. W obozie Wissmanna stawił się tam potężny niegdyś kacyk plemienia Bassongów, Kassongo, i oświadczył mu, że cały liczny szereg Beneki został wyniszczony. Kassongo w tych stronach przebywał od 2-ech miesięcy, czekając na odwrót napastników arabskich, względnie gotów schronić się w północne lasy odwieczne. Odtąd karawana już nie napotkała na siola, lecz tylko na koczujące oddziały zdzięsiatkowane przez bandy Tibbu-Tibba Bassongów, którzy, poznając Wissmanna, dzielili z nim swe szczuple zapasy. W takich oko-

licznościach na nic nie przydały się zabrane towary, gdyż zupełny brak żywności uniemożliwał wszelką zamianę.

W dalszym pochodzie na wschód, karawana dotarła do miejsca, gdzie w czasie pierwszej wyprawy Wissmanna i Poggego (r. 1888) stało ogromne miasto plemienia Beneki Kafungoi. „Wszystko się zmieniło. Gdzie dawniej witały nas przyjaźnie gęste tłumy mieszkańców pięknego i olbrzymiego miasta, gdzie nam dostarczano wszelkiej żywności, jakiej zdolny dostarczać najlepiej uprawiony kraj afrykański, i gdzie spokojnie i przy okrzykach radości maszerowaliśmy z siola do siola, teraz zastaliśmy wyludnioną mordem i pożogą pustynię. Te same potężne lasy, które dawniej otaczały wielką stolicę plemienia Beneki, przyjęły nas w swe cieniste ramiona. Ale złowroga cisza, zakłócana tylko niekiedy swiergotem ptastwa, zastąpiła dawniej witające nas okrzyki ludności. Wyręby z obu stron prostych, szerokich dróg, zapelnione przed kilku laty czystymi zagrodami Beneków, teraz pokrywała wysoka trawa, z której tu i owdzie sterczał opalony pal, bielejąca czaszka i połamane sprzęty, — ostatnie ślady naszych dawnych przyjaciół. Dokąd się podziało tysiące i tysiące pracowitej ludności, która, dzięki swej znacznej liczbie, zdawała się być zabezpieczoną od napadu? Zgroza i głęboki żal przejęły mię na ten ponury widok i na wspomnienie najpiękniejszych dni mojej pierwszej wyprawy, spędzonych w tych stronach. Opanowało mię gorące oburzenie na zabójczą szajkę chciwych niewolników arabów, sprawców tej strasznej zmiany.“

Ogniskiem tych łupieżczych wypraw w głąb Afryki jest dobrze znana z opisów Camerona, Stanleya i Wissmanna wielka osada Nganguwa nad górnem Kongo. Ztamąd dwaj możni Arabowie: Hamed bin Mohamed, więcej znany pod przydomkiem Tibu-Tibb, tudzież Famba, najprzód niby to w celach handlowych, wysłali swe karawany na zachód. Wrzekomy pokojowy cel nabywania niewolników i kości słoniowej, wskutek okrucieństwa i wyuzdanej chciwości czarnych siepaczy kupców arabskich, zamienia się nie tylko w krwawą wojnę, lecz także w systematyczne pustoszenie kraju. Kacyk Bassongów, Mona Lupungu, nad rzeką Lomami, był zapłacił haracz wymienionemu arabowi Fambie. Za to został napadnięty przez siepaczy Tibbu-Tibba i wyparty na zachód. Gdy doznał przyjaznego przyjęcia u kacyka Kakesy, hordy arabów napadły i tego i obu kacyków Bassongów ścięły, rabując i mordując aż do kraju Beneki. Ci, ilekroć wreszcie opuściły ich okolice, powracali do swych zagród, odbudowywali chaty i uprawiali rolę. Ilekroć jednak żniwo dojrzewało, łupieżczy pojawiali się ponownie, mordując najodważniejszych, zabierając żony i dzieci, a resztę

wypierając do lasów. Skutkiem tych nieustannych napadów było zupełne wyludnienie kraju, głód, dżuma i ospa.

Przebywszy 3 Stycznia r. 1887 rzekę Lubefu (mniejwięcej $5\frac{3}{4}^{\circ}$ połudn. szerokości a $24\frac{1}{2}^{\circ}$ wschodniej długości), celem dotarcia do okolic mniej wyludnionych i spustoszonych, Wissmaan zбочzył od pustej drogi na wschód i, maszerując w kierunku południowym, d. 6-go Stycznia dotarł do obozu wymienionych kacyków Kakesy i Lupungu, którzy schronili się przed siepaczami Arabów. W obozie znajdowało się kilka tysięcy ludzi, prawie wyłącznie mężczyzn, z których 300 uzbrojonych w karabiny, reszta w dzidy i łuki. Jednak na zapytanie Wissmanna, czy z nim razem wystąpiłi-by do walki z hordami Tibbu-Tibba, oddalonymi o dwa marsze dzienne, obaj kacykowie odpowiedzieli przecząco, nie przypuszczając zresztą, aby biali ludzie na prawdę zamierzali walczyć z Arabami. Zaopatrzywszy się w obozie Kakesy w żywność, karawana Wissmanna w północno-wschodnim kierunku zdążyła do dawniej drogi z r. 1882, i dotarłszy do niej 12 Stycznia, szła dalej wzdłuż rzeki Lukango prosto na wschód. Dnia 15 Stycznia Wissmann zbliżył się do obozu Arabów.

Wojskiem Tibbu-Tibba, złożoném 500 Zanybarczyków i niewolników od brzegu, tudzież kilku tysięcy ludożerczych Kalebuów, którzy z nienawiści do swych zachodnich sąsiadów i z żądy łupu połączyli się z Arabami, dowodził młody Said, mieszaniec krwi arabskiej i murzyńskiej. „Z kilku towarzyszami, odzianymi również w białe koszule, Said wyszedł naprzeciwko mnie i z ową grzecznością, której Arab nie wyrzeka się, aż się chwyci broni, przyrzekł mi uczynić zadość wszystkim moim życzeniom. Said wyglądał na młodego chłopca. Towarzysze jego byli równie grzeczni i skromni, gdyż nie wiedzieli jeszcze, jakimi rozporządzam siłami i pragnęli zbadać powód mego przybycia.“ Gdy obaj usiedli przed domem zbiegłego kacyka Lupungu, Said w narzeczu Suahelów (używaném na brzegu wschodnim) tłómaczył Wissmannowi powody wojny. Twierdził, że Lupungu, uznawszy poprzednio zwierzchnictwo Tibbu-Tibba, następnie wszedł w związki handlowe z Fambą, wysłańcom Tibbu-Tibba kazał ściąć głowy i oddał ich swym ludożercom na strawę. Dlatego Tibbu-Tibb postanowił ukarać krnąbrnego kacyka. Said jednak wahał się, czy go ściągać dalej na zachód, proponował Wissmannowi spólną wyprawę, a tymczasem ćwiczył się w strzelaniu do więźniów, których trupy rozdzielali ludożerczy Kalebuowie.

Wśród wzmagającego się niedostatku żywności i nieustannych deszczów, karawana Wissmanna 23 Stycznia stanęła nad rzeką Lomami, przez którą przepawiła się na czółnach, aby odtąd w północnym kierunku spieszyć do Nyangwy. Tutaj Wissmann, za pomocą

weksli, zamierzał zaopatrzyć się przeważnie w towary, aby ewentualnie zbadać górny bieg Kongo, czyli, jak się ta rzeka nazywa na południe Nyangwy, Lualaby. W drodze jednak dowiedział się, że kilka miesięcy przedtém wywiązała się walka pomiędzy władzami państwa Kongo a Tibbu-Tibbem, którego synowiec zdobył i spalił stację Stanley-Falls. Położenie Wissmanna, maszerującego pod gwieździstym sztandarem państwa Kongo, stawało się zatem bardzo trudnym, zwłaszcza, że niebawem dowiedział się, że sam Tibbu-Tibb, z którym się zaprzyjaźnił na pierwszej wyprawie, odjechał do Zanzjbaru, a drugi magnat arabski, Famba, na którego poparcie najwięcej liczył, złożony ciężką chorobą. W tak niepomysłnych okolicznościach, dnia 15 Lutego karawana Wissmanna, przebywszy na czołnach Kongo, stanęła w wielkiej osadzie Nyangwie.

Nazajutrz odwiedził go gubernator tych okolic, syn Tibbu-Tibba z murzynki—Zefu. „W poczuciu swój przemocy,—opowiada Wissmann—namiętny ten młodzieniec traktował mnie tak, że było bardzo trudno zachować zimną krew. Rozpoczęła się formalna indagacya o powody i cele naszej podróży. Zefu i młodzi jego towarzysze wyszydiali trochę ociężałe ruchy uczciwego marynarza, Bugslaga, i w dobrze nam zrozumiałém narzeczu Suahelów krytykowali ubiór Le Marinela i mój. Wreszcie zawołano znanego tutaj z pierwszej mój podróży służącego mego, Sankurru, i zapytano, czy powiedzieliśmy prawdę lub kłamstwo? Słowem, całe to obejście było do żywego obrażające, zwłaszcza gdy się zważy zwykłą ceremonialną grzeczność Arabów. Następnie Zefu ze wszystkimi szczegółami opowiedział nam napad na stację Stanley-Falls i wskazał na jednego ze swych towarzyszy, który w tój potyczce zastrzelił Europejczyka“. Arabowie postanowili zatrzymać Wissmanna, jako zakładnika. Że zaś w danych okolicznościach nie było podobieństwem podjąć się z wycieńczoną karawaną dalszych wypraw, Wissman, uprzedzając niejako zamysły Arabów, uwiadomił, że z Bugslagiem i kilku towarzyszami pozostanie w Nyangwie, byle mógł odesłać Baszylangów do domu. Zakupiwszy zatem od Famby towarów i pereł (zastępujących w środkowej Afryce pieniądze), dnia 21 Lutego swój oddział pod dowództwem porucznika Marinela wyprawił do domu, dokąd ten szczęśliwie dotarł już 18-go Kwietnia.

Tymczasem Wissmann od Famby dowiedział się owych szczegółów o potyczce pod Stanley-Falls, lecz także o wzburzeniu na wschodnim brzegu, mianowicie o zastrzeleniu kupca Gieseckiego w Taborze przez Araba, znajdującego się teraz w orszaku Tibbu-Tibba. Syn i zastępca tegoż, Zefu, rezydował w pobliskim Kassongo. Tam udał się Wissmann 26 Lutego i dzięki hojnym podarunkom umiał o tyle wpłynąć na Arabów, że, chociaż nie pozwolono mu udać się ani w górę Kongo, ani

do Stanley-Falls ku północy, jednak nie sprzeciwiano się już odjazdowi jego do brzegu wschodniego. W Kassongo poznał Wissmann także owego Araba Mohameda bin Kassima, który w Taborze zastrzelił kupca niemieckiego, Gieseckiego; w r. 1890, jako wódz naczelny we wschodnio-afrykańskiej kolonii, Wissmann Kassima kazał powiesić w Saadami.

Z Bugslagiem, 10 sługami z Anglii, i 20 wyzwolonymi niewolnikami Balubów, dnia 7 Marca wyruszył z Nyangwy na wschód i, maszerując zwykłym szlakiem karawan, 7 Kwietnia przybył do jeziora Tanganiki. Na tej przeprawie nieustannie spotykał karawany, wiozące broń i naboje od brzegu wschodniego w głąb Afryki, tudzież wracające z tamtąd z trochę kości słoniowej a setkami niewolników, po 10 lub 20 skrępowanych łańcuchami, niewiasty i dzieci powrozami. „Trudno opisać nędzny stan „czarnego towaru“. Ramiona i łydki prawie bezmięsne, zapadły brzuch pokryty zmarszczkami, oko przysgaste, głowa schylona, — tak wloką się w nieznaną przyszłość na wschód i ciągle na wschód, coraz dalej od kraju rodzinnego, oddaleni od żony i dzieci, od ojca i matki, którzy może zdołali uciec w lasy, może polegli w walce. Straszliwy obraz w obozie takim, wieczorem, przy rozdzielaniu pokarmu.... Zaledwo czwarta część tych nędzarzy dociera do lądu, gdzie ich czeka albo export, albo ciężka praca na plantacyach nadbrzeżnych. Wielkie osady arabskie w Taborze i Udżyży pochłaniają bardzo znaczną ilość niewolników, zwłaszcza Udżyże z powodu niezdrowego klimatu; robotnik tam zwykle nie przeżyje roku,*).

W angielskiej misyi na wysepce Kawaki, wśród jeziora Tanganiki, p. Wissmann doznał gościnnego przyjęcia. Tu od przełożonego p. Horna dowiedział się, że na brzegu wschodnim przygotowują się rozruchy. P. Horn winę składał na świeżo utworzoną niemiecką kompanię, której urzędnicy, tak wobec Arabów, jako też wobec tubylców, postępują sobie samowolnie i szorstko, nie posiadając dostatecznej siły, aby wśród nich obudzić trwogę; Arabowie zwłaszcza do żywego oburzeni, że sułtan Zanzylaru odstąpił Niemcom część kraju, i dlatego zamierzają wypowiedzieć mu posłuszeństwo; także potyczka pod Stanley-Falls przyczyniła się do pogorszenia opinii o Europejczykach; głównym ogniskiem wzburzenia jest Tabora (główna stacya na szlaku, wiodącym od jeziora Tanganiki do wschodniego brzegu), gdzie, jak

*) Porównać list misjonarza Vinkego z r. 1888, ogłoszony w „Bibliotece Warsz.“ tom 199, str. 341 w mojej rozprawie: „Niemcy i Anglia w Afryce wschodniej“.

Wissman dowiedział się już w Nyangwie, poniósł śmierć kupiec niemiecki.

Tak ostrzeżony, podróżnik niemiecki postanowił dążyć do brzegu we wschodnio południowym kierunku. Na najętém w Udżyży czólnie, pozostawwszy w Kawalli wyzwolonych Balubów, od 15 do 19 Kwietnia z Bugslagiem, 10 murzynami z Angoli i 4 kobietami, przeprawił się przez jezioro Tanganikę, zwiedziwszy w drodze stację katolicką Mpale, gdzie go przyjęli gościnnie ojcowie Landeau i Moinit, tudzież kapitan belgijski Joubert. Wystarawszy się o nosicieli, dnia 10 Maja Wissmann z swą szczupłą karawaną, tak zwaną drogą Stephensona, która teraz tworzy południową granicę strefy niemieckiej od angielskiej, wyruszył ku jezioru Nyassy, do którego przybył 3 Czerwca, przyjęty uprzejmie na stacyi angielskiej „African Lakes Compagnie“ w pobliżu siola kacyka Karangi.

Tu wypadło czekać na parowiec wymienionej kompanii „Ilalę“. Przybył on dopiero 11 Lipca, i w dwa dni potém Wissmann z towarzyszami odpłynął na południe. Jezioro Nyassa, tak pod względem konfiguracyi, jako téż stosunków meteorologicznych, przedstawia uderzające podobieństwo z Tanganiką. I tu zrywają się gwałtowne burze. Liczne skały i mielizny żeglugę na Nyassie wielce utrudniają. Czysta i słodka woda jeziora, jak stwierdzili misjonarze angielscy przez 12 lat, corocznie opada o 0.9 stóp angielskich; nie sprawdzono tylko jeszcze, czy tak samo, jak powierzchnia Tanganigi, po pewnym czasie znowu się podnosi? Brzegi Nyassy są gęsto zaludnione, w niektórych miejscach roją się od zwierzyny. Na zachodnim brzegu jeziora znajdują się wielkie osady arabskich handlarzy niewolników. W zamian za broń, naboje, perły i towary, od dzikiego plemienia Wawembów otrzymują niewolników, których wywożą do Kilwy i Lindi, osad na brzegu wschodnim Afryki w strefie niemieckiej.

Z trzech stacyi misyi angielskich, założonych na brzegach Nyassy, najstarszą jest Livingstonia, na południowym brzegu, dokąd „Ilala“ dotarła 25 Lipca, przebywszy 65 mil niemieckich. Następnego dnia parowiec Wissmana wpłynął do rzeki Szyre, łączącej jezioro Nyasę z Zambezą, a zatém też z oceanem indyjskim. Jednakże już przy osadzie Mutope, dokąd „Ilala“ przybyła 28 Lipca, ogromne wodospady przecinają żeglugę na Szyre. Następnego dnia, lądem, Wissmann dotarł do wielkiej stacyi angielskiej „Kompanii jezior“, Mandali. Z pobliską stacyą Blantyrą Mandala tworzy w tych stronach główną podstawę wpływu angielskiego. W rok po przeprawie Wissmana przez tę okolice, wybuchnął tam zatarg pomiędzy Anglikami a Portugalczykami, dotąd nieuśmierzony. Nie dziw jednak, że Anglicy, chociaż na południowym brzegu Nyassy rozgościli się

dopiero od lat 20, już wypierają Portugalczyków, panujących nominalnie nad tą strefą od 4 wieków, ale gnuśnych i nieudolnych w rzeczywistości utwierdzeniu swęj władzy. Wissman obie te stacye angielskie zastał w stanie kwitnym. „Szerokie drogi o śladach kół, aleje o wysokich, cienistych drzewach, liczne, na sposób europejski z cegieł wystawione, zgrabne dwory, o szybach szklanych w oknach, otoczone ogrodami, pola o europejskiem zbożu, i wiele cennych rzeczy sprawiło na mnie wrażenie, jak gdybym nagle ze sfery dzikiej był zawitał do Europy. Dwie wymienione osady są najpiękniej rozwinięte, jakie widziałem na kontynencie afrykańskim. Znaczny zastępc kupców, misyonarzy, nauczycieli, rzemieślników, pięć pań, wszystko rodowici Szkoci, tworzyło imponującą, jak na tamtejsze stosunki, kolonię, a czerstwością ciała świadczyli o zdrowym klimacie. W stacyi misyi (Blantyre) uprawiają przeważnie zboże, warzywa i kwiaty, jako tęż zajmują się chowem bydła; w Mandali zajęto się przedewszystkiem uprawą kawy i sprowadzono wszystkie potrzebne do czyszczenia ziarna przyrządy. Prawda, że obie stacye rozporządzają znacznemi kapitałami, przeznaczonemi na cele dobroczynne, a nie na uzyskanie wysokich procentów; to tłómaczy komfort, a nawet zbytek, jakim się odznaczają obie stacye“.

Otrzymawszy od pewnego kupca holenderskiego czółno, Wissmann ze swoimi towarzyszami 22 Lipca opuścił Mandalę, i poniżej wodospadów odpłynął po Szyre w kierunku południowym, żywiąc się zabranemi ze stacyi angielskiej kartoflami, chlebem i cebulą, tudzież zwierzyną, ubitą w drodze. Dnia 28 podróżnik niemiecki zatrzymał się w pierwszej stacyi portugalskiej, którą dowodził porucznik Cardoso. Cała zresztą załoga składała się z jednego żołnierza, przydanego komendantowi do usług osobistych! Obdarzony przez gościnnego Portugalczyka kilku butelkami wina, dnia 31 Lipca Wissmann wpłynął do ogromnej rzeki Zambezy. Dnia 2 Sierpnia odwiedził wzniesioną na brzegu rzeki starożytną warownię portugalską Chupangę, gdzie go przyjął uprzemie komendant Alferez Machado Leal. W pobliżu warowni skromny krzyż zdobi grób zmarłej żony sławnego misyonarza i podróżnika, Livingstona. Wreszcie, płynąc północną odnogą Zambezy, Kwakwą, dnia 8 Sierpnia p. Wissmann przybył do portu Kwilimany, skąd przez Mozambik odpłynął do Zanzylaru. Tutaj dopiero dowiedział się o szczegółach założenia niemieckiej kolonii na wschodnim brzegu, ale zarazem o wzmagającym się wzburzeniu wśród Arabów, które w r. 1890 miał stłumić jako komisarz cesarski i wódz naczelny zwerbowanej pomiędzy Sudańczykami milicyi.

Pogromca powstania w Afryce wschodniej nie otrzymał, jak powszechnie przewidywano, godności generalnego-gubernatora wschodniej

afrykańskiej kolonii niemieckiej. Godność tę od 1 Kwietnia r. b. piastuje baron Soden, były gubernator Kamerunu. Major Wissmann, b. gubernator egipskiej prowincyi niemieckiej basza Emin, tudzież właściwy założyciel kolonii niemieckiej dr Peters, który świeżo wydał ciekawy opis swój przeprawy od brzegu wschodniego do Ugandy *), pod naczelném kierownictwem generalnego gubernatora Sodena działać będą samodzielnie, każdy na innym punkcie ogromnie rozległej strefy, którą traktat angielsko-niemiecki z 1 Lipca przyznał Niemcom.

Tymczasem jednak major Wissmann za trzymiesięcznym urlopem powrócił do Europy, aby odpocząć po trudach wojennych, a zarazem wykończyć czwarte z rzędu dzieło, zawierające już nie wrażenia z przeprawy przez Afrykę, lecz opis operacji wojennych w kolonii niemieckiej. P. Wissmann nie jest tak zagorzałym szowinistą teutońskim, jak np. dr Peters, jednak ostatni okres swój działalności w Afryce uważa jako najświetniejszy. Jako Niemcowi i z zawodu wojskowemu, nie weźmiemy mu tego za złe. Co do nas, wyżej cenimy jego trzy pierwsze wyprawy, podjęte w celach pokojowych i cywilizacyjnych. Opis trzeciej, którą powyżej streściliśmy, jest wprawdzie może pobieżniejszy od dwóch pierwszych dzieł Wissmanna, jednak zawiera mnóstwo pouczających szczegółów i trafnych spostrzeżeń. Dzięki tym wyprawom i opisom Wissmanna, ta rozległa przestrzeń pomiędzy górnym Kassajem a górnym Kongo, pomiędzy 5-ym a 6-ym stopniem południowej szerokości, która przed 10-ciu laty na kartach Afryki tworzyła wielką białą plamę, teraz należy do najdokładniej zbadanych stref równikowej Afryki. Droga z Lubuku do Nyangwy, którą pierwszy odkrył w r. 1887 Wissmann i którą ponownie przeprawił się w r. 1887, jest teraz powszechnie znanym szlakiem. Niestety, tymże szlakiem od wschodu, od Nyangwy, coraz brutalniej posuwa się ku zachodowi ohydna zbrodnia łowów na niewolników, wśród mordów, pożogi i dżumy.

E. LIPNICKI.

*) „Die deutsche Emin Pascha's Expedition“, Monachium, 1891 r., 560 stron. z rycinami.

Pier di Nolhac e Angelo Solerti Il viaggio ni Italia di Enrico III, e le feste a Venezia, Ferrara, Mantova e Torino. Roma 1890. Editori L. Roux et C-ie.

Cała książka poświęcona opisowi ośmiotygodniowego pobytu Henryka Walezjusza w północnych Włoszech, zatem chyba nie grzeszy niedokładnością, gdyż autorowie z mrówczą pracowitością i sumiennnością, godną może poważniejszego przedmiotu, pozbierali wszystko do najdrobniejszych szczegółów, co dotyczyło podróży Walezego w r. 1574 przez Wenecję, Padwę, Ferrarę, Turyn, aż do granicy francuskiej. Wygląda to trochę na reporterkę dzisiejszą, na uganianie się dzisiejszych dziennikarzy *minorum gentium* za głowami koronowanymi podczas wielkich uroczystości, robi wrażenie jakby obszernych korespondencji, a w rzeczy samej jest dowodem pewnego amatorstwa w spisywaniu drobnych szczegółików, odnoszących się do postaci, bądź co bądź, historycznej. Nas książka rzeczona dlatego interesuje, że bohaterem tych uroczystości włoskich jest rozpieszczony i rozbawiawiony młodzieniaszek, który uciekł w nocy z zamku krakowskiego, kiedy się dowiedział, że na niego spadła korona francuska! Takim też zepsutym młodzieńcem, chcącym przedewszystkiem się bawić, przedstawia się nam w ciągu tych wszystkich festynów, takim przedstawia się na portrecie Jakóba Robusti (Tintoretta), malowanym z natury podczas pobytu w Wenecyi, a zawieszonym w pałacu Dożów (w sali degli Stucchi). Szczupły, dwudziestodwuletni brunet, z początkami zarostu nad ustami i na brodzie, z twarzą bez powagi i bez charakteru, mieszanina Włocha (po matce Katarzynie Medycejskiej) i Francuza, Henryk sprawia niesympatyczne wrażenie młodzieńca, niedojrzałego do tronu, hulaki, pojmującego życie jako nieustanną rozrywkę, nadewszystko zas niestworzonego do dźwigania polskiego berła. Bardzo wyraźnie zaznaczył to współczesny świadek, następującemi słowy mówiąc o nim: „Król, acz przychodził do senatu, nieumiejący innego języka, prócz swego i cokolwiek po włosku, siedział jak niemy, niecierpliw, by wyjść coprędzej. Całe zaś noce trawił bezsennie, już to na biesiadach, już grając w karty, gdyż karty nadzwyczajnie lubił. Nie smakował on w społeczeństwie Polaków i troskliwie ich unikał, tak dalece, iż, gdy król z Francuzami swymi używał krotofil w pokojach swoich, senatorowie polscy, nieprzypuszczeni, dnie całe w przysionkach bawili“. (Zbiór pamiętników historycznych J. U. Niemcewicza t. I Warszawa 1822 roku).

Zbyt znanemi są opisy ucieczki Henryka, abyśmy nad nią zatrzymywać się mieli. Autorowie nie dorzucają też nowych szczegółów,

ale idą za opowiadaniem de Noailles'a. (Marqui de Noailles: Henri de Valois et la Pologne en 1572. Paris 1867), oraz za późniejszymi od pobytu Henryka relacjami Nicolo Lucangelego (Successi del viaggio d'Henrico III) i Pietro Buccio (Le coronationi di Polonia et di Francia del Christianiss. Re Henrico III).

Rzeczywista praca autorów rozpoczyna się z chwilą, kiedy Henryk wstąpił na ziemię włoską. Biblioteki weneckie, archiwa włoskie, paryska Biblioteka Narodowa, wszystko to przetrzęsioném zostało starannie, jak świadczy dołączony do książki bibliograficzny spis 17 rękopisów i 86 dzieł łacińskich i francuskich, z których czerpali.

Rzplta wenecka i Francya były w związkach przyjaźni. Obiedwie miały wspólny interes wobec wzrastającej ciągle potęgi Hiszpanii, zresztą stanowisko Francyi już wtedy, przed Ludwikiem XIV, było tego rodzaju, że ambasador dworu paryskiego miał pierwszy krok przed innymi posłami, z wyjątkiem legata papieskiego. Królowa matka była Włoszką, dość więc było powodów, aby wystąpić z nader uroczystém przyjęciem. Zresztą Wenecya nigdy nie przyjmowała królów francuskich, choć oglądała papieży i cesarzy niemieckich. Z swojej znowu strony Henryk słyszał tyle o Królowej mórz, o jej wspaniałości, bogactwach, o pałacach, że ciekawość jego musiała być mocno zaostrzoną. Zatem Senat (Signoria) postanowił wystąpić po królewsku. Znać w tém sadzeniu się na bogaty i wspaniały występ spanoszonych kupców weneckich, dla których rozwinięcie nadzwyczajnego przepychu było punktem honoru. Tymczasem ambasador francuski w Wenecyi starał się pospiesznie o pożyczkę dwóch kroć stu tysięcy skudów dla swego młodego monarchy, spotykał się wszędzie z odmową, i u bogatych bankierów włoskich, i u książąt, nie bardzo ufających w przyszłość królewicza, wracającego do ojczyzny, zamieszanej przez wojny religijne.

Ośmnastego Lipca 1574 r. Henryk wjechał tyumfalnie do Wenecyi, na Bucentaurze, otoczony gondolami i okrętami, z kilku książętami włoskimi, z Dożą, kardynałem San Sisto i z orszakiem swoim, wśród salw armatnich, przez luki tryumfalne, powitany mowami, śpiewami i t. d. Odtąd nie ubiegł ani jeden dzień bez biesiad, uroczystości, przedstawień, — co noc młody Henryk z księciem Ferrary potajemnie wymykali się gondolą, aby użyć swobody i uciech w *belle cortigione*, które także zdaje się były jedną z osobliwych specyalności Wenecyi. Wspomina o tych wybrykach młodego monarchy nawet Torquato Tasso, który bawił naówczas w Wenecyi. Nie brakło także i balów, gdzie patrycyat wenecki zaprodukował najpiękniejsze tancerki i tancerzy swoich, tak, że wśród nieustających zabaw Henryk spędził całe dziesięć dni. Nie tak wspaniale, ale świetne zawsze przyjęcie

czekało króla w stolicy książąt d'Este, w Ferrarze, u książąt Gonzagów w Mantui. Tutaj podziwiał konie, słynne naówczas w całej Europie, tutaj dogonił go kurier z Paryża z wezwaniem od Królowej matki do szybszego powrotu. W granice Sabaudyi wkroczył 12 Sierpnia, przyjęty był w Turynie przez księcia Karola Emanuela, pożegnawszy się poprzednio z ks. Ferrary (Alfonsem d'Este) który marzył o koronie polskiej i w tym celu pilnie chodził około króla.

W Lyonie Henryk spotkał się z matką. Dlaczego tak gwałtownie uciekał z Polski, kiedy w samych Włoszech zapomniał o pośpiechu i strawił całe dwa miesiące na zabawach—z tego przed nią zapewne wytłómaczyć się nie potrafił. Wierzymy, że opuszczał Włochy z żalem, że się nudził na zamku krakowskim. Jemu potrzeba było przede wszystkim rozrywek, a tych użył do syta na klasycznej włoskiej ziemi. Ten wzgląd, więcćj niż jakikolwiek inny, tłómaczy nam jego tak pospieszną i śmieszłą ucieczkę.

A. DAROWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dzień 28 Czerwca 1891 roku zapisał się w historii, jako data odnowienia potrójnego przymierza. Pogłoski, obiegające od pewnego czasu o tym przedmiocie, sprawdziły się prędkiej, niż przypuszczali ich rozpowszechniacze. 28-go Czerwca, w niedzielę, monarchowie Niemiec, Austrii i Włoch podpisali teksty układów traktatowych, a nazajutrz Europa dowiedziała się o wydarzeniu. Nie potrzebujemy rozwodzić się szeroko nad jego doniosłością. Im gdzie bardziej spodziewano się, że się potrójne przymierze rozpadnie, tém większe tam wrażenie sprawiła wiadomość, że ma nadal być zapewniony. Dla Francuzów była ona do tego stopnia nieoczekiwaną, że jeszcze w pamiętną niedzielę i następujący po niej poniedziałek, dzienniki paryskie gorąco wychwalały opozycję włoską za jej opór przeciwko trójprzymierzu i zachęcały ją do dalszej walki, nie tając, że oczekują po niej dobrych owoców; jakoż liczyły one, że letnia kampania opozycji włoskiej będzie tak energiczną i gwałtowną (upoważniały do takich przypuszczeń hałaśliwe skandale w parlamencie rzymskim podczas rozpraw nad polityką zagraniczną), że Rudini zawaha się w swoich postanowieniach i nie odważy się przymierza odnowić. To też, gdy we wtorek rano depesze przyniosły wiadomość o fakcie dokonanym, prasa poprostu straciła miarę sądu o położeniu politycznym. Wiele najpoważniejszych dzienników, w tej liczbie *Journal des Débats*, nie zdobyły się dotychczas ani na jedno słowo komentarza do niespodziewanej wieści. Czekają, aż się wzrok oswoi z mrokiem, który zapadł.

Zakłopotania prasy francuskiej nie podziela naturalnie prasa mocarstw sprzymierzonych. U tej owszém zaczęło się święto. Przymierze potrójne wzrasta w jęj oczach do wymiarów poczwórnego, ponieważ Anglia zupełnie się z nióm solidaryzuje. W chwili, kiedy to piszemy, cesarz Wilhelm bawi właśnie w Windsorze i doznaje serdecznego przyjęcia. W Berlinie, Wiedniu, Rzymie i Londynie wszystkie koła polityczne i prasowe, z wyjątkiem nielicznych odłamów opozycji skrajnej, śpiewają tę samą pieśń radosną. Wychwalaniu błogich następstw odnowionego sojuszu niéma końca. Ono-to jest gwarancją pokoju, ono chroni Europę od wybuchu, który jęj grozi, zaczajony w tysiącach luf armatnich. Nie można się zresztą dziwić, że opinia publiczna w państwach sprzymierzonych radośnie odczuła nowinę. Wie ona, jakie korzyści zapewnia przymierze potrójne, nie wie, co było-by, gdyby się rozpadło. Prawda, że pokój obecny jest pokojem zbrojnym, uciążliwym i kosztownym; ale sprzymierzeni zawdzięczają mu bezpieczeństwo. Ta liga czterech państw, toć to potęga nie lada, której bez koniecznego powodu nikt nie zaczepi, a bez wielkiego chyba wysiłku nikt nie pokona. Czy i z wysiłkiem zdołał-by ją kto pokonać, niewiadomo. To poczucie bezpieczeństwa sprawia interesowanym taką przyjemność, że wobec nięj milknie nawet żal po milionach, wydawanych co rok na uzbrojenia. Skoro zaś zapowiadane z wielu stron rozpadnięcie się trójprzymierza stawiało-by sprzymierzonych w nowęj zupełnie a zagadkowęj co do następstw sytuacji, łatwo zrozumieć, że po odnowieniu sojuszu odetchnęli swobodnie, jakby im spadł z serca kamień.

Oczywiście jednak to poczucie ulgi ma za podstawę tylko porównanie jednego zła z drugiém, wiadomego z niewiadomém. Rozważane albowiem samo w sobie, położenie Europy przez odnowienie przymierza potrójnego w niczém się nie polepszyło. Przedłużono sojusz w przewidywaniu wojny, ta więc nie przestanie wisić w powietrzu. Będą szły dalej uzbrojenia, będzie po dawnemu panowała niepewność ogólna. Prasa petersburska jest zdania, że w następstwie odnowienia trójprzymierza przyjść musi do zawarcia przymierza stanowczego między Rosyją i Francyją. Jakoż przeciwieństwo dwóch wielkich politycznych obozów, na które podzielona jest Europa, zaostrza się dziś bardziej, niż kiedykolwiek, nie budząc bynajmniej otuchy, że nowe pięciolecie sojuszu dobiegnie do końca bez katastrofy wojennęj. Sprzymierzeni ubezpieczyli się właśnie na ten wypadek, przewidując możliwość wybuchu. Czy i jak zespolą swoje siły ku obronie Francya i Rosyja, to się z czasem pokaże. W każdym razie stosunek tych ostatnich państw do siebie musi teraz uleść ostatecznej regulacyi, i albo przymierze między nimi jest wogóle niemożliwe, albo obecnie zostanie zawarte.

Rozprawy budżetowe w austriackiej radzie państwa przyniosły tryumf polityce hr. Taaffego. Z wygłoszonych mów pokazało się, że marzona przez niego kombinacja rządów z lewicą, jak się zdawało, już poważnie zachwiana, może przyjść i przychodzi do skutku. Lewica nie połączyła się wprawdzie w zwartą całość z innymi stronnictwami; było to niemożliwe, bo wszystkie one w tej niepewnej i trudnej sesji starały się nie pozbywać swobody ruchów, co-by je na przyszłość krępowało. Przy zachowaniu jednak tej swobody, lewica ujawniła gotowość wspólnego działania z kołem polskim, przy współdziałaniu drobnych umiarkowanych klubów prawicy. Możliwość współdziałania lewicy z kołem polskim oparła się na kilku wspólnych obu tym klubom zasadach programu. Mówcy liberalni stwierdzili, że lewica jest tak samo „stronnictwem państwowem“, jak koło galicyjskie, że ona i koło obstają przy dualizmie, że mają wspólne poglądy na politykę zagraniczną, że wreszcie i w stosunkach wewnętrznych łączy ich wiele poglądów, zaczynając od tego, że i lewica, i koło przeciwnie są zaprowadzeniu szkół wyznaniowych. Mówcy koła potwierdzili to wszystko mniej więcej wyraźnie i oświadczyli gotowość wspólnej pracy „ze wszystkimi stronnictwami, które oddadzą kołu poparcie za poparcie.“ Powiedziano sobie wiele wzajemnych grzeczności, na jesieni zaś ma przyjść do zmian w gabinecie, które dadzą niejako wyraźną sankcję dokonanej zmianie, a zarazem przyczynić się mogą do zacieśnienia łączności między grupami, które wspólnie mają rządzić, ale dziś jeszcze niczem nie są z sobą związane, prócz tego, że nie mają do siebie uprzedzeń, że gotowe są wspólnie pracować i że spodziewają się stąd dla siebie korzyści.

Interesującym epizodem tych rozpraw była mowa posła młodoczeskiego, Waszatego, który w długim wywodzie starał się przekonać swoich słuchaczy, że trójprzymierze jest dla Austrii szkodliwe, że powinna ona zerwać z Niemcami a zbliżyć się do Rosyi, i że dopóki to zbliżenie nie nastąpi, słowianom austriackim nie będzie się dobrze działo. Mowa ta była tak niespodziewana, że wprawiała w kłopot nawet klub młodoczeski. To też po chwili deputowany Tischler oświadczył imieniem klubu, że Waszaty przemawiał we własnym tylko imieniu, skąd wypadało, że młodoczesi z poglądami jego nie solidaryzują się.

Wkrótce dzienniki doniosły, że Waszaty otrzymał od klubu naganę za wyrwanie się samopas z mową drażliwej treści politycznej, a nawet że ma być wydalony z klubu. I nie wiadomo, co by się było stało, gdyby nie to, że ujęła się energicznie za Waszatem prasa petersburska, poddając surowej krytyce zachowanie się klubu wogóle, a Tischlera w szczególności. Pytała ona, dlaczego klub wyparł się

Waszatego, gdy ten przemawiał w duchu wyznawanych dawniej przez młodoczechów zasad? Czy się już tych zasad wyparli, albo może już utracili odwagę wyznawania ich. Jeśli tak, to naród czeski, który stoi po stronie Rossyi, odmówi im wkrótce zaufania, jak go niedawno odmówił staroczechom.

W ten sposób monitowany, klub młodoczeski nie tylko wstrzymał się od wydalenia ze swego łona Waszatego, ale ogłosił w dziennikach deklarację, że wszelkie doniesienia, jakoby między członkami klubu panowały jakieś nieporozumienia, pozbawione są podstawy; wszyscy posłowie młodoczescy są z sobą we wszystkim jednomyślni.

Ratowało to Waszatego, ale nie poprawiło w opinii dzienników petersburskich zachwianej reputacji klubu. *Nowoje Wremia* powtórnie wówczas bierze pod krytykę jego postępowanie. Klub, według tego pisma, cofnął się, bo naród czeski stoi za Waszatem i wreszcie trzeba było naprawić złe wrażenie, sprawione w Rossyi przez deklarację Tischlera. Prócz tego pozostanie faktem, że klub dwa razy kłam sobie zadał i że sam nie wie, czego chce. Potępiając w parlamencie Waszatego, klub skłamał swoim dawniejszym zasadom, w imię których został wybrany; deklarując się później solidarnym z Waszatem, klub znowu zaparł się owego potępienia. Kiedy był szczery, a kiedy udawał? *Nowoje Wremia* nie wie. W rezultacie wystąpienie Waszatego przyczyniło się do skompromitowania klubu młodoczechów, nie tylko w oczach wielu stronnictw austriackich, ale, przez towarzyszące mu okoliczności, i w opinii prasy petersburskiej. Pierwszą kompromitację młodoczesi zniesli-by zapewne z poddaniem się; druga jednak zabolęła ich, gdyż o życzliwość opinii publicznej w Rossyi bardzo dbają. To też *Narodni Listy* starają się, jak mogą, naprawić złe wrażenie postępków klubu młodoczeskiego na publicystach petersburskich. Deklaracja Tischlera, powiada to pismo, dotyczyła nie zasad ogólnych, bo z temi wszyscy młodoczesi zgadzają się, ale niektórych zdań poszczególnych. Jakich? — pyta *Nowoje Wremia*. Na pytanie to zresztą nie spodziewa się ono odpowiedzi, uważając z góry wyjaśnienie *Narodnich Listów* za prosty wykręt.

Co właściwie kryje się [za tą dwukrotną zmianą pozycji przez klub młodoczeski? Podobno w istocie jest on podzielony na trzy grupy, które walczą o uzyskanie przeważnego wpływu; ale żadna go dotąd nie osiągnęła. W deklaracji Tischlera odezwało się echo dążeń tych członków klubu, którzy chcieli-by niejako upraktyczyć jego politykę, przystosować ją do okoliczności, uczynić z młodoczechów stronnictwo parlamentarne, z którym-by się liczył rząd i inne frakcje bar dziej, a zwłaszcza inaczéj, niż to się obecnie dzieje. W późniejszym

stwierdzeniu solidarności wszystkich członków klubu między sobą znać było znowu wpływ innego jego odłamu. Posłowie młodoczesy widocznie nie zdołali sobie jeszcze należycie sformułować programu taktyki parlamentarnej i stąd te nieufności i te wahania w ich ruchach. Z opóźnienia w tym względzie korzystają roztropnie ich przeciwnicy, ze staroczechami włącznie, starający się przekonywać społeczność czeską o zupełnej niedojrzałości obecnych jej w parlamencie przedstawicieli, których nierozum i nietakt przypisał naród czeski o utratę powagi i wpływu w państwie i naraża go na nieobliczone straty w przyszłości. Jeżeli więc posłowie młodoczesy nie pośpieszą się z wynalezieniem jakiejś stałej dla siebie drogi, budzącej większe zaufanie, mogą, wpośród namysłów, wahań, rozterek i prób niezręcznych, doczekać się zupełnego dyskredytu.

Telegramy i korespondencye rozniosły po całym świecie smutną wiadomość o zawaleniu się mostu z pociągiem osobowym na rzece Birs pod Mönchenstein, w pobliżu Bazylei, na linii Jura-Simplon. Szpalty dzienników są przepełnione szczegółowemi opisami rozdzierających serce walk ze śmiercią, tudzież tonących w nurtach rzeki, przygniecionych odłamami wagonów lub ocalonych a rozpaczających po stracie ukochanych. Od tego czasu zaszło znów kilka wypadków kolejowych, mianowicie trzy w Europie zachodniej, trzy zaś w Ameryce północnej. Nie naszą jest rzeczą grać na uczuciach i nerwach ogółu opisywaniem takich katastrof; zaznaczamy tedy tylko fakta, jako dowody karygodnej lekkomyślności, niezwracającej w dostatecznej mierze uwagi na bezpieczeństwo osób, które swoje życie kolejom powierzają.

Godném jest uwagi, iż najmniej bywa wypadków na naszych kolejach. Prawda, że u nas ruch jest najpowolniejszy, a więc i niebezpieczeństwo stosunkowo najmniejsze. Natomiast coraz częściej zdarzają się wypadki na Zachodzie Europy, a stały się prawie powszedniemi w Ameryce, gdzie zysk z kolei na pierwszym, a bezpieczeństwo pasażerów na drugim stoi planie.

O ile pamiętamy, przyczyną wszystkich nieszczęść na kolejach prawie zawsze bywała wadliwość strony technicznej lub wyczerpanie sił służby, czuwającej nad bezpieczeństwem publiczności. Ale widocznie nauka, wynikająca ze smutnych doświadczeń, tu idzie w las, o zmianach na lepsze ani słyhać. Zarówno przy budowie kolei, jako i przy eksploatacyi, pierwszą zasadą jest taniść. Byle tanić, byle prędziej! Z tém hasłem odbywa się budowa i eksploatacya dróg, tak dalece, że nawet głośna i poważna firma Eiffel, której dziełem był most na rzece Birs, nie stanowi wyjątku. Większa jednak w tym

razie ciąży odpowiedzialność na zarządzie, który podobno wiedział o niebezpieczeństwie mostu. Wiedzą również dobrze wszystkie zarządy kolejowe o niebezpieczeństwie największem, wynikającym z przeciążenia pracą i z nieodpowiedniej liczby obsługi. Na tę stronę zwrócono dopiero niedawno uwagę, ale tylko w formie westchnień lub projektów. Obszerniej tę sprawę traktowano przed dwoma laty w Paryżu na kongresie międzynarodowym pod przewodnictwem Leona Say'a i Juliusza Simona, i postawiono szereg bardzo skromnych żądań co do redukcji ruchu i pracy w dni świąteczne. Żądania te wszelako nie znalazły posłuchu. Jedna tylko Anglia, dzięki zakorzenionej tam tradycji ścisłego świętowania, gorliwie stosuje ten zwyczaj i na kolejach, dając tym sposobem wypoczynek służbie. Gdzie indziej przeciwnie się dzieje, — w dni świąteczne ruch się wzmacnia, skutkiem rozmaitych pociągów nadzwyczajnych. Było-by to dobre, gdyby jednocześnie powiększono odpowiednio personel roboczy. Ale ucierpiałaby na tém... dywidenda. Dała się ona we znaki ogółowi, skoro ten, w nadziei lepszych warunków, powitał z radością upaństwowienie kolei w Niemczech. Zdawało-by się, iż tutaj stan rzeczy powinien byłby zasadniczo się zmienić. Niema akcyonaryuszów, niema zatem dywidendy i dążności do jej zwiększenia. Rząd powinien przedewszystkiém mieć na celu dobro i wygody publiczności, którą łatwo jest zadowolnić i zapewnić jej bezpieczeństwo, poprzestając na umiarkowanych zyskach. Minister komunikacji dążył do jak najwyższych zysków, aby tylko nie zmniejszyć dochodów skarbu, którego wydatki z roku na rok się zwiększają. Tu tedy wystąpiła na jaw jedna z niebezpiecznych stron systemu kolei skarbowych: fiskalizm. Prawda, że skarbu państwa w trudnym znajduje się położeniu wobec miliardowych długów, jakie na kupno kolei zaciągnął, a które dla gospodarstwa państwowego niemałe stanowią niebezpieczeństwo. W Prusach np. koleje dawały dotychczas wielkie zyski, tymczasem obecnie potrzeba znacznych sum na odnowienie taboru, a nowy Minister skarbu, Miquel, bardzo pesymistycznie na dochody kolei skarbowych się zapatruje. Czy wobec tego zdoła pomyśleć o powiększeniu bezpieczeństwa?

Nie mało przeraziły publiczność niemiecką, a nawet i zagranicą, relacje, poczynione podczas świeżego a głośnego procesu w Bochum, gdzie redaktor pisma „Westphal-Volkszeitung“, p. Fussangel, podczas rozpraw sądowych w procesie, wytoczonym mu o obrazę pewnej komisji podatkowej, podniósł zarzut, iż w sławnej fabryce stali w Bochum, pozostającej pod dyrekcją przemysłowca niemieckiego Baarego, podrabiają się stemple, przeznaczone do odbioru szyn, tak, iż kolejom bywają dostarczane szyny inne, oczywiście gorsze od tych, jakie odbierają wydelegowani przez zarządy kolei znawcy.

Z powodu zarzutu tego, który p. Fussangel w dalszym ciągu poparł różnemi dowodami, przytoczonymi w piśmie swoim, zostało wytoczone śledztwo, które dotychczas nie jest ukończone. Nie wiadomo, czy śledztwo wykryje wszystkie nadużycia, Niemcy bowiem bardzo są w tém zainteresowani, aby nie wykryto szachrajstw w ich fabrykach, dostarczających także materiału zagranicą. Jedyna nadzieja w tém, że p. Fussangel sprawy téj dopilnuje, bo osobiście w tém jest interesowany.

Tak to nie jeden szczegół rzuca światło na bezpieczeństwo na kolejach. Ale nie tylko pasażerowie są narażeni na wypadki; w wyższym jeszcze stopniu zagrażają one robotnikom.

Smutne położenie robotników w innej dziedzinie maluje nam inspektor przemysłowy dla Galicyi, p. Nawratil, w ostatniem swoim sprawozdaniu rocznem. Według jego danych oficjalnych, w ciągu roku ubiegłego było w fabrykach tamtejszych 387 nieszczęśliwych wypadków, i to tylko takich, o których doszła wiadomość p. N. Wszelkie wymagania inspektora i skargi jego na przedsiębiorców najmniejszego skutku nie wywierają. Położenie warstw pracujących pod każdym względem jest oplakane, według słów p. Nawratila, o higienie mowy niema, ubóstwo, a nawet nędza, na każdym kroku. Wymagane przez ustawę kasy chorych albo wcale nie istnieją, albo, jeżeli są, nie przynoszą najmniejszego pożytku. Czasu pracy skontrolować nie podobna, stosunek pracodawców do robotników w większości wypadków jest nieprzyjazny. Takie są uwagi obiektywne osoby oficjalnej, dotyczącej tych spraw zblizka. Trzeba jednak przyznać, że ciągle ujawnianie zakulisowych stosunków rolniczo-fabrycznych nie wynika z prostej ciekawości. Ścisłe badanie warunków pracy poprzedza zwykle reformę, dążącą do przyniesienia jakiej takiej ulgi warstwom pracującym. W ostatniem dziesięcioleciu działalność w tym kierunku rozpostarła się względnie dość szeroko, ogarnęła znaczną część zachodu, przejawia się i u nas. Aczkolwiek robota jest jeszcze niekompletną, ma jednak na względzie złagodzenie ciężaru pracownikom i ograniczenie wyzysku przemysłowców. Obok warunków pracy obecnej, zwrócono uwagę na przyszłość robotników. W Niemczech nowe prawo w tym względzie od 1-go Stycznia r. b. już obowiązuje; „przodująca“ Francya spóźniła się w tej ważnej sprawie, ale dziś szczerze się nią zajmuje, pod naciskiem przedstawicieli warstw interesowanych. „*Protection ouvrière*“ jest teraz na porządku dziennym i, według szkicowego przedstawienia p. Constans'a, odznacza się większą humanitarnością, niż prawo niemieckie. Robotnik francuski może otrzymać emeryturę w 56 roku życia, niemiecki—dopiero w 70-m

i przy tém pierwszy ma dwa razy większą pensję emerytalną (300—600 fr.), niż ostatni (120 — 180 marek, kobiety tylko $\frac{2}{3}$ tego). Pozornie jednak prawo niemieckie przedstawia się imponująco: skutkiem przyłączenia robotników rolnych, liczba kandydatów do emerytury w Niemczech wzrosła przeszło do *jedenastu milionów*; we Francji zaś, wedle obliczeń p. Constans'a, wynosi ona przeszło sześć milionów. Przychodzi kolej na Anglię. Zauważono tam, że na 7 osób sześćdziesięcioletnich jedna musi szukać schronienia w domu ubogich, zaś z 75-letnich — jedna na trzy, czyli pierwszych 14^o/_o, drugich 33^o/_o. Odkrycie to ma być bodźcem do opracowania prawa, zabezpieczającego starość robotników. U nas w ostatnich czasach objawił się ruch w kierunku ubezpieczenia bytu robotników i ich rodzin w razie śmierci lub kalectwa. Nad tą sprawą obraduje rada państwa. Według projektu tych przepisów, właściciele fabryk, zakładów górniczych i przemysłowych, jak również przedsiębiorcy budowlani, będą musieli wynagradzać robotników lub ich rodziny w razie śmierci albo kalectwa. Obowiązek ten ciąży na pracodawcy mianowicie wtedy, gdy nieszczęście wynikło przy robocie, prowadzonej w warunkach zabronionych przez prawo, przy maszynach źle urządzonych, aparatach, kotłach i t. d. Do przyczyn pociągających ten obowiązek należą także: niezastosowanie sposobów niezbędnych przeciwko działaniu szkodliwych wpływów środków chemicznych, wreszcie—niedostateczna wprawa lub zupełna nieznajomość rzeczy pracownika, któremu powierzono dozór w takich oddziałach, gdzie łatwo może nieszczęście wyniknąć. We wszystkich takich wypadkach robotnik otrzyma wynagrodzenie pieniężne w stosunku do rocznych zarobków i rozmiarów kalectwa. Tylko gdy wchodzi w grę „wyższa siła żywiołowa“, pracodawcy będą zwolnieni od wynagrodzenia poszkodowanych. Niewątpliwie i w tym razie wykonawcy tego prawa doniosłego będą mieli wiele trudności do pokonania przy ocenianiu niedbalstwa i oddzielaniu go od „siły żywiołowej“. Wybuchy gazów w kopalniach również dadzą się zaliczyć do sił żywiołowych, a jednak pochodzą one z niedbalstwa, jak np. niedawna katastrofa w kopalniach Rykowskich, w pobliżu Jazówki. Bądź co bądź, już samo włożenie obowiązku usprawiedliwienia się na fabrykanta jest ważnym krokiem w prawodawstwie fabrycznym; dotychczas bowiem odpowiedzialność pracodawców była bardzo niepochwytną z powodu natury samych wypadków, zacierających wszelkie ślady po sobie. Zwykle najbliżsi świadkowie katastrofy giną, maszyny, kotły i całe oddziały fabryk ulegają zupełnemu zniszczeniu, utrudniając wszelkie sposoby przeprowadzenia śledztwa. W Niemczech i Austrii te same trudności długo były przedmiotem troski pracodawców, wreszcie obmyślono na to względnie skuteczne środki. Od

lat kilku (w Niemczech od r. 1884, w Austrii od 1887) utworzono państwowe instytucje ubezpieczeń robotników od wypadków nieszczęśliwych, do których muszą obowiązkowo przystępować wszelkie przedsiębiorstwa przemysłowe i zakłady fabryczne. Instytucje powyższe mają tę zaletę, że, bez względu na „siłę wyższą“ lub niedbalstwo ludzkie i nieostrożność, poszkodowany zawsze otrzymuje wynagrodzenie. Bardzo sprawiedliwy jest podział procentowy składek w stosunku do zamożności i stopnia odpowiedzialności: fabrykant wnosi 90%, robotnik 10%. W Warszawie staraniem wybitniejszych osobistości miejscowych powstaje Towarzystwo ubezpieczeń na życie pod nazwą „Przezorność“. Nowe Towarzystwo ma uprawiać wszystkie rodzaje ubezpieczeń życiowych, a nie należy wątpić o tém, że, tak jak inne towarzystwa, zajmie się także asekuracją robotników fabrycznych, co, gdy odpowiedzialność przedsiębiorcy w należyty sposób przez prawo będzie określona, może być z ogólną korzyścią połączone.

Nowe Towarzystwo ubezpieczeń, krom życiowego, innego działu mieć nie będzie, co niewątpliwie za dobrą jego stronę uważać należy. Dla rozpoczęcia czynności musi być przez założycieli złożony kapitał gwarancyjny, na akcje zebrany, w sumie 500,000 rs, który będzie przynosił akcyonaryuszom 6% i drobny udział w czystych zyskach. W miarę wzrastania dochodów „Przezorność“ ma spłacać swych akcyonaryuszów i w końcu, załatwiwszy się z nimi, przybrać całkowicie formę wzajemnego ubezpieczenia. Ma to wpłynąć na pomyslniejszy rozwój instytucji, a oszczędność na dywidendach od kapitału zakładowego zużytkowaną będzie na podwyższenie wynagrodzenia poszkodowanym lub zmniejszenie rozmiarów opłat asekuracyjnych. Nowej instytucji, pierwszej u nas w kraju, życzyć należy powodzenia, a poszkodowanym (oby ich najmniej było!)—wielkiej z niej korzyści.

Pracownicy przemysłowo-handlowi w Tomaszowie, którzy nie przedstawiają nic pojętego dla operacji kapitalistycznych, sami utworzyli Towarzystwo wzajemnej pomocy i uzyskali już zatwierdzenie wyższej władzy. Nie ma ono nic wspólnego z przedsiębiorstwem, zadaniem zaś jego jest wyłącznie – pomoc towarzyszom cierpiącym materialnie: wyszukiwanie miejsc dla tych, którzy utracili posady nie z własnej winy, udzielanie członkom zapomóg w razie choroby, pożyczki, zajmowanie się pogrzebem ubogich członków.

Jak widzimy, cel i program piękny, a sam fakt powstania takiego stowarzyszenia godzien jest jak najszerzego naśladowania, tém bardziej, że wogóle byt warstw pracujących niezbyt pojętnie u nas

się przedstawia. Nie wesoło także się zapowiada okres letni dla pracowników fabrycznych w okręgu łódzkim: po kilkomiesięcznym ożywieniu ruch w przemyśle znowu słabnie, czego pierwszą jest oznaką redukcya rąk roboczych. (Między innymi z fabryki Geyera wydano 38 tkaczy). Owo ograniczenie wynika jeszcze z innej przyczyny — rozwoju techniki. Jest to rzecz niennikniona i z góry przewidziana w urządzeniu obecnym; każdy robotnik wie o tym dobrze, iż maszyny wypierają pracę ręczną, a jednak uważa ten objaw za krzywdę swoją i trudno wymagać, aby inaczej na to patrzył. Obecnie świeży taki fakt zaszedł w Łodzi, gdzie jedna z większych fabryk wprowadza maszyny przędzalne, oszczędzające znaczną liczbę robotników. Maszyny te (ogółem 22) wymagają dla obsługi tylko dwóch ludzi dorosłych i 15 — 20 nieletnich. Robotnicy tamtejsi strachem są zdjęci na myśl, że nowość ta może się rozpowszechnić w innych fabrykach: a że się rozpowszechni, wątpić o tym nie można, będzie to zwyczajnym następstwem współzawodnictwa. Cóż pozostanie usuniętym? — Charakterystyczna u nas wędrówka na oślep za chlebem; bo takiej instytucji, która-by wskazywała robotnikom rynki pracy, pośredniczyła w jej uzyskaniu, dotąd jeszcze nie mamy. To samo widzimy w głębi Rosyi, gdzie w miesiącach letnich odbywa się w większym niż u nas stopniu gromadna wędrówka najmitów na chybił trafił. Skutkiem tego nagromadza się zazwyczaj w guberniach południowych taka masa poszukujących pracy, że większość ich musi głód cierpieć i o żebraniu wracać do domu. Są to przeważnie włościanie małorolni, którym liche i szczupłe szmaty ziemi, obciążonej podatkiem, nie wystarczają na wyżywienie siebie i rodzin. Na to smutne zjawisko zwróciło uwagę ministeryum spraw wewnętrznych i postanowiło wprowadzić w życie odpowiedni środek zaradczy. Osnowa tego środka, według doniesień pism ruskich, jest następująca: Gromada wiejska nie pozwoli oddalać się na zarobki tym, którzy wbrew woli rodziców lub starszych członków rodziny zechcą opuścić swoje strony. Nie krępowani temi warunkami powinni uzyskać odpowiednie upoważnienie gromady wiejskiej, poczem decyzję naczelnika ziemskiego. O takim upoważnieniu powinna być zrobiona wzmianka w paszporcie, wydanym przez wójta gminy (*starszynę*), tudzież wyszczególniony fach okaziciela. Zgromadzenia włościańskie, dla ułożenia listy robotników wędrownych, powinny się zbierać co rok, najdalej w połowie Lutego. Robotnicy, trudniący się jednakowem rzemiosłem, wyruszając do pewnego z góry określonego punktu, powinni z pomiędzy siebie wybrać starostę artelowego, który zawiera umowy o roboty i kieruje gospodarstwem arteli. Ziemstwa i ich naczelnicy obowiązani są donosić rządowi gminnym o punktach, wymagających największej liczby rąk ro-

bocznych, udzielać wskazówek starostom artelowym i starać się wogóle o jak najdokładniejsze informacje co do pewności zarobków i zapotrzebowania najmitów w danej okolicy. Prasa ruska różnorodnie zapatruje się na projekt powyższy. Między innymi zasługuje na uwagę zdanie „Rusk. Wied.“, które z tego tylko się cieszą, iż ograniczona będzie samowola głowy rodziny i wójtów, których opinia wielkie ma znaczenie w uzyskaniu paszportów. Co do reszty punktów nowego prawa, to, zdaniem powyższej gazety, można się spodziewać, iż nadzór naczelników ziemskich nad zarobkowaniem wędrownym znajdzie się pod kierunkiem wpływów, nie wiele mających wspólnego z potrzebami istotnymi. Wiadomo np., że w wielu miejscowościach Rosyi, szczególnie w guberniach czarnoziemnych pasu środkowego, właściciele ziemscy są bardzo zainteresowani w zatrzymywaniu jak największej liczby robotników. Wszelkie dowolne krępowanie ubocznych zarobków nie tylko stworzy sztuczne przywileje dla jednych miejscowości ze szkodą innych, ale z natury rzeczy dotknie prawa swobodnej zmiany miejsca, co od czasu zniesienia zależności pańszczyznianej stało się istotną cechą wolnego stanu włościańskiego.

Nie tylko do robót polnych najmici gromadnie latem dążą. Nęcą ich również miasta wielkie, gdzie mają nadzieję znaleźć dorywczy zarobek przy budowie i odnawianiu domów, naprawianiu bruków, a jak w Warszawie, obok tego, przedmiotem przyciągającym jest kanalizacja, która, gdyby nawet objęła wszystkie przedmieścia nowo przyłączone i szerokie okolice miasta, jeszcze-by nie zdołała dać pracy wszystkim kandydatom, od prostych robotników z łopatą i dozorczy, do uzdolnionych techników, i wogóle ludzi z uniwersyteckim lub gimnazjalnym wykształceniem, nie gardzących zarobkiem, właściwym dla analfabetów. W sezonie bieżącym zarząd kanalizacji w Warszawie wprowadza po raz pierwszy w Królestwie system robót „artelowy“,—dość dawna forma spółek robotniczych. Spółka będzie utworzona z robotników miejscowych bez udziału przedsiębiorcy, dla uniknięcia wyzysku; otrzyma ona od administracji wszystkie narzędzia, które powinna zwrócić po ukończeniu robót. Każdy robotnik otrzyma określoną płacę dzienną, przy oznaczeniu ilości roboty dla całej kompanii. Wynagrodzenie za robotę, wykonaną przez całą spółkę po nad normę, będzie dzielone między stowarzyszonych w stosunku do pracy zarobkowej każdego z nich. Środek ten ma na celu zapobieżenie nadużyciom, wobec braku jeszcze solidarności pośród członków nowej spółki. Spółka będzie miała prawo żądać, iżby ze składu jęj usuwano takich członków, „których uzna za leniwych lub nie moralnych i których nie będzie chciała mieć w liczbie swych uczestników.

Ten ostatni szczegół przypomina nieco większe masy ludzkie, związane nie z góry nakreślonymi przepisami, ale warunkami bytu. Ta tylko zachodzi różnica zasadnicza, że podczas gdy „artel“ może wykluczyć szkodliwych ze swego grona jednym wyrokiem gromadnym, społeczeństwo od dawien dawna pasuje się z jednostkami zbrodniczymi i dotąd nie może się uwolnić od nich. Sprawa ta, najdotkliwsza dla ogółu, w ostatnich latach żywo zajęła umysły socjologów, antropologów i prawników, usiłujących znaleźć skuteczny środek uwolnienia społeczeństwa od tego zarazku, szybko się rozrastającego. Dwa zjazdy specjalistów, w Rzymie i Paryżu, oprócz garści ciekawych uwag i zestawienia badań kilku uczonych, nic nie dały takiego, co by natychmiast w życie weszło. Najżywiiej zajmują umysły ludzkie przestępstwa powtarzane, jako najdotkliwsze dla ogółu; w tym też kierunku największe ożywienie przejawia się w przekształceniu kodeksów. Dotąd w chaosie paragrafów wogóle nie zdołano jeszcze dostatecznie rozpoznać kategorii zbrodni powtórzonych i wedle tego stosować stopień kary. Obecnie prawodawstwo ruskie wprowadza ważną reformę w tym duchu, nadając większą jasność przepisom i usuwając sprzeczności. Recydywę, jak dawniej, uznano za przestępstwo, zasługujące na surową karę, ale ujednostajniono jej pojęcie. Recydywą jest popełnienie powtórne przestępstwa tego samego lub tej samej kategorii, po odbyciu kary za pierwsze. Winy podzielono na sześć grup. Po upływie terminu, określonego dla każdej z tych grup, zbrodnia nowa nie będzie uważana za recydywę. Ustanowiono okres dziesięcioletni dla zbrodni, karanych pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów i oddaniem do ciężkich robót lub zesłaniem na osiedlenie w Syberyi. Następnie, względnie do przewinienia, idą terminy: ośmioletni, pięcioletni, trzyletni, dwuletni i roczny. Wogóle nowe prawo ogranicza karę surową, chociaż zastrzega, iż w wyjątkowych razach nie będzie ono stosowane.

Obok tej reformy przedsięwzięto zmiany w ustawie o adwokaturze. Chodzi tu głównie o ustanowienie pewnej określonej liczby adwokatów przysięgłych w każdym okręgu sądowym i zabronienie samodzielnej praktyki pomocnikom adwokatów przysięgłych. Nadto ważnym jest ten warunek, iż na przyszłość procesujące się strony będą zwolnione od bezpośredniego zawierania umowy z adwokatem w sprawie prowadzenia procesu, wynagrodzenia i t. d. Każdy interesant powinien się udać do rady obrończej, która następnie poleca prowadzenie sprawy jednemu ze swych członków, określając przy tém wysokość wynagrodzenia. Tym sposobem, jak twierdzi „Grażdanin“ — będzie usunięta demoralizująca obecnie procedura bezpośrednich sto-

sunków klienteli z adwokatami, ta procedura, przy której adwokat, nie posiadający bogatego otoczenia w swojej kancelaryi i mieszkaniu, pozbawiony jest praktyki. Z drugiej strony zyskają na tém znacznie klienci, nie mający odwagi fatygować znakomitości ze zbyt-kowném otoczeniem i nie mający pojęcia o sumiennych obrońcach bez piórek bogatych. Reforma ta między innymi ma na celu polepszenie bytu wogóle wszystkich adwokatów. Niwelacja owa atoli nie osłabi powodzenia zdolnych, z wyrobioną opinią. Za to niesumienni i nieudolni, wyzyskujący klientów, będą pozbawieni pola do nieuczciwych działań i—albo się poddadzą nowemu porządkowi rzeczy, który im wyjdzie na dobre, albo znajdą sobie inne drogi zarobkowania, zgodne z ich usposobieniem i dążnością.

Podobna reforma wkrótce dotknie lekarzy, mająca również na względzie uregulowanie praktyki i dobro pacjentów. Niedawno właśnie departament ekonomiczny rady państwa roztrząsał projekt ustanowienia ściśle określonej taksy obowiązkowego honorarium za pomoc lekarską. Wysokość wynagrodzenia ma zależeć od stopnia zaludnienia danej miejscowości, tudzież od zamożności i stanowiska społecznego pacjentów. W tym celu przyjęto podział miast wedle ludności: Pierwsza kategoria—wyżej pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, następnie druga—od pięćdziesięciu do pięciu tysięcy, i wreszcie miasta, miasteczka i wsie z ludnością niżej pięciu tysięcy. Pod względem położenia społecznego, podzielono pacjentów również na trzy grupy: do pierwszej należą kapitaliści, więksi właściciele ziemcy, kupcy pierwszej gildyi i bankierzy, fabrykanci i wyżej opodatkowani właściciele domów, wreszcie urzędnicy, należący do pierwszych sześciu rang. Do drugiej grupy: urzędnicy rangi siódmej i ósmej, przedstawiciele tak zwanych wolnych profesyi, komisanci handlowi, kupcy drugiej gildyi i t. d. Do trzeciej — wszyscy pozostali obywatele. Co do taksy, proponowaném jest najwyższe honorarium 5 rs. za wizytę lekarza w mieszkaniu pacjenta, a 3 za poradę u lekarza. Najniższe honorarium dla robotników i innych klas odpowiednich oznaczono na 30 kop. Nie można z góry wiedzieć, jakie zajdą trudności lub niezgodności z pewnymi warunkami przy wprowadzeniu tego projektu w życie. To tylko pewna, że jedna i druga strona zyska na tém wiele. Nie wchodzimy w praktyczność lub niepraktyczność szczegółów powyższych, ale podnosimy sam fakt określenia obowiązkowej taksy lekarskiej w stosunku do zamożności warstw i stopnia intratności stanowisk społecznych. Jak się dzisiaj rzecz przedstawia? Przyznać trzeba bezstronnie, że dzieje się często wyzysk, zarówno ze strony pacjentów, jak i lekarzy. Dowolność honorarium robi to, iż

lekarze (mówimy tu o mniejszości) stają się częstokroć pauami położenia i nie uwzględniają zamożności pacyentów, albo znowu ci ostatni zbywają lekarza półrubelkiem lub złotówką, a nawet, korzystając z „drażliwości“ płacenia honoraryum, poprzestają na rzuceniu „Bóg zapłać!“ Wreszcie najliczniejsza klasa uboga, robotników, wyrobników i włościan, zaniedbuje choroby, lub udaje się do znachorów i felczerów, jak w sprawach sądowych do pokątnych doradców, bojąc się żądania wysokiego wynagrodzenia. Projekt reformy określa najniższą skalę honoraryum lekarskiego 30 kop. Niewątpliwie znajdzie się bardzo wielu takich, dla których i ta suma będzie za wielką. Ale przecież i dziś lekarze częstokroć nie patrzą, jaką im biedak monetę położy, a nawet znaczną część swego czasu poświęcają na poradę bezinteresowną dla tych ludzi. Z natury swego fachu, lekarze zajmują pierwsze miejsce w tak zwanym „miłosierdziu publicznem“. Jako przysięgli stróże zdrowia, nie mogą nikomu odmówić swjej pomocy, chociażby upadali ze znużenia; wówczas, gdy inni ludzie, bez względu na swoją zasobność w środkach moralnych czy materyalnych, nadających się do zużytkowania na rzecz cierpiących, mogą zamknąć swoje szkatuły i serca, i nikt ich za to nie będzie śmiał potępiać, ani odsądzać od miana „godnych obywateli kraju“. Nie wszyscy jednak korzystają z tak wygodnych prerogatyw dla pielęgnowania sobkowstwa. Oto niedawno p. Biliński uczynił zapis stu tysięcy złotych reńskich na ufundowanie i wybudowanie „Domu dla nieuleczalnych“ we Lwowie. Pod budowę gmachu już położono kamień węgielny. Zacny ofiarodawca nie tylko przeznaczył pieniądze na budowę zakładu, ale jeszcze go zabezpieczył oddzielnym znacznym kapitałem, tak, iż same odsetki zupełnie wystarczają na wygodne utrzymanie pensyonarzy i pomoc lekarską. Gdzie jest tyle nędzy, co w miastach galicyjskich, gdzie chorzy skazani są na powolne długoletnie konanie w norach wilgotnych i dusznych, tam zakład taki jest nieocenionym skarbem. W Warszawie działalność filantropijna również świeżo się zaznaczyła pomnożeniem zakładów dobroczynnych. Przybywają stałe przytułki noclegowe, w szerszym zakresie niż uprzednie czasowe, które służyły tylko, na schronienie nocne żebrakom i wszelkiego rodzaju włóczęgom. Pomoc taka nie wiele się różniła od datków groszowych dla nędzy ulicznej, które nie tylko jój nie zapobiegają, ale przeciwnie, utrwalają pewnego rodzaju fachowość żebracza. Zadaniem nowych przytułków nie jest pomoc doraźna i bezowocna; mają one na celu zapewnienie trwałego istnienia nędzarzom, danie im zarobków. W tym celu dom noclegowy, obok sypialni, obfitujących w powietrze, będzie mieścił sale do pracy, a nadto ambulatoryum do udzielania pomocy bezpłatnej ubogim. Kosztorys budowy

tego zakładu na Pradze obliczono na rs. 15,000. Dotąd na ten cel jest tylko 7,000 gotówki, a więc o resztę, t. j. 8,000, kolatać trzeba do ofiarności publicznej. Prawdopodobnie i w tym razie nie zawiedzie ona. Ale ponieważ nie jest to źródło niewyczerpane i obficie płynące, więc sączyć się będzie powoli wąską strugą i prawdopodobnie nie wypełni do zimy żądanej kwoty, chyba, że się zjawi niespodzianie z ofiarą jaki nowy Biliński i odrazu załatwi sprawę nagłącą. Jest ona istotnie jedną z najpilniejszych, bo tu chodzi nie tylko o danie ciepłego kąta na parę godzin i strawy dla biedaków, ale także o zmniejszenie, chociaż w małym stopniu, przyjaznego podścieliska dla występków (z kategorii nie „antropologicznej“), których zaczątkiem bywają zwykle brudne szynkownie, owe przytulki niefilantropijne, gdzie nędza, alkohol i próżniactwo przymusowe są pierwiastkami rozkładowemi dodatnich cech ludzkich. Jest nadzieja, że nasze Towarzystwo dobroczynności w Warszawie, dość zasobne i często obdarzane zapisami filantropów, także będzie mogło w przyszłości oddać usługi na drodze wyszukiwania pracy ludziom ubogim, dzięki nowej ustawie usankcyonowanej, która rozszerza prawo działalności tej instytucji dodaniem dwóch nowych punktów: 1) wyszukiwanie zatrudnień i roboty dla osób zdolnych do pracy i 2) dopomaganie do nabycia materiałów do roboty, tudzież starania o korzystny zbyt wyrobów. Jest to wiele. Nadarza się bowiem sposobność stworzenia z czasem pewnej giełdy pracy, która poprostu środkami instytucji dobroczynnej mogła-by się szybko rozwinąć i dać pożądane rezultaty.

Taka forma giełdowa przybiera dziś coraz szersze i różnorodniejsze rozmiary, a zawsze po wzór trzeba się uciekać do Ameryki, gdzie się (w New-Yorku) pomyślnie rozwija „giełda kamieniczna“ i zyskuje coraz większe uznanie, dzięki rzetelnym informacyom i umiejętnemu pośredniczeniu. „Przegląd tygodniowy“ zapytuje, czyby się nie dała na takiej podstawie urządzić w Warszawie giełda... majątków ziemskich? „Jeżeli istnieje giełda dla pieniędzy, zboża, chmielu, cukru i wełny, czemu nie ma istnieć dla ziemi, tego najważniejszego w naszym kraju towaru?“ Zdaniem tego pisma, spadanie ceny ziemi wynika głównie z braku dostatecznej jawności i uprzywilejowania w nabywaniu. Niema tu mowy o jawności, zastrzeżonej przez prawo. „Paragrafom staje się zadość, ale rząd dla sprawy korzyść niewielka, lub nawet żadna. Poza ową bowiem jawnością jest duża sfera nieświadomego, czyli tak zwaną mętną wodę, w której interesowani a zabiegli łowią ryby. Ile-to obecnie majątków ulega sprzedaży z licytacji jedynie dla braku kupujących, lub też prze-

chodzi za jedną trzecią wartości w ręce lichwiarskie z tego samego powodu! Tym czasem konkurenci do kupna może-by się znaleźli, gdy-by jawność, wymaganą przez prawo, zastąpiono jawnością faktyczną. W tym razie mogła-by, zdaniem pisma, przyjść z pomocą giełda ziem-ska. Co tu marzyć o jakiejś giełdzie rzetelnej, o transakcjach uczci-wych, skoro u nas system połowu w mętnej wodzie przeciwdziała wszelkim dobrym usiłowaniom. Polowanie na lekkomyślność lub brak zmysłu rachunkowego i rzutkości jest dziś najlepszym interesem, a kto się mu szczerze, ze znajomością rzeczy, poświęcił, z pewnością nie zbankrutuje, lecz się sam wzniesie wysoko na barkach bankrutów. Oto próbka: Korespondent „Słowa“ zapytuje bardzo bogatego kupca kijowskiego, jaki procent przynosi mu handel zbożem. Co tu mówić o procencie, to żaden interes—odpowiada. „Co ja mogę zarobić, ku-pując na stacyi kolei zboże po 70 kop. pud, kiedy w Odessie sprze-dają po 80 kop. Dostawa, skład w Odessie, procent od kapitału, wyłożonego na wiosnę, a odebranego w jesieni, pozostaje w rezultacie zysk tak mały, że mówić o nim nie warto. Ja takich obywateli, którzy kontrakt robią, a na termin zboże dostawiają, nie lubię. Ale kiedy obywatel sprzeda 80,000 pudów pszenicy na pewien termin, w kontrakcie zastrzeżona kara za każdy dzień zwłoki po kop. 2 od puda, a rolnik na czas zboża dostawić nie może, bo albo nie wymłó-cił, albo podwód nie dostał, albo złego urodzaju nie przewidział, wtedy po obliczeniu kar zostaje na moją korzyść 20, 30, no czasem i 40 kop. na pudzie“. Tacy kupcy, których na nieszczęście jest spo-ra liczba, są właściwie w innej formie lichwiarzami przedniego ga-tunku, pobierającymi około 60% na pół roku za udzieloną na zboże zaliczkę. I tak musi być zawsze, dopóki wytwórca rolny będzie po-trzebował gwałtownie gotówki w rozmiarach, przechodzących jego siły produkcyjne. Nawet organizacya elewatorów, czyli banków zbozo-wych na wzór amerykańskich, gdzie wytwórca może brać bezpośre-dnio udział w rynkach wszechświatowych, niewielką będzie pociechą dla tych, którzy muszą wziąć zaliczkę na pół roku lub na ośm mie-sięcy przed żniwami.

W podobnym położeniu są dostawcy wełny na jarmark święto-jański w Warszawie, gdzie ich kupcy strzygą niemiłosiernie, wie-dząc, że się dadzą. W tym roku znaczną ich większość ostrzyżono haniebnie przy samej skórce, dzięki właśnie tej typowej potrzebie gotówki. Szlachta zrazu trzymała się dobrze i przy pierwszym ataku kupieckim ani drgnęła. Wiedziała ona, że kurs rubla i transak-cye na rynkach wełnianych za granicą miały się odbić pomyślnie na jej interesach. Ale i kupcy trzymali się ostro, dnia pierwszego nie

przystępując natarczywie do targu. Nazajutrz bieda! Ofiarowano ceny ze zniżką 4-ch talarów w stosunku do zeszłorocznych. Dostawcy jeszcze nie upadają na duchu; ale gdy pod wieczór zaproponowano jeszcze o dwa talary niżej za centnar, dostawcy spochmurnieli bardzo, a kupcy, wprawni w czytaniu ich uczuć na twarzy, rzekli sobie: „dobrze jest!“ Jakoż na trzeci dzień wytwórcy się poddali, jak obleżone miasto, przyciśnięte głodem. Kupcy dyktowali warunki, a wytwórcy przyjmowali je bez oporu, biorąc za wełnę czesankową do 15 talarów, a za wysoko cienką do 40-tu niżej w stosunku do cen z r. 1889. Znaleźli się wszelako śmieli duchem, niezbyt łaknący gotówki, którzy dowiedli, że hartowna wola kupców może zmięknąć, gdy dostawcom nie zabraknie cierpliwości i odwagi. Oto garstka tych zuchów doczekała dnia ostatniego, w którym kupcy, widząc, że nic nie poradzą z ich stanowczością, jęli podnosić ceny po dwa talary wyżej w stosunku do dnia poprzedniego, a nawet nazajutrz po jarmarku o 4 talary. Można sobie wyobrazić zadowolenie tej garstki i smutek większości. Co jednak tutaj wpłynęło na pomysłność interesów tych dostawców, którzy się do końca nie poddali? To, że się doczekali przewagi popytu nad podażą w terminie do tranzakcyi bardzo ograniczonym, bo w dniu ostatnim jarmarku. P. Aleksander Witkowski w „Słowie“ dowodzi, że chcąc osiągnąć pożądane rezultaty przy obrotach z wełną, należy „trzymać się z podażą *biernie, wstrzemięźliwie*“ i nadto postarać się o sprowadzenie na nasz targ warszawski choćby dwóch *poważnych* fabrykantów wyrobów wełnianych z za granicy. A więc dwa środki, trudne do przeprowadzenia. Zalećmy *wstrzemięźliwość* zgłodniałemu, stawiając mu przed oczyma strawę i dając do zrozumienia, że nazajutrz może dostać mniej, albo nic, jak się on wtedy zachowa? Rzecz prosta, że się skusi na strawę, nie wglądając w jej jakość i ilość. Tak samo się zachowa ogołocony z gotówki dostawca wełny, gdy mu kupiec podyktuje stanowcze warunki. „Kto wie, jakie tam będą konjunktury na rynkach zagranicznych jutro i po jutrze i jak one wpłyną na moją wełnę nie-szczęśliwą; może ją trzeba będzie oddać za cenę produkcji lub nawet niżej?“ Taka myśl przyjdzie niejednemu z dostawców. W rzeczy samej, co on zrobi ze swoim towarem, gdy do samego końca nie zwycięży stanowczości kupieckiej? Wprawdzie p. Witkowski radzi zostawić w takim wypadku wełnę w składzie bankowym i wziąć na nią zaliczkę. „Fabrykanci — powiada on — wełny *potrzebują*, a więc musieli-by kupno rozpocząć ze zwykłą cen, skoro ze zniżką kupić jej nie mogą“. Ale pamiętajmy zawsze o tém, że dostawca potrzebuje gwałtownie gotówki, że najniższa cena, ofiarowana przez kupca, będzie jeszcze wyższą od zaliczki, udzielonej przez skład bankowy. Je-

zeli przy tranzakcyi zbożowej daje się kupcom lichwiarski procent, byle-by pieniądze natychmiast otrzymać, to samo musi być i przy sprzedaży wełny. Co to za pociecha dla takiego wytwórcy, że kiedyś tam otrzyma resztę sumy za swój towar, chociaż-by świetnie sprzedany! Co do rady p. Witkowskiego — sprowadzania na jarmark *poważnych* fabrykantów wyrobów wełnianych z za granicy, sam projektodawca twierdzi, że to było-by wielce trudnym, gdyż „panowie ci mało posiadają do nas zaufania. Najprzód nie znają naszej instytucyi bankowej, potem przypuszczają, że z wełną źle się obchodzimy, a często nieuczciwie“. Dla doprowadzenia więc do skutku tego środka, p. W. widzi jedyną drogę prywatną przekonywania tych kupców o naszej uczciwości. Ciężkie to zadanie! W każdym razie należałoby poruszyć wszelkie środki możliwe dla wybrnięcia z zależności monopolowej, która od dwóch lat dręczy naszych dostawców wełny. Ową kliką sprzysiężoną jest sześciu kupców zagranicznych i dwóch fabrykantów, również obcokrajowców. Według ich chorągiewki kierują się miejscowi fabrykanci drobni i przekupnie.

Przyznać trzeba, że hodowla niepoślednie miejsce zajmuje u nas w rolnictwie; oprócz owiec, dających dochód pierwszorzędną, sporo jest takich gospodarstw rolnych, gdzie wszelkie gatunki inwentarza wzorowo są prowadzone, o czém nieraz przekonały wystawy rolnicze. Że się one przyczyniają do rozwoju hodowli w kraju, nie trzeba dowodzić. To też wielka krzywda stała się naszym rolnikom z powodu zniesienia tych wystaw, urządzanych dawniej w Warszawie przez Towarzystwo wyścigów konnych. Obecnie możemy się podzielić z czytelnikami pomyślną wiadomością, iż Towarzystwo rzeczzone uchwaliło wskrzesić ten pożyteczny zwyczaj. W roku przyszłym postanowiono znowu urządzać wystawę koni, bydła, owiec, drobiu i wogóle przedmiotów, mających związek z hodowlą. Strona materyalna jest już poniekąd zabezpieczona, gdyż na ten cel asygnowano w formie zaliczki 4000 rs. Tak więc najpożyteczniejsza dla kraju strona działalności Towarzystwa wyścigów konnych znowu się rozwinie. Jeżeli mówimy o dodatniej stronie wyścigów, nie możemy pominąć milczeniem i ujemnej, tém bardziej, że się ona przyczynia do ruiny setek ludzi, rozbudzających w sobie namiętność totalizatorską. Wprawdzie zrobiono tu pewną ostrożność, mianowicie podniesiono stawki totalizatora do dziesięciu rubli, aby tym sposobem dać możność zgrywania się tylko ludziom zamożniejszym; ale okazało się, że środek ten zupełnie chybił celu. Podniesiona stawka rozpalila jeszcze bardziej namiętność biedaków, którzy zastawiali lub sprzedawali najniezbędniejsze ubranie, zaciągali pożyczki i zgrywali się do ostatka, do szału i rozpacz.

Ci szczęśliwsi, którzy pensyę stałą pobierają, przegrywali ją także, polecając rodzinę opatrności bożej, albo... opiece lichwiarzy. Dzięki temu, totalizator dał obrotu przeszło 200,000 rs. Towarzystwo wyścigów w roku bieżącym święciło 50-tą rocznicę swego istnienia. Oby, rozpoczynając drugą połowę stulecia, nie mnożyło już nadal tych nieszczęśliwych szaleńców.

Jeden z grona literatów naszych obchodził niedawno niepospolity jubileusz, bo 50-letniej pracy na niwie dziennikarskiej. Kto zna tego rodzaju pracę, trawiającą umysł i energię, pochłaniającą człowieka bez chwili wytchnienia, ten tylko może ocenić niepospolitą wytrwałość Jubilata, który pół wieku przetrwał na tém stanowisku i jeszcze nie stracił zdolności do pracy. Zważmy, że nie była to machinalna robota dziennikarska, posługująca się nożycami; ale praca sumienna, poparta wiedzą gruntowną. Józef Kenig należy do tych ludzi, którzy szerzyli skutecznie zamiłowanie do czytelnictwa w epoce, kiedy w wielu zakątkach poprzestawano na literaturze kalendarzowej. Szanowny jubilat urodził się w r. 1820 w Płocku; w Krakowie ukończył gimnazjum św. Anny, a potem kursa filozoficzne pod kierunkiem Ehrenberga i Wrześniowskiego. W r. 1839 osiedlił się w Warszawie, gdzie przez dwa lata utrzymywał się z lekcji i aplikatury w sądzie pokoju. W r. 1841 jął się pracy literackiej i pierwszy artykuł p. t. „Sztuka i artyści“ umieścił w „Nadwiślaninie“, wydawanym przez Filleborna, a następnie w „Gazecie Warszawskiej“ rzecz satyryczną p. t. „O dandyźmie w Warszawie“. Od tej chwili wszedł w poczet stałych współpracowników owego dziennika, do którego przez dwa lata pisywał artykuły literackie, zaś w r. 1843 objął dział polityczny i niepospolitemi artykułami zainteresował szerokie koło czytelników. W r. 1859-ym, po śmierci Lesznowskiego, objął naczelne kierownictwo „Gazety Warszawskiej“ i na tém stanowisku przetrwał lat trzydzieści, w niezmordowanej i sumiennej pracy. W obu dziedzinach, polityki i sztuki, Kenig zachował dotąd jeszcze bystrą zdolność oryentowania się, dar obrania zawsze takiego punktu, z którego światło, rzucone przezeń na daną kwestyę, na traktowany przedmiot, wydobywało odrazu na jaśnie najcharakterystyczniejsze rysy. Nie łatwo dziś znaleźć u nas publicystę, który-by z taką dorażnością i jędrnością umiał ująć i przedstawić sytuację polityczną; w krytyce literackiej i artystycznej strzegł zawsze Kenig i strzeże niezachwianie zdrowych ideałów. Władając świetnie formą, jubilat nie należał nigdy do rzędu tych, którym forma wystarcza, w literaturze nie poprzestawał na powodzeniu literata; miał szlachetniejsze ambicje pisarza. Od lat paru pracuje Kenig w „Sło-

wie“ a przeglądy jego polityczne i teatralne są prawdziwą tego piśma ozdobą.

W Petersburgu obchodzono jeszcze jeden jubileusz—25-letniej pracy adwokackiej p. Włodzimierza Spasowicza, któremu z tego powodu prasa russka poświęciła dość obszernie i życzliwe artykuły. Poprzestaniem na przytoczeniu „Now Wr.“: „Szanowny jubilat stał się adwokatem nie tyle z powołania, ile z przyczyny zbiegu okoliczności. Katedra uniwersytecka była niewątpliwie odpowiedniejszą dla p. Spasowicza, niż ława adwokacka. Ogromna erudycja, ścisłość analizy, zamiłowanie nauki, wszystko to kazało przypuszczać, że na drodze naukowej jubilat dojdzie do bardzo wysokiego stanowiska. Losy zrzędziły inaczej; wszelako i na polu adwokackiej działalności p. Spasowicz nie przepomniął o nauce. Wiele jego przemówień, wiele rozpraw naukowych, świadczy, że adwokatura russka ma w osobie p. Spasowicza nie tylko wzór poważnego prawnika-teoretyka, lecz i człowieka, który opracowywa poważne kwestye prawne. Zawsześmy cenili w p. Spasowiczu umysł poważny i talent wybitny, które przy wysokiej erudycji dały mu możność zajęcia stanowiska nauczyciela i kierownika adwokatów przysięgłych. Jako członek i prezes Rady adwokackiej, p. Spasowicz był zawsze szczerym, energicznym i obrońcą praw korporacyi, a bronił ich zawsze z taktem i delikatnością. Życzymy adwokaturze russkiej, izby na długie lata zachowała w swém gronie tego świetnego i utalentowanego przedstawiciela, jakkolwiek nie jest on wolnym od pewnych uniesień.“

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego krakowskiej Akademii umiejętności, odbytém w dniu 11 Maja pod przewodnictwem profesora D-ra W. Zakrzewskiego, profesor Dr Edmund Krzymuski odczytał rzecz p. t. „Józef Szymanowski“ *przyczynek do reformy prawa i procesu karnego w Polsce, w końcu XVIII wieku.*

Celem téj pracy jest wyjaśnienie rzeczywistego znaczenia dwóch pism Józefa Szymanowskiego, członka deputacyi, powołanej ustawą z d. 28 Czerwca 1791 r. dla ułożenia „*Kodeksu praw cywilnych i kryminalnych Stanisława Augusta.*“ Jedno z nich zawiera prospekt prawa karnego p. t. „*O winach, zbrodniach i karach*“, drugie ma tytuł „*O prawie kryminalném*“ i podaje zasady w przedmiocie unormowania najważniejszych stosunków, wchodzących w skład tego procesu. Oba te pisma wydał i opatrzył odpowiedniami uwagami Dr Ostrożyński w rozprawie drukowanej w XXV tomie rozpraw i sprawozdań Wydziału filozoficzno-historycznego Akademii umiejętności w Krakowie, p. t. *Ostatni projekt prawa i procesu karnego w Polsce* (1890), a praca D-ra Ostrożyńskiego dała właśnie D-rowi Krzymuskiemu powód do zajęcia się wspomnianymi wyżej pismami Szymanowskiego i uczynienia ich przedmiotem samodzielnego rozbioru.

— Na posiedzeniu z d. 12 Czerwca, któremu przewodniczył prof. F. Zoll, profesor Dr B. Ulanowski złożył treść swéj pracy p. t. „*Geneza Statutów Kazimierza Wielkiego.*“

Statutami Kazimierza W. zajmowali się kolejno: Lelewel, Kownacki, Bandtkie, Hube, Helcel, Stadnicki i kilku innych badaczy, ale nikt wytrwałej od senatora Hubego, który w każdym kierunku tyle zdziałał dla historii prawa polskiego. Mimo to jednak, dotychczas osiągnięte rezultaty zadowolnić nie mogą. Hube obalił hipotezę Helela, tak samo, jak Helcel przed nim szczęśliwie polemizował ze swymi poprzednikami; ale to, co w zamian Hube o genezie statutów Kazimierzowskich twierdzi, choć mniej naciągnięte, pewnym jednakże nie jest. W ogólności powiedzieć można, że tak Helcel, jak Hube, z nadto byli pod wpływem tradycyi, przypisującej Kazimierzowi W. kodyfikację prawa ziemskiego w dzielnicy Mała i Wielkopolskiej, aby którykolwiek z tych znakomitych badaczy mógł z całą swobodą i bezstronnością z zadania się wywiązać. Stanowisko, zajmowane przez wymienionych uczonych, wpłynęło oczywiście także na sposób, w jaki każdy z nich opracował sam tekst statutów. Rozpatrując się dzisiaj w znanych rękopisach statutów Kazimierzowskich, oraz w uskuteczionych na ich podstawie edycjach, dochodzimy do przekonania, że t. zw. krytyczne wydania statutów nie odtwarzają bynajmniej ściśle tekstów, zawartych w najlepszych kodeksach, lecz noszą na sobie wyraźne piętno indywidualnych zapatrywań wydawców; do badań prof. Ulanowskiego najbardziej przydatnymi były przedruki rękopisu B IV przez Bandtkiego i kodeksu Floryańskiego przez Ireczka, jako dokładne kopie dwóch rozmaitych układów.

Przystępując do ponownego opracowania przedmiotu, autor oddziela kwestyę genezy statutów od ustalenia ich tekstu. Tej drugiej części pracy będzie można dopiero dokonać po ogłoszeniu najważniejszych rękopisów i po zebraniu materiałów do ostatecznego wydania zabytków, które przywykliśmy nazywać statutami Kazimierza W. Na razie Dr Ulanowski poświęca swoją uwagę sprawie wyświecenia, kiedy i w jakich warunkach statuty te zostały zredagowane. Najprzód tedy autor zastanawia się nad władzą ustawodawczą w Polsce w XIV wieku, następnie nad temi zabytkami, które nazywamy statutami Kazimierza W. i wyraża wątpliwość, ażeby król wydawać mógł w XIV w. tak obszerne statuty, oraz żeby ogłaszał jeden statut Małopolski, wspólny dla ziemi Krakowskiej i Sandomierskiej; łatwiejszą już byłaby do wytlómaczenia egzystencya statutu Wielkopolskiego, obowiązującego w ziemiach: Poznańskiej, Gnieźnieńskiej i Kaliskiej.

Autor, chcąc sprawdzić, o ile wątpliwości jego są uzasadnione, uciekł się do rękopisów i doszedł do rezultatów odmiennych od zdania senatora Hubego, co do genezy statutu Małopolskiego. Nie odmawiając królowi wpływu na wydawanie poszczególnych statutów, kładzie jednak prof. Ulanowski główny nacisk na działalność w tym

względzie wieców, a co się tyczy całości, to widzi w nich prace prywatne notaryuszów, którym ze względów technicznych zależało nie tylko na zbieraniu ustaw, ale także na ujednostajnieniu prawa we wszystkich ziemiach, gdzie istniały odrębne sądy.

Badanie statutu Wielkopolskiego utrudnia brak rękopisów, które-by sam statut zawierały; ostatecznie, zdaniem autora, statut Wielkopolski powstał podobnie jak Małopolski, ale znacznie później, i to pod wpływem kompilacji statutów krakowskich i sandomierskich, które notaryusze przywozili z sobą do Wielkopolski.

Kończąc, wyraża prof. Ulanowski mniemanie, że sława, jaką sobie Kazimierz W. zdobył w historii, jako ustawodawca, nie może uciec nawet w razie, jeśliby wywody autora w części lub całości uznano za słuszne. Notaryusze, przypisując dokonane przez siebie kompilacje Kazimierzowi W., w części tylko mijali się z prawdą. Materiał, z którego czerpali, pochodził przecież albo z ustaw królewskich lub wiecowych, albo nareszcie z wyroków; wiece zaś, czy wydając ustawy, czy wymierzając sprawiedliwość, czyniły to w imieniu i w zastępstwie królewskim.

-- Do Biblioteki pisarzy polskich, wydawaną przez Akademię Umiejętności w Krakowie, przybyła: „Krzysztofa Putzmana Historia barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi 1551.“ Jest to dokonany staraniem D-ra Z. Celichowskiego przedruk unikat z biblioteki Kórnickiej, stanowiący interesujący przyczynek do literatury popularnej z XVI w. Krzysztof Putzman, Krakowczyk „na posługach i na dworze Jego M. Pana Bielińskiego“, skutecznie widocznie przeróbkę jakiegoś nieznanego obcego utworu, opartego na Piśmie św. Książeczka ozdobiona jest w oryginale pięciu drzeworytami.

— *Berka Aleksander*. „Słownik kaszubski porównawczy.“ Warszawa, 1891.

— *H. von Samson-Himmelstjerna*: „Revanche ou ligue douanière.“ Fribourg. i. B. 1891.

Polityka ekonomiczna Europy zachodniej, prowadzona obecnie przez wielkie państwo, a polegająca na systemie cel importowych, dała autorowi poważnej broszury broń do ręki. Zastanawiając się nad rezultatami i postulatami kongresu rolniczego, który odbył się w Wiedniu, autor przychodzi do wniosku, że dalsza polityka, prowadząca tylko do podwyższenia cen na produkta zbożowe i w wysokich cenach upatrująca zbawienie, jest w gruncie rzeczy złem, a cała walka celna nie ma najmniejszego praktycznego znaczenia. Wysokie cła zaradzają chwilowo potrzebom gotówki państwa, ale ubożą ludność

wogóle, gdyż niema prawidłowego stosunku między płacą zarobkową a wytwórczością produktów spożywczych. W celu zaradzenia złemu, autor proponuje utworzenie związku celnego państw zachodnio-europejskich, który mógłby zażegnać wszelkie kryzysy i kłopoty, mające źródło swoje we współzawodnictwie Ameryki i Australii. Bliższego określenia, w jaki sposób radykalna kuracja ekonomiczna może być przeprowadzoną, autor nie podaje.

Upatrując przeszkodę do utworzenia europejskiego związku celnego w niemożności zbliżenia się Francji z Niemcami, autor wysuwa na pierwszy plan kwestję polityki. Radzi mianowicie Francji wyrzucić się Alzacy i Lotaryngii,—témbardziej, że jakoby prowincje te zadowolone są zupełnie z rządów niemieckich,—i w ten sposób przyczynić się do ułatwienia zawarcia ligi celnej.

— *Edouard Drumont*. „Le testament d'un antisémite.“ Paris, 1891, p. 456.

Po napisaniu kilku sensacyjnych dzieł w kwestyi żydowskiej, autor w niniejszej książce oddaje się nader pesymistycznym rozmyślaniom, w gruncie rzeczy niemającym związku z kwestją żydowską. Autor wkracza w dziedzinę, że tak powiem, tajemnic domowych, zarówno pojedynczych ludzi, jak korporacji i stanów, napada z niesłychaną zjadliwością na różne stronnictwa, zarówno Bulanzystów, jak republikanów, obrzuca żółcią mieszczaństwo, arystokrację a nawet duchowieństwo, któremu najwięcej miejsca poświęca. Całe społeczeństwo francuskie napastuje z ironią gryzącą, wypełniając całe dzieło plotkami i oszczerstwami, wiążąc cały ten chaos wiadomości refleksjami na temat antysemityzmu. Dzieło całe napisane w tonie łajdacy. Autor powraca do nienawistnych mu osobistości—do Rotszyldów, Meiera, Erlangera, ale też nie przebacza Lessepsowi, którego nazywa „królem oszustów.“

— *Bilczewski Józef ksiądz dr.* „Archeologia chrześcijańska wobec historii kościoła i dogmatu.“ Z 8-ma ilustracyami w tekście i 2-ma tablicami. Kraków, 1890.

— *Borzemski Antoni*. „Kronika Miechowity“, rozbiór krytyczny. Kraków, 1890.

— *Górski Konstanty*. „Sztuka wojenna w Polsce za Zygmun-tów.“ Warszawa, 1891.

— *Bronisław Dembiński*. „Upadek rycerstwa“ — odczyt wygłoszony w Warszawie w Ratuszu na dochód Osad rolnych.

— *Tadeusz Sternal.* „O autorze *Dyaryusza* z lat 1696—1697.“ Lwów, 1891.

— *Skrzyńska K.* „Kobieta w pieśni ludowej.“ Biblioteka „Wisły“, Tom VIII. Warszawa, 1891.

— *Świeżawski (Sulimczyk Ernest) i Wenda Kazimierz.* „Wojciech Oczko, syfilidolog polski XVI w.“ Odbitka z Pamiętnika Tow. Lekar. Warsz. Warszawa, 1891.

— *Ingram John Kells dr.* „Historia ekonomii politycznej“, przełożyła z angielskiego Zofia Daszyńska. Warszawa, 1891.

— *Głabiński Stan. dr.* „Pojęcia nauki skarbowej. Teorya i praktyka skarbowa.“ Lwów, 1890.

— *Belza Stanisław.* „O upadłościach i bankructwach.“ Wykład księgi III ej obowiązującego kodeksu handlowego. T. I. (Artykuły 437—485). Kraków. Nakład Gebethnera i Spółki. 1891.

— *Celińkowski A.* „Nauka czytania i pisanja według zasad za najlepsze uznanych.“ Wydanie II. Warszawa, 1891.

— *Roszkowska Zofia.* „System Froebła. Stopniowanie wyższej nauki. Zatrudnienie i zabawa dla dzieci w domu i w zakładach Froebłowskich.“ Warszawa, 1891.

— *Gwiaździc.* „Rozmowy u starego Stacha o wzajemnych stosunkach sług i gospodarzy.“ Warszawa, 1891.

— *Lombroso C.* „Człowiek-zbrodniarz w stosunku do antropologii, jurysprudeney i dyscypliny więziennej.“ Zbrodniarz urodzony. Obląkanie zmysłu moralnego. Z włoskiego przełożył J. L. Popławski. Tom I. Warszawa 1891.

— *Polikier B. dr.* „O poszukiwaniach Brown-Sequarda nad działaniem płynu jądrowego oraz jajnikowego i o sperminie.“ Warszawa, 1891.

Kneipp Sebastyan ks. „Moje leczenie wodą na podstawie 30-letniego doświadczenia, napisane dla leczenia chorób i utrzymania zdrowia. Przełożył J. A. Łukaszewicz. Kempten (w Bawaryi) 1891.

— *Grosset J.* „O zawrocie głowy, zależnym od zmian w naczyniach, oraz o stwardnieniu tętnic w ogólności.“ (Odczyty kliniczne, serya III). Warszawa, 1891.

— *Rydygier L.* „O leczeniu ran.“ (Odczyty kliniczne. Serya III, zeszyt 3). Warszawa, 1891.

— *Broniewski.* „O wytrzymałości i bezpieczeństwie mrówek.“ Warszawa, 1890.

Kadyi Henryk dr. „O potrzebie zasadniczej reformy studyów weterynaryi.“ Lwów, 1890.

— *Jastrzębowski L.* „Warunki dochodności z uprawy kartofli.“ Warszawa, 1891.

— *Bogucki Adolf.* „Prawidłowy sposób zasiewu i hodowli morwy.“ Warszawa, 1891.

— *Nowicki M. dr.* „O wzorowym sposobie hodowania karpia w stawach, zaprowadzonym przez Tomasza Dubischa.“ Warszawa, 1891.

— *Ślaski J. i Wasilkowski F.* „Tablice dla użytku chemików przy cukrowniach, zawierające obliczone ilości cukru i niecukru, jakoteż współczynniki czystości soków burakowych o gęstości od 8—21 Brix'a. Kijów, 1890.

— *Stanisław Belza.* „Za Apeninami“ (wiązka wspomnień podróży). Kraków. Gebethner i S-ka, 1890.

— *Rawita Fr.* „Poszukiwacze szczęścia.“ Powieść współczesna. Kraków, 1891.

— *Artur Lewandowski.* „Na gołoledzi“, powieść. Nakład księgarń Centnerszvera. 1891.

Myriel J. „Miś“, powieść w 3-ch częściach. Warszawa, 1891.

Kasprowicz Jan. „Świat się kończy“, dramat z życia ludu wielkopolskiego, w 5-ciu odsłonach. Lwów, 1890.

— *Sudermann Herman.* „Honor“, dramat w 4-ch aktach. Warszawa, 1891.

— Zeszyt 3 tomu III „Prac filologicznych“, wydawanych kosztem Kassy imienia Mianowskiego, zawiera: Kaliny Antoniego „Przyczynek do historii konjugacyi słowiańskiej“ (dokończenie); „Prostych ludzi w wierze nauka“; Ciszewskiego St. „Przyczynek do słownictwa polskiego“; Baudouina de Courtenay: „O zadaniach językoznawstwa“,

„O ogólnych przyczynach zmian językowych“ i „Jedna z kwestyi spornych pisowni polskiej“; Przyborowskiego J.: „Formalae colloquiorum“; Kryńskiego Ad. Ant.: „Żywot Ś-tój Eufrazji, zabytek języka polskiego z r. 1524“; Brücknera A.: „Głosy wrocławskie“ i „Trzy rękopisy z wieku XVI“ oraz „Kazania Świętokrzyskie“; Ziemy J. S. „Słownik prowincjonalizmów powiatu będzińskiego“; Berki Al. „Słownik kaszubski porównawczy“ i Malinowskiego L.: „Studia nad etymologią ludową“ (dokończenie).

— Część druga Tomu III „Dziejów literatury nowożytnej“, wydanej nakładem S. Lewentala, wyszła z druku i zawiera: Literaturę angielską, Feliksa Jezierskiego; Literaturę niemiecką w wieku XVI i XVII przez D-ra A. Zippera i Literatury słowiańskie Bronisława Grabowskiego.

— Roczników Poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk wyszedł Zeszyt 2 Tomu XVII i zawiera: Dicksteina S. „Fononomia Wronskiego“; J. Zakrzewskiego „Bitwa pod Grunwaldem“; Józefa Tyszkiewicza „Podręcznik numizmatyczny“ (1506—1795); „Wyjątki z listów z Boliwii“ Józefa Jackowskiego; Michała Witanowskiego: „Historja miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego“; Bolesława Trepki: „Urywek z księgi rozchodów podrzactwa niepołomickiego (1388--1389).“

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

WARUNKI PRENUMERATY.

„Biblioteka Warszawska” kosztuje: W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —
w Warszawie zaś:	
Rocznie	„ 9 „ —
Półrocznie	„ 4 „ 50
Kwartalnie	„ 2 „ 25

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej”, ul. Foksal Nr 6, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycyę pisma.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Oplata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej” wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające 1 całą stronicę formatu Bibl. Warszaw.	rs. 5
„ „ 1/3 stronicy	„ „ 3
„ „ 1/4 „	„ „ 2

W lokalu redakcyjnym znajduje się na składzie *Systematyczne zestawienie przedmiotów zawartych w Bibliotece Warszawskiej, Część II* (Rok 1875—1890), opracowane przez K. Estreichera.—Tom ten przeszłoroczni prenumeratorowie otrzymali bezpłatnie. Pozostałe egzemplarze nabywać można w Redakcyi po Rs. 1 kop. 20.

Дозволено печатать. Варшава, 11 Июля 1891 года.

Druk E. Lubowskiego i S-ki, Mazowiecka № 8.